Co knują Bielan i Kamiński • Czwarta Droga? • Zwrot w sprawie butelek
Okrajanie związków partnerskich • Drony z Tatarstanu • Niezłomny Redford

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY



Czas się bać?

Rosyjska prowokacja odsłoniła liczne słabości polskiego państwa

s. 4, 12–22

Wydanie w sprzedaży do 30.09.2025
ISSN 0032-3500
9 770032 350503 39

© STUDIO POLITYKI

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 39 (3533), 24.09–30.09.2025
USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

e...a.pl 6f22740c7b

PERSKI DYWAN DZIEJÓW



KUP TERAZ

W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 6f22740c7b



© PIOTR KAMIONKA/REPORTER

28 Operacja Butelka

Tematy tygodnia

12 Kłamstwa o polskiej obronności demaskuje gen. **Tomasz Drewniak**
16 Marcin Kołodziejczyk **Nastroje na naszym wschodnim przedmurzu**
20 Joanna Cieśla **Jak nie wpadać w panikę**

Polityka

22 Anna Dąbrowska, Michał Tomasik **Wraca duet spin doktorów**
25 Rafał Kalukin **Będą nowe partie?**

Społeczeństwo

28 Cezary Kowanda **Zwrot w sprawie butelek**
32 Zbigniew Borek **Pieskie życie na kocią łapę**
35 **Katarina Gos**, autorka książki „Skasowany mózg", o chorobie Alzheimera

Rynek

38 Mariusz Zawadzki **Miliarder, który może kupić TVN**
42 Joanna Solska **Czy Mercosur nas zje?**

Świat

46 Anna Maria Dyner BIAŁORUŚ **„Zapad" i inne manewry Łukaszenki**
49 Paweł Reszka, Timur Olevskiy ROSJA **Lecą drony z Tatarstanu**
52 Jak Apple wpadł w chińską pułapkę, mówi **Patrick McGee** z „Financial Timesa"
54 Paulina Wilk NEPAL **Bunt młodych**

Nauka/projektpulsar.pl

57 Marcin Rotkiewicz **AI bada Całun Turyński**
62 Paleoartystka **Jay Balamurugan** i paleontolog **Nizar Ibrahim** o serialu „Wędrówki z dinozaurami"
64 Andrzej Hołdys **Sekrety płci T. rexa**

Historia

66 Marcin Zaremba **Jak powstały „Rozmowy z katem" Kazimierza Moczarskiego**
69 **Irena Grudzińska-Gross**, biografka Aleksandra Weissberga-Cybulskiego, o flircie fizyków z komunizmem

Kultura

76 Jakub Demiańczuk **Niezapomniane role Roberta Redforda**
80 Michał R. Wiśniewski **Koreańska fala w popkulturze**
83 Co będzie hitem stulecia, przewiduje **Chris Dalla Riva**, analityk muzycznych przebojów
86 Dorota Szwarcman **Opera o „Najlepszym mieście świata"**
88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97 • **Makijaż dla zmęczonych**
• **Kiedy filmy kręci iPhone**
• **Doksiarze grzebią w danych**
• **Wschodni brzeg Jordanu**
• **Dynia nie czeka na Halloween**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **72** Afisz • **89** Lis • **90** Hartman • **91** Sulej
• **92** Mizerski • **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

! Korzystaj tylko z wiarygodnych źródeł informacji

eprasa.pl 6f22740c7b



Drony i androny

Jerzy Baczyński

Domyślamy się, że Rosjanie, wysyłając drony nad Polskę, chcieli przetestować reakcje naszej i natowskiej obrony. Na logikę to musiała być część manewrów „Zapad" (Zachód), organizowanych wtedy na Białorusi. Nie wiem, jakie lekcje wyciągnęli Rosjanie z tej prowokacji – dla nas była ona bezcenna. Szczęśliwie nikt nie zginął, drony okazały się nieuzbrojonymi wabikami, ale gdyby Rosjanie znowu spróbowali, powinniśmy być już o niebo lepiej przygotowani. Zatem: ogólne *spasiba*.

Nalot rosyjskich dronów stał się nieplanowaną częścią naszych (postrzeganych jako kontr-Zapad) wielkich ćwiczeń o kryptonimie „Żelazny obrońca". Wyszło, że nie taki żelazny, a nawet, że nie powinien być żelazny w odniesieniu do broni dronowej, której nie warto zwalczać z pokładu F-16, bo to potworny koszt i ryzyko, że odłamki rakiet mogą nam spaść na głowy, jak w Wyrykach.

> Brak nam „tarczy antydronowej", obrony cywilnej, cyfrowej, a przede wszystkim „tarczy informacyjnej".

Ukraińcy – najbardziej dziś doświadczona armia świata – używają do zwalczania dronów (ze skutecznością sięgającą 90 proc.) inne drony, systemy zakłóceń oraz małe działka montowane na samochodach typu pick-up. Nasz minister obrony właśnie pilnie (i po raz pierwszy!) pojechał do Ukrainy, aby „nawiązać współpracę" techniczną i szkoleniową w antydronach. Wreszcie.

Niezależni eksperci wojskowi twierdzą, że jeśli chodzi o polskie zdolności do budowy i zwalczania bezzałogowców, jesteśmy ogromnie zapóźnieni. W przejmującym wywiadzie dla POLITYKI (s. 12) gen. Tomasz Drewniak mówi, że nasza armia, ale i państwo, są osłabione wszechobecną „kulturą kłamstwa", że nie ufamy sobie, nie mówimy prawdy, mydlimy oczy. „Tajemnica wojskowa" często ukrywa chaos, brak kompetencji, rutynę. Zamierzamy wydawać setki miliardów złotych na zakupy czołgów, śmigłowców, myśliwców, ostatnio – jak ogłosił premier – również okrętów podwodnych itd., ale specjaliści wciąż pytają: na jaką wojnę się szykujemy? Putin raczej nie wyśle na nas tanków i piechoty; to, co realnie nam ze strony Rosji dziś zagraża, to rozmaite ataki hybrydowe, poniżej tzw. progu wojny. Czyli właśnie drony (zapewne niektóre już uzbrojone), „zbłąkane" pojedyncze rakiety balistyczne, cyberataki, zwłaszcza na tzw. infrastrukturę krytyczną, naruszanie przestrzeni powietrznej (jak właśnie nad Estonią), akty sabotażu (według TV Arte w ostatnich dwóch latach w Europie zdarzyło się niemal 200 takich rosyjskich ataków), a przede wszystkim agresja informacyjna.

Pisaliśmy już w poprzednim numerze, że równolegle z „atakiem dronów" nastąpiło uderzenie dezinformacyjne. Tu też okazaliśmy się słabi: Rosjanom szybko udało się narzucić, wypromować narrację, że drony były ukraińskie, a Ukraina chce nas wciągnąć w „niepolską" wojnę. 10 września ujawnił, że brak nam nie tylko „tarczy antydronowej", ale także obrony cywilnej, cyfrowej, procedur reagowania na wypadek kolejnych prowokacji, a przede wszystkim „tarczy informacyjnej", która wymagałaby efektywnej kontroli internetu, przeciwdziałania fake newsom, wzmocnienia sprawdzonych źródeł informacji. Żeby coś tu realnie zdziałać, potrzeba jakiejś bazowej politycznej zgody. Ale widzieliśmy: krótkotrwały rozejm „podronowy" szybko się zakończył tradycyjnym atakiem andronów. Media wypełniła sprawa „UFO nad Wyrykami", „źle przekazanego" listu Trumpa, miejsca w prezydenckim samolocie do USA itp. W tych akcjach zaczepnych celowali zwłaszcza prezydenccy ministrowie, publicysta Sławomir Cenckiewicz i Marcin Przydacz, toczący swoją pełnoskalową rywalizację z ministrem Sikorskim. Musieli?

Po 10 września wszyscy zastanawiają się, czy możliwa jest jeszcze współpraca prezydenta i rządu w fundamentalnych kwestiach bezpieczeństwa? Karol Nawrocki uczy się swojej roli, „cały czas się uczy", a ostatnio otrzymał kilka bolesnych lekcji. Nie udało mu się przekonać ideowej koleżanki, premierki Włoch, do zablokowania traktatu z Mercosur; nie załatwił – jak odgrażał się w kampanii – reparacji od Niemców, zamieniając je w rozmowach z kanclerzem Merzem na mętną propozycję udziału Niemców (?!) w rozwoju przemysłu obronnego Polski. Ale najgorsze przyszło z USA. Na atak dronów nasz przyjaciel Donald Trump zareagował dziwnym wpisem „Here we go!", co zrazu zostało przetłumaczone jako „Ruszamy!", a w rzeczywistości znaczyło „No, właśnie! Otóż to!", czyli – jak wiele wypowiedzi prezydenta USA – nie znaczyło nic. I rzeczywiście żadnej reakcji USA nie było. Jednocześnie z Ameryki nadeszły wieści, że Pentagon wycofuje się z planu wzmacniania obrony krajów bałtyckich, czyli – jak mówi gen. Drewniak – głównej trasy w razie ewentualnego ataku Rosji na Polskę. Here we go!

Ameryka Trumpa nieodwołalnie wraca do doktryny izolacjonizmu. W Europie (i w Polsce) jej wojska jakiś czas jeszcze pozostaną, ale już nie gwarantują realnej obrony. Zresztą po 10 września Polsce okazały wojskową solidarność tylko kraje europejskie. Ale, okazuje się, nigdy dość przypominania, że nasz wróg nie jest na zachodzie, ale na wschodzie, i że codzienna „wojna na górze" nie zdejmuje z polityków odpowiedzialności za przygotowanie kraju i społeczeństwa na ryzyko realnej wojny. Bo nawet jeśli tym razem drony były ze styropianu, to odsłoniły u nas pokłady tektury.

eprasa.pl 6f22740c7b

Albatros travel



4,6
5

Oslo, Bergen i norweskie fiordy

Udaj się do najpiękniejszych miejsc w kraju wikingów. Zobacz majestatyczne fiordy, góry rzeźbione lodowcem i wodospadami oraz klimatyczne miasteczka Norwegii.

Podróż do Norwegii to spotkanie z majestatyczną naturą i klimatycznymi miasteczkami. Zaczynamy w Oslo, a następnie jedziemy przez Hamar, Lillehammer i park Rondane. Podziwiamy lodowce, wodospady i słynną Drogę Trolli z widokiem na dolinę otoczoną górami. Odwiedzamy Geiranger nad fiordem, malownicze Bergen z kolorową dzielnicą Bryggen oraz wyruszamy w rejs z Gudvangen do Flåm. Po drodze zatrzymamy się w Geilo, a naszą wyprawę zakończymy w Oslo.

6 dni
Wyloty z Warszawy
24/06, 10/07,
16/07, 12/08, 18/08 2026

od **5.998,-**





4,8
5

Rejs po rzece Mekong

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Ho Chi Minh. **Dz. 3** Ho Chi Minh. Tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja powitalna. **Dz. 4** Ho Chi Minh – wejście na pokład statku rzecznego w Can Tho – Long Xuyen. **Dz. 5** Long Xuyen – Wyspa Tygrysów – Tan Chau. Pływający targ i i Świątynią Tygrysa w formie pagody. **Dz. 6** Tan Chau – wycieczka po okolicy. **Dz. 7** Tan Chau – Phnom Penh, Kambodża. **Dz. 8** Phnom Penh. Wycieczka po mieście, Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng, Pola Śmierci i więzienie S-21. **Dz. 9** Phnom Penh – Wyspa Jedwabiu – Kampong Cham. **Dz. 10** Kampong Cham – Siem Reap. **Dz. 11** Siem Reap. Świątynie Angkor Thom i Angkor Wat. **Dz. 12** Siem Reap. Muzeum min przeciwpiechotnych, wizyta w lokalnej wiosce i pożegnalna kolacja. **Dz. 13** Siem Reap. Czas wolny. Przelot do Bangkoku. **Dz. 14** Bangkok. Zwiedzanie miasta, Świątynia Leżącego Buddy Wat Pho i wycieczka łodzią po kanałach. **Dz. 15** Bangkok. Czas wolny i podróż powrotna do domu. **Dz. 16** Przylot do Warszawy.

16 dni | Wyloty z Warszawy 22/02 2026, 22/02 2027 | od **17.998,-**



4,8
5

RPA – Ucieczka do raju

Zapomnij o codzienności i wybierz się na safari, podziwiaj zapierające dech w piersiach widoki i zakochaj się w Kapsztadzie – najpiękniejszym mieście świata.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Johannesburg. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga i przejazd do campu Honeyguide Mantobeni. **Dz. 3–4** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti w Parku Krugera. **Dz. 5** Rezerwat Dzikich Zwierząt Manyeleti – Trasa Panoramiczna – Zebra Nature Reserve. **Dz. 6** Zebra Nature Reserve. Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 7** Zebra Nature Reserve - Centrum Gadów – Kapsztad. **Dz. 8** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei i pingwiny w Simon's Town. **Dz. 9** Kapsztad. Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 10** Kapsztad. Wizyta w winnicach Stellenbosch z degustacją wina, Ogród Botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 11** Kapsztad, czas wolny i powrót do domu. **Dz. 12** Przylot do Warszawy.

12 dni | Wyloty z Warszawy 30/01, 20/02, 12/10, 27/10 2026 | od **12.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL37**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 6f22740c7b

DORSZ czuwa

Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych przeszło swój chrzest bojowy w obronie Polski przed rosyjskimi dronami. Jego szef, gen. broni Maciej Klisz, jako pierwszy polski oficer wydał rozkaz o użyciu uzbrojenia przeciw obiektom naruszającym przestrzeń powietrzną Polski i NATO. Chociażby to pokazuje, jak ważną instytucją w systemie bezpieczeństwa narodowego stało się DORSZ, powołane 22 lata temu z myślą o misjach wojskowych poza granicami kraju.

Gdy w ramach wojny z terrorem Polska zaczęła wysyłać żołnierzy do Afganistanu, Iraku oraz do innych sojuszniczych operacji, potrzebny okazał się wyspecjalizowany organ dowodzenia. Na wzór amerykański DORSZ miało używać sił zbrojnych, a sztab generalny i dowództwa poszczególnych rodzajów wojsk odpowiadały za ich przygotowanie (dziesięć lat później rolę tę przejęło dowództwo generalne). Doświadczenia współpracy z USA wdrażał szczególnie obecny patron DORSZ, zmarły w katastrofie smoleńskiej gen. broni Bronisław Kwiatkowski.



Rozpowszechniony w NATO podział ról miał jednak w Polsce wielu krytyków, którzy pytali, „kto naprawdę dowodzi armią". Dlatego za rządów PiS na szczycie hierarchii postawiono Sztab Generalny Wojska Polskiego, któremu podporządkowano dowództwa strategiczne – DORSZ i Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych (DGRSZ). Ale to dowódca operacyjny czuwa w czasie pokoju nad bezpieczeństwem granic (we współpracy ze Strażą Graniczną) i dba o nienaruszalność przestrzeni powietrznej. Podlegają mu lotnicze komponenty szybkiego reagowania (słynne pary dyżurne samolotów bojowych). W wyniku adaptacji systemu dowodzenia NATO do zagrożenia ze wschodu generał stojący na czele DORSZ jest też głównym polskim kontaktem SACEUR, głównodowodzącego sił Sojuszu, i w jego imieniu może podejmować decyzje, z użyciem broni włącznie.

Misyjna rola sztabu z Bemowa nie zniknęła – dziś dowodzi dziesięcioma kontyngentami wojskowymi w operacjach NATO i Unii Europejskiej. Jednak DORSZ to w obecnych warunkach przede wszystkim dowództwo „od wojny", przygotowujące stanowisko dowodzenia naczelnego dowódcy (ma nim być szef sztabu generalnego) i realizujące plany użycia sił zbrojnych. To tam mieści się nasz najważniejszy *war room* i tam zbiegają się cyfrowe nici wszystkich systemów rozpoznania strategicznego. Można powiedzieć, że gen. Maciej Klisz i jego sztabowcy to najlepiej poinformowani ludzie w Polsce.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Kac Wawa



Awantura podczas obrad Rady Miasta, dymisja wiceprezydenta Warszawy rekomendowanego przez Polskę 2050 i chaos w stołecznej Platformie Obywatelskiej – to bilans próby wprowadzenia nocnego zakazu sprzedaży alkoholu w sklepach i na stacjach benzynowych w Warszawie. W tle mówi się o konflikcie między Rafałem Trzaskowskim, który, choć długo niechętny, zmienił zdanie i prohibicję chciał wprowadzić, oraz wspieranym przez Donalda Tuska Marcinem Kierwińskim, ministrem spraw wewnętrznych i administracji, a równocześnie szefem warszawskich struktur Platformy. Z powodu wewnętrznych tarć w partii nieobecny na sesji Rady Trzaskowski musiał wycofać swój projekt, by nie ryzykować prestiżowej porażki. Radni Koalicji Obywatelskiej, mający bezwzględną większość w Radzie Warszawy, odrzucili podobny projekt zgłoszony przez Lewicę oraz stowarzyszenie Miasto Jest Nasze.

W ten sposób Warszawa pozostaje jedynym spośród największych miast, które nie ogranicza nocnej sprzedaży alkoholu choćby na części swojego obszaru. Szlaki przecierał Kraków, gdzie nocna prohibicja obowiązuje od dwóch lat w całym mieście i przyniosła znaczny spadek interwencji policji. Obostrzenia w centrum wprowadziły m.in. Łódź i Poznań. W Gdańsku i Szczecinie od niedawna prohibicja obowiązuje we wszystkich dzielnicach, a wkrótce podobnie będzie we Wrocławiu. Wszędzie tam dyskusje radnych też bywały burzliwe, ale to właśnie politycy KO głosowali za, a interesu sklepów monopolowych bronili zazwyczaj przedstawiciele Prawa i Sprawiedliwości. W stolicy sytuacja jest odwrotna – gdy się okazało, że Platforma nie chce ograniczeń, pozytywnie na ten temat zaczęli wypowiadać się warszawscy radni PiS.

Konflikt nie zakończył się w ubiegłym tygodniu. Radni zdecydowali o przygotowaniu pilotażu w dwóch dzielnicach (Śródmieście i Praga Północ), chociaż nie wiadomo, czy zakaz nocnej sprzedaży alkoholu obejmie wszystkie sklepy i kiedy mógłby wejść w życie. Miejscy aktywiści podkreślają, że w warszawskich konsultacjach społecznych za ograniczeniami wypowiedziało się 80 proc. uczestników. Poza tym pomysł prohibicji poparła Komenda Stołeczna Policji (jej szef właśnie odchodzi) i Okręgowa Rada Lekarska. Na radnych KO nie zrobiło to żadnego wrażenia, ale stołeczna PO poniosła ciężkie wizerunkowe straty.

CEZARY KOWANDA

© ADAM STĘPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 6f22740c7b

Pokaż język



Finansowe i wizerunkowe straty uczelni będą się ciągnąć przez lata – tak przedstawiciele szkół wyższych komentują chaos wokół sprawdzania znajomości języka polskiego u zagranicznych kandydatów na studia. – *W Polsce prawdopodobnie pojawi się ok. 20 proc. mniej niż rok temu pierwszorocznych studentów spoza naszego kraju* – szacuje prof. Bogumiła Kaniewska, przewodnicząca Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich i rektorka poznańskiego Uniwersytetu Adama Mickiewicza. – *A już w ubiegłym roku tych osób było 20–30 proc. mniej niż rok wcześniej.* W poprzednich latach studiowało w Polsce ok. 100 tys. cudzoziemców. To tylko niecałe 9 proc. wszystkich studentów, ale – co ważne – grupa ta płaci za studia (na uczelniach publicznych średnio 10 tys. zł rocznie, a na niepublicznych nawet do 30 tys. zł).

Sytuację skomplikowała afera wizowa. W 2023 r., za rządów PiS, okazało się, że urzędnicy szerokim gestem i z naruszeniem formalności przyznawali polskie wizy obywatelom państw Afryki i Azji. Były to też wizy studenckie, choć prawdopodobnie niezbyt liczne. Rząd Donalda Tuska od 2024 r. próbuje jednak uporządkować zasady wjazdu do Polski potencjalnych studentów z innych krajów. Niestety, mimo starań chaos narasta.

Na początku lipca tego roku (czyli miesiąc po rozpoczęciu rekrutacji) weszły w życie przepisy nakazujące pochodzącym spoza UE kandydatom na studia w Polsce potwierdzenie znajomości języka wykładowego (polskiego, ewentualnie angielskiego) na poziomie co najmniej B2, czyli średnio zaawansowanym. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego zwlekało jednak z określeniem, jak tę umiejętność potwierdzać. Niektóre szkoły wstrzymywały więc rekrutację obcokrajowców. Inne szukały rozstrzygnięć na własną rękę (np. wewnętrzne egzaminy w uczelnianych centrach językowych).

Dopiero 30 lipca MNiSW wydało rozporządzenie z opisem restrykcyjnych zasad potwierdzenia znajomości języka. Nowe przepisy miały nie dotyczyć kandydatów już przyjętych, np. na podstawie wspomnianych egzaminów. Jednak są też uniwersytety, które przeegzaminowały kandydatów, ale do domknięcia formalności zabrakło np. podpisu rektora. – *Teraz to my musimy świecić oczami i mierzyć się z frustracją ludzi, informując ich, że egzamin, który u nas przeszli, nie był ważny i muszą zorganizować inny dokument potwierdzający znajomość języka* – mówi pracownik jednego z uniwersytetów. Prof. Kaniewska podkreśla, że ten bałagan odbija się na światowym wizerunku polskich uczelni.

A co wybierają polscy studenci? – *Oprócz utrzymujących się na topie od lat psychologii, prawa, koreanistyki czy anglistyki zainteresowanie zdobywają studia związane z organizacją widowisk, np. reżyseria dźwięku na Wydziale Fizyki* – relacjonuje prof. Kaniewska. Na Uniwersytecie Warszawskim próg rekrutacyjny na Wydziale Fizyki osiągnął kolejny rekord (prawie 80 punktów). Prof. Krzysztof Turzyński, prodziekan ds. studenckich, widzi kilka przyczyn: – *Jedna tkwi w popkulturze. Hitowe seriale ostatnio przedstawiają nerdów jako pozytywnych bohaterów, bycie „ściślakiem" chyba stało się modne.* W Polsce znaczenie może mieć też konstrukcja matury z fizyki, uznawana za modelowo uczciwą i przyjazną. – *A kolejna kwestia to nasza dbałość o wysoki poziom nauki i dobrą atmosferę* – dodaje prof. Turzyński. O tym, że w czasach niżu demograficznego wizerunek należy do kluczowych zasobów uczelni, akademicy dobrze wiedzą. A władze państwa?

JOANNA CIEŚLA

Elektryzujący blamaż



Uff – tak w skrócie branża rowerowa skomentowała zeszłotygodniową decyzję o zamknięciu projektu dopłat do rowerów elektrycznych. W pierwszym odruchu reakcja ta może wydawać się niezrozumiała. Branża miała być istotnym beneficjentem tego programu, w którym rząd za pośrednictwem Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) obiecywał Polakom dopłaty na poziomie od 2,5 tys. (standardowy rower elektryczny) do 4,5 tys. zł (dla rowerów cargo). A w pierwszym podejściu dopłaty miały być nawet dwa razy hojniejsze. W 2024 r. 300 mln zł na ten cel pochodzić miało z Europejskiego Banku Inwestycyjnego (EBI).

Wizja kokosów przesłoniła wątpliwości. Zwłaszcza polskich producentów, którzy potrafili wypuścić na rynek całkiem udany rower elektryczny za 5 tys. zł. Łatwo policzyć, że dawało to przestrzeń do podnoszenia cen. Branża uwierzyła w program również z powodów psychologicznych. – *Polakom bardzo trudno przekonać się do elektryków, bo ciągle jeszcze mało kto miał z nimi bezpośrednie doświadczenie użytkownika. W Niemczech było tak samo. Kiedy ludzie zaczęli kupować, swoim przykładem przekonywali do zakupu innych* – opowiada, zastrzegając anonimowość, jeden z polskich producentów.

W rezultacie w 2024 r. niemal całe moce przerobowe polskich fabryk i montowni rowerów poszły w produkcję elektryków. Te jednak sprzedawały się słabo, bo klienci czekali na dopłaty. Zimnym prysznicem nie okazało się nawet odrzucenie wniosku o dofinansowanie projektu przez EBI. Ministerstwo Klimatu poinformowało, że program będzie procedowany w okrojonej formie. W lutym br. zakończyły się kolejne konsultacje i… nic. 17 września NFOŚiGW poinformował, że dopłat nie będzie. Producenci odetchnęli z ulgą. Klienci pewnie patrzą na to inaczej. JULL

eprasa.pl 6f22740c7b

TYDZIEŃ W POLITYCE

Konfa-bulacja



Karolina Lewicka

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

Udało się. Rząd popełnił komunikacyjne błędy. Raz, że Marcin Bosacki na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ powiedział, że w dom w Wyrykach uderzył rosyjski dron, a oficjalnie to „niezidentyfikowany obiekt latający", według „Rzeczpospolitej" – rakieta z polskiego F-16. Dwa, że Adam Szłapka skomentował słowa Donalda Trumpa jako odnoszące się do Polski, choć amerykański prezydent, odpowiadając na pytanie dotyczące też naszego kraju, mówił o Ukrainie.

Na to tylko PiS i Konfederacja czekały. Sławomir Mentzen nazwał rząd „największym dezinformatorem" i wezwał, by nie wierzyć „w żadne słowo Donalda Tuska". Były premier Mateusz Morawiecki pytał: „Czy jeszcze można im ufać w jakiejkolwiek sprawie?", a szef gabinetu prezydenta i prezes Kaczyński dowodzili, że niefortunna wypowiedź rzecznika rządu i poprzedzająca ją depesza PAP miały na celu zrujnowanie naszych relacji z USA. „Używają do tego już nie zapałek, ale miotacza ognia, jakim jest dezinformacja" – gorączkował się Paweł Szefernaker.

Jest winą wiceszefa MSZ, że nie przeczytał poprzedzającego jego wystąpienie o kilkadziesiąt godzin komunikatu prokuratury, przez co nie był precyzyjny. Także agencja informacyjna i rzecznik powinni być bardziej czujni – jeśli Trump mówi, że pomoże w zapewnieniu pokoju „po zakończeniu wojny", to jasne jest, przynajmniej na razie, że nie chodzi o nas. Jednak to, co robi opozycja i Pałac Prezydencki, trudno określić terminem innym niż dywersja. Wzywają, by ludzie nie wierzyli rządowi, czyli pośrednio także instytucjom i służbom państwa. Komu więc ufać? Rosyjskim botom czy trenerowi personalnemu z Krakowa, który na Facebooku stwierdza, że drony na polskim niebie może były celowym działaniem Rosji, a może wcale nie?

Nowogrodzka i konfederaci działają ręka w rękę z Moskwą, której zależy na erozji zaufania do władz państwa. A zatrute ziarno trafia na podatny grunt – brak zaufania do elit politycznych oraz instytucji jest pokłosiem tego, że przez wiele pokoleń państwo było opresyjne i obce. W imię partykularnych interesów partyjnych Konfederacja i PiS wzmagają tę podejrzliwość. A Rosja lubi to, co opowiadają Mentzen i Szefernaker. Bo skoro pożyteczni idioci pracują za darmo, jak wiadomo od czasów Lenina, to zaoszczędzone rubelki wyda się choćby na drony, które kiedyś znów wyśle się na zachód. Uzbrojone lub nie – to już w zależności od etapu konfrontacji.

Import na medal



Rzutem na taśmę, a konkretnie – skokiem wzwyż, udało się polskiej reprezentacji lekkoatletycznej uratować przed blamażem na mistrzostwach świata w Tokio. Gdy już się wydawało przesądzone, że po raz pierwszy od 1987 r. nasza ekipa wróci ze światowego czempionatu bez medalu, w ostatnim dniu zawodów srebro niespodziewanie wywalczyła 29-letnia **Maria Żodzik**, bijąc przy okazji rekord życiowy.

Polką jest raptem od półtora roku. Wcześniej reprezentowała Białoruś, ale przez lata miała poczucie, że nie jest tam jako sportsmenka traktowana poważnie. W rodzinnych Baranowiczach miała do dyspozycji maleńką halę, treningi często odbywały się na dworze (również zimą), a jej trenerka specjalizowała się w pracy z biegaczami. O emigracji zdecydowała po wybuchu wojny w Ukrainie, gdy stało się jasne, że białoruscy sportowcy – w ramach sankcji za współdziałanie Łukaszenki z Putinem – mogą zostać wykluczeni z międzynarodowej rywalizacji. Rokujący zawodnicy mają skróconą drogę do paszportu, a na plus Marii dodatkowo działało jej pochodzenie, czyli polscy dziadkowie.

W sportowym światku, wrażliwym o dostęp do narodowej kadry, gdzie obecność rozwiązuje wiele problemów finansowych i logistycznych, konkurencję z importu traktuje się nieufnie, żeby nie powiedzieć wrogo. Zawodnicy wybierający tę drogę sporo ryzykują: zatrzaskują za sobą jedne drzwi, nie mając pewności, że inne będą stały przed nimi otworem. Jednak białoruskie lekkoatletki – oprócz Żodzik to także sprinterka Kristina Cimanouska – powtarzają, że Polska szybko stała się dla nich drugim domem.

Importowi przyklaskują rodzimi działacze: wzmacnia konkurencję, mieszanie w krajowym sosie jest konieczne. Zwłaszcza że w ostat-nich latach coraz mocniej on gęstnieje. W skokach co prawda się nie liczyliśmy, ale kryzys dopadł też wypracowane w pocie czoła nasze lekkoatletyczne specjalności – sztafety i rzuty. Jeśli chodzi o rzut młotem, to zasłużeni, utytułowani, ale również wiekowi (ze sportowego punktu widzenia) Anita Włodarczyk i Paweł Fajdek nie mieli szans z młodszą konkurencją, a Wojciech Nowicki przegrał z kontuzją i do Tokio nie pojechał. Ślepa wiara, że wielcy mistrzowie zawsze staną na wysokości zadania, właśnie uleciała. Następców nie widać, a świat odjechał. MP

© ADAM WARŻAWA/PAP

eprasa.pl 6f22740c7b

AKADEMIA zwierciadła ZAPRASZA NA **wolni od stresu** *edycja czwarta*

ŚCIEŻKI DOBROSTANU

Dobrostan to stan, który obejmuje różne sfery naszego życia: fizyczną, psychiczną, emocjonalną, duchową, ale też społeczną i zawodową. Dobrostan nie jest stanem idealnym, który da się osiągnąć raz na zawsze. To codzienna praktyka, która wymaga uważności, akceptacji siebie i otwartości na zmiany. To proces ciągłego oswajania wyzwań, trudów, ale też radości z pozytywnych aspektów naszego życia.

Będziemy o tym mówić podczas 4. edycji konferencji „Wolni od stresu". Udział w niej potwierdzili:



KATARZYNA MILLER | PROF. DR HAB. N. MED. JAN LUBIŃSKI
PROF. DR HAB. N. MED I N. O ZDR. KAROLINA SKONIECZNA-ŻYDECKA
DOROTA PERETIATKOWICZ & KATARZYNA KRZYWICKA | KATARZYNA SOKOŁOWSKA
SYLWIA SITKOWSKA | MARZENA BARSZCZ
DR N. MED. MONIKA CZERSKA | JOANNA ZBOCH

KUP BILET
Bilety dostępne na
sklep.zwierciadlo.pl

290 zł
CENA OBOWIĄZUJE DO 27.09.2025

W cenie biletu: udział w wydarzeniu, lunch oraz przerwy kawowe.

27 WRZEŚNIA 2025
SOBOTA **GODZ. 9-19**

WARSZAWA VIZJA PARK
UL. OKOPOWA 59

Avène · Dr Irena Eris HOTELE SPA · Joanna Skrzypczak · Norsan · Rituals · Sanprobi · Solar · storytel

eprasa.pl 6f22740c7b

Trump i podżegacze



Na uroczystości żałobnej ku czci zamordowanego idola prawicowej młodzieży w USA Charliego Kirka jego żona Erika powiedziała, że przebacza zabójcy, „tak jak Chrystus przebaczał tym, którzy nie wiedzą, co czynią". Ludzie zgromadzeni w hali sportowej w Glendale w stanie Arizona śpiewali nabożne pieśni, mówcy porównywali Kirka do Mojżesza i podkreślali, że głosząc konserwatywne przesłanie, działał z bożej inspiracji i do swych liberalnych antagonistów nie czuł nienawiści.

Ale w Glendale przemawiał też Donald Trump i jego przyboczni z Białego Domu, zmieniając uroczystość w ponury wiec. Prezydent oświadczył, że – inaczej niż Kirk – nienawidzi swych wrogów, a wystąpienia wiceprezydenta J.D. Vance'a i ideowego guru MAGA Steve'a Millera były potokiem oskarżeń lewicowych „podżegaczy do przemocy" jako apostołów wszelkiego zła. Hołd złożony przez Trumpa zmarłemu tonął w powodzi przechwałek na temat swych zbawiennych dla Ameryki dokonań. Podobnie jak zaraz po zamachu w przemówieniu nie zabrakło aluzji, że wrogów należy ukarać.

Kilka dni wcześniej ofiarą prezydenckiego odwetu padł satyryk telewizji ABC Jimmy Kimmel. Mianowany przez Trumpa szef Federalnej Komisji ds. Komunikacji (FCC) Brendan Carr zagroził ABC nieokreślonymi surowymi konsekwencjami, więc telewizja zdjęła show Kimmela z anteny. Jego pseudożart nie był mądry ani zabawny, ale powiało mrozem, bo to kolejny przykład autocenzury mediów, po zapowiedzi likwidacji przez telewizję CBS satyrycznych programów Stephena Colberta, też pod presją administracji. Sieci telewizyjne w USA są własnością wielkich konglomeratów medialnych, którym rząd może odmówić zgody np. na korzystną fuzję z korporacyjnym partnerem. Trump zadanie ma o tyle łatwiejsze, że wskutek konkurencji internetu tradycyjne media mają coraz więcej kłopotów finansowych.

Po śmierci Kirka jedzie już po bandzie. Mówi, że ponieważ „97 proc. przekazów" w telewizjach to treści mu nieprzychylne, trzeba dobrać się im do skóry. W rozmowie z dziennikarzami powiedział, że niepoprawnym stacjom „należy odebrać licencje". Według prawników to raczej czcza pogróżka. Pozostają jednak wspomniane mechanizmy administracyjno-ekonomiczne, a także presja finansowa w postaci pozwów sądowych, jak pozew Trumpa przeciw „New York Timesowi", oddalony przez sąd pierwszej instancji. Nękanie mediów przez prezydenta będzie trwać. Tragiczna historia z Kirkiem dostarczyła mu propagandowych argumentów do walki z nimi metodami zapożyczonymi od Orbána i Erdoğana.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU



Francja słabnie

Wygląda na to, że Francja ma największą w Europie grupę obywateli demonstrujących niezadowolenie z rządów. Zawsze skłonni do manifestacji Francuzi w połowie września aż dwukrotnie wychodzili na ulice wielu miast w kraju (i jak zwykle rząd oceniał liczbę protestantów na nieco ponad 100 tys., a związki zawodowe nawet na milion). A niepopularny prezydent Emmanuel Macron mianował już piątego premiera od początku swej drugiej kadencji.

Głównym problemem jest brak zgody na sposób opanowania zadłużenia, które sięgnęło prawie 3,5 bln (!) euro, przekraczając 114 proc. krajowego PKB. Poprzedni rząd zaproponował m.in. skasowanie dwóch dni wolnych w roku i kontynuowanie wydłużania wieku emerytalnego do 65 lat. Większość Francuzów absolutnie to odrzuca, choć w sąsiednich Niemczech emerytura w wieku 67 lat nie budzi żadnych emocji. „Dług to sprawa każdego z nas" – przekonywał premier **François Bayrou** w pożegnalnym przemówieniu. Z badań wynika, że tylko 14 proc. Francuzów tak myśli.

Jak wiadomo, Bayrou nie uzyskał wotum zaufania i upadł. Ale nowy premier **Sébastien Lecornu** dziedziczy cały problem. Część lewicy popiera projekt podatku Zucmana – od nazwiska ekonomisty Gabriela Zucmana, który proponuje, by ultrabogacze z majątkiem powyżej 100 mln euro płacili od niego 2 proc. podatku rocznie. Przeciwnicy tego pomysłu, głównie na prawicy, wskazują, że duża część zamożnych ma te pieniądze nie w gotówce, lecz w nieruchomościach i firmach, nie miałaby więc jak zapłacić. A znowu inni uciekliby do krajów bardziej sprzyjających przedsiębiorczości. Komentator dziennika „Le Monde" uważa, że kraj ugrzązł w histerycznej debacie, mieszającej moralność z wydajnością gospodarczą.

Podstawowy problem polega jednak na tym, że we Francji dwie największe siły polityczne – skrajna prawica wokół Marine Le Pen i lewica związana z lewakiem Jean-Luc Mélenchonem nie widzą możliwości współpracy, a partia prezydencka jest dopiero na trzecim miejscu i nie znajduje nikogo do wsparcia. Historyk Gilles Richard, prezes Towarzystwa Historii Politycznej, ocenia sytuację jeszcze surowiej: nie ma już żadnej dość silnej i wiarygodnej siły politycznej zdolnej zorganizować społeczeństwo. Ta słabość Francji jest dla Europy smutna, gdyż Macron od lat jest najbardziej chyba energicznym przywódcą europejskim wspierającym Ukrainę, a zadłużenie kraju wyraźnie osłabia budżet wojskowy i nie skłania obywateli do wsparcia nowych wysiłków finansowych.

MAREK OSTROWSKI

© JON PUTMAN/ANADOLU/GETTY IMAGES, LUDOVIC MARIN/AP/EAST NEWS, OMAR AL-QATTAA/AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f22740c7b

Uznanie dla Palestyny



Zaczęło się w niedzielę – Wielka Brytania, Australia, Kanada, Portugalia. W poniedziałek miały dołączyć m.in. Francja i Belgia. Premier Keir Starmer oświadczył, że brytyjskie uznanie państwa palestyńskiego ma na celu „podtrzymanie szansy na to, że konflikt izraelsko-palestyński zakończy się w oparciu o zasadę dwupaństwowości". Dodał też, że Hamas nie może odgrywać żadnej roli w przyszłym zarządzaniu **Strefą Gazy** ani państwem palestyńskim. W ten sposób na dorocznym Zgromadzeniu Ogólnym ONZ do grupy prawie 150 państw już uznających Palestynę (od lat 80. jest w tym gronie Polska) dołączyło kilka liczących się krajów. A wszystko przy ostrym sprzeciwie Izraela i Stanów Zjednoczonych, które wcześniej – odmawiając wiz – zablokowały przyjazd palestyńskich dyplomatów do Nowego Jorku.

Izraelskie MSZ oświadczyło, że „kategorycznie odrzuca" wszystkie te akty. Ambasador Izraela przy ONZ Danny Danon przekonywał, że państwa uznające Palestynę „nagradzają terroryzm". A Beniamin Netanjahu zapowiedział, że w odpowiedzi Izrael może wkrótce aneksować część Zachodniego Brzegu Jordanu. Dodał jednak, że musi w tej sprawie skonsultować się z prezydentem Donaldem Trumpem, z którym w przyszłym tygodniu spotka się w Waszyngtonie.

Zjednoczone Emiraty Arabskie jasno dały do zrozumienia Białemu Domowi, że aneksja części Zachodniego Brzegu może doprowadzić do upadku zawartych przez kilka państw arabskich z Izraelem porozumień abrahamowych, które są kluczowym osiągnięciem Trumpa w polityce zagranicznej. Ewentualna aneksja stanowiłaby również naruszenie Karty Narodów Zjednoczonych i Konwencji Genewskiej. Międzynarodowy Trybunał Karny prowadzi już dochodzenie w sprawie izraelskiego osadnictwa na Zachodnim Brzegu, uznając je za potencjalną zbrodnię wojenną.

Jednocześnie trwa izraelska ofensywa na miasto Gaza. Równając z ziemią kolejne dzielnice, dwie izraelskie dywizje próbują wypchnąć Palestyńczyków, którzy uciekli tam z innych regionów Strefy Gazy. I choć wielu ludzi odmawia wyjścia z miasta, izraelskie wojsko szacuje, że od początku września ponad 450 tys. osób zostało już stamtąd przymusowo przesiedlonych. Strona palestyńska mówi o ok. 300 tys. i twierdzi, że w oblężonym mieście z bardzo ograniczonym dostępem do żywności i wody pozostało jeszcze ponad 900 tys. osób.

Wyspa.ai



Kiedy w latach 80. przydzielano domeny narodowe, dwuliterowe wyróżniki po kropce w adresach internetowych (jak **.pl** w przypadku Polski), **Anguilla** nie wiedziała, jaki wygrała los na loterii. Przekonała się dopiero, kiedy ruszyła rewolucja sztucznej inteligencji, bo ta karaibska wysepka z 16 tys. mieszkańców, brytyjskie terytorium zamorskie (słynne dotąd z boskich plaż i ekskluzywnej turystyki, głównie z USA), otrzymała końcówkę **.ai**. I już w 2024 r. dochody z niej stanowiły drugą po turystyce pozycję w budżecie (39 mln dol.), z silną tendencją wzrostową.

Sprzedano dotychczas ponad 850 tys. takich domen, stawki zaczynają się od 150–200 dol., a na razie rekordzistą pozostaje Amerykanin Dharmesh Shah, który za **you. ai** zapłacił ponad 700 tys. dol. Tłumaczył BBC, że to będzie brama do projektu, w którym AI reprezentuje i uosabia konkretnego człowieka z imienia i nazwiska. Domena **cloud. ai** poszła za 600 tys. dol., a **law. ai** za 350 tys. Co dwa lata trzeba taką licencję wznowić, ale to już umiarkowane stawki. Jak tak dalej pójdzie, wyspę będzie stać na przyzwoite lotnisko i lepsze drogi, miejscowym marzy się też porządna ochrona zdrowia.

Niestety Anguilla znajduje się w północnoatlantyckim pasie huraganów, które co jesieni pustoszą wszystko na swojej drodze. Z uwagi na awaryjność sieci elektrycznej serwery z danymi przeniesiono w bezpieczniejsze miejsce. Odbudowa po huraganie Irma z 2017 r. pochłonęła 60 mln funtów, skredytowanych przez Londyn, który dba o kwestie obrony i bezpieczeństwa wyspy. Nową działalność wyspiarzy przywitał z dużym uznaniem jako „alternatywną drogę wzrostu", pozostawiającą znikomy ślad węglowy. Anguilla swoim dobrem narodowym gospodaruje z głową. Tymczasem maleńki polinezyjski archipelag Tuvalu otrzymał od losu domenę **.tv,** ale jej nie docenił; wydzierżawił prawa za hurtowe 10 proc. i teraz bardzo tego żałuje.

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 6f22740c7b

Rozmowa z gen. Tomaszem Drewniakiem, byłym inspektorem sił powietrznych, o tym, jak kultura kłamstwa osłabia armię i państwo oraz czy rosyjskie drony otrzeźwią wreszcie polityków.

Państwo



System Pilica, czyli nasza artyleria lufowa 23 mm

eprasa.pl 6f22740c7b

z lukru i tektury

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Pan był z tych, którzy po ataku dronów polecieli do bankomatu, czy z tych, którzy pojechali na stację benzynową zatankować do pełna?**

TOMASZ DREWNIAK: – Ja byłem z tych, którzy poszli sobie zrobić herbatę. Włączyłem telewizor. A nawet w nim wystąpiłem. Ciągle teraz występuję. Trochę już nawet straciłem kontrolę, dla której stacji się wypowiadam.

A nie powinien pan być wtedy w jakimś bunkrze i tam się produkować? Zdaje się, że jest pan społecznym doradcą ministra obrony narodowej.

Rzeczywiście jestem takim doradcą. Ale – jak pan zauważył – społecznym, czyli jak mnie pytają, to odpowiadam. Ostatni raz pytali mnie bodajże w kwietniu. Ale proszę mnie nie prosić o szczegóły ani komentarz do tej sytuacji, bo jednak obowiązuje mnie lojalność.

To wróćmy do tej stacji benzynowej. Kiedy pan zacznie tankować do pełna i jeszcze brać na zapas?

Jak pójdzie atak na Łotwę i Estonię. Tylko że wtedy to będzie za minutę dwunasta.

A dlaczego na te kraje najpierw, a nie na Polskę?

Geografii nie oszukasz. Na dziś uderzenie na Polskę może pójść jedynie przez Białoruś. Czyli będą mieli do dyspozycji właściwie jedną linię kolejową Moskwa–Smoleńsk–Mińsk Białoruski–Brześć i jedną autostradę, która biegnie niemal dokładnie obok tej linii kolejowej. Po bokach są błota, słabe drogi, logistyczny koszmar. Przy ataku, który wymagałby minimum 300-tysięcznej armii, taka koncentracja wojska w jednym miejscu to byłoby samobójstwo. Na dodatek logistyka byłaby koszmarem, bo jak pierwsze jednostki będą się meldować w Brześciu, to ostatnie ciągle będą maszerować po placu Czerwonym, taka to niewydolna linia.

Skoro spartolili atak na Ukrainę…

W 1993 r. zostałem skierowany na studia podyplomowe w Wojskowej Akademii Lotniczej w Monino. To godzina drogi od centrum Moskwy. Miałem wiele okazji, by poznać mentalność Rosjan. Lekceważenie ich armii jest błędem. Są w stanie zaakceptować wielkie straty, są bardzo zdeterminowani, żeby osiągać swoje cele i potrafią się uczyć. Ukraina była porażką, bo nikt nie zakładał, że Ukraińcy wykażą taką odporność. Nawet sami Ukraińcy. Podobnie jak nikt nie przewidywał, że Zachód poda im rękę. Myślę, że nawet Ameryka była zaskoczona skalą swojego zaangażowania. Drugi raz na kardynalne błędy Rosjan już bym nie liczył.

Przypominam, że atak na Polskę może pójść jeszcze z Królewca.

Tak można było kombinować przed wejściem Szwecji i Finlandii do NATO. Teraz coś, co miało być lotniskowcem Putina, zamienione zostało w bunkier. Większa koncentracja w tym rejonie to marnowanie sił i środków, bo można je szybko wyeliminować. Oczywiście, że to nadal jest zagrożenie, ale po odcięciu od Bałtyku zostanie szybko zneutralizowane. Stąd potrzeba zajęcia państw bałtyckich, żeby zabezpieczyć pozycje i wyprowadzić uderzenie z różnych kierunków. Ale nie wiem, po co o tym rozmawiamy, bo ja nie przewiduję, żeby w najbliższej przyszłości groził nam któryś z tych scenariuszy.

To czym był ten nalot dronów z 9 na 10 września?

To się dopiero okaże. Rosjanie zakładali szereg celów, które chcieli osiągnąć za pomocą tej akcji. I teraz podliczają, co im się udało, a co nie. Z celów wojskowych z pewnością testowali nasze i natowskie systemy reagowania. Zakładam również, że testowali nasz lokalny system obiegu informacji i powiadamiania na szczeblach rządowych. Za pomocą agentury i nasłuchu liczyli czas przepływu informacji i kierunki przebiegu w czasie procesu decyzyjnego. Realizowali również strategię terroru społecznego. Wzbudzanie paniki i niepokoju w społeczeństwie to modelowy element ich strategii. Była to również wiadomość dla Zachodu. Patrzcie, Polska jest dziurawa jak sito, do was też możemy dolecieć. Tych punktów do zrealizowania było wiele, nie wiem, czy jest sens mówić o wszystkich.

Skoro to państwa bałtyckie są pierwsze w menu, to dlaczego atak poszedł na Polskę?

Po pierwsze, proszę jednak nie nadużywać słowa atak, bo to nie był żaden atak. Nikt nie zginął, nie ucierpiała infrastruktura krytyczna, nie było paniki społecznej. Właściwe słowa trzeba zostawić na właściwe sytuacje. Rosjanie robią ćwiczenia Zapad 2025. Jednocześnie są wycieńczeni wojną w Ukrainie. Ćwiczenia są dość skromne. Za pomocą tych kilkudziesięciu dronów mieli potrzebne im medialne fajerwerki. To również był ważny cel.

No właśnie kilkudziesięciu. Ludzie mogli się poczuć oszukani, że najpierw rząd informuje o 19 dronach. Później dowiadujemy się, że było ich 21. A na koniec okazuje się, że najbardziej zniszczony dom najprawdopodobniej dostał sojuszniczą rakietą.

Zadał mi pan tyle pytań w jednym, że sam nie wiem, od czego zacząć. Może od końca. Nie trzeba być generałem lotnictwa, żeby się zorientować, że kawałkiem styropianu z silniczkiem od motoroweru nie rozwalisz połowy murowanego domu. Dziwię się, że w tej kwestii od początku nie komunikowano wprost. Tym bardziej że zdjęcia obiegły wszystkie media w Polsce i gołym okiem było widać powyginane pręty zbrojeniowe w stropie. Nie jestem specjalistą od komunikacji, ale zdaje się, że ktoś tu popełnił błąd. I dziś rządzący płacą za to wysoką cenę, bo to kolejny przyczynek do mnożenia teorii spiskowych. A przecież wiele energii po 10 września rząd poświęcił na to, żeby ostrzec ludność przed dezinformacją. Na dodatek na tej liście celów, o której mówiłem wcześniej, z pewnością było wbijanie klina pomiędzy rząd i prezydenta. I początkowo wydawało się, że cel ten nie został osiągnięty, a aparat władzy zachował jedność. Co zdaje się przechodzi do czasu przeszłego, a jest ogromnym zagrożeniem wewnętrznym. Dla mnie to polityczne pranie brudów w mediach jest co najmniej krępujące.

Ja bym tego nie sprowadzał do lepszego czy gorszego piaru. Lecą drony, lecą rakiety, to już nie jest zabawa, kto lepiej wypadnie na TikToku. Ludzie pytają, gdzie są systemy antydronowe, gdzie jest armia, kto nas obroni. ▶

© PLUT. ALEKSANDER PERZ/COMBAT CAMERA POLAND

eprasa.pl 6f22740c7b

▶Armia jest w budowie, co chyba nie jest dla nikogo specjalną tajemnicą. Proces jest żmudny, ponieważ następują dwa zjawiska jednocześnie. Z jednej strony przechodzimy z systemów poradzieckich na te zachodnie. Dotyczy to całej techniki i jest to proces kosztowny, bardzo skomplikowany i czasochłonny, bo tych systemów trzeba się nauczyć. A mówimy o sprzęcie zaawansowanym i wymagającym wielu specjalistycznych umiejętności. Z drugiej strony budujemy armię na realną wojnę, a nie taką na pokaz.

Teraz to pan mówi jak jakiś piarowiec z ministerstwa. A przecież pana i wielu innych oficerów z wojska po prostu wywalono w czasach PiS. W tych samych czasach programy modernizacyjne poszły do kosza. PiS, zamiast wzmacniać rodzimy przemysł zbrojeniowy, zajmował tam przyczółki dla swoich nominatów, a pieniądze przejadano. A kiedy wybuchła wojna za wschodnią granicą, to zaczęto robić chaotyczne zakupy pod telewizję. Pana to nie martwi?

Pomijając pewną publicystykę pana diagnozy, to oczywiście mnie to martwi. Tym bardziej że tak się składa, że miałem dostęp do wiedzy, której nie mogę publicznie używać, więc milczę. Ale mnie najbardziej martwi coś innego. Coś, co ja nazywam kulturą kłamstwa. Wszyscy się okłamujemy. Od góry do dołu i od dołu do góry.

Może pan jakoś rozwinąć tę myśl?

Kultura kłamstwa polega na tym, że na każdym szczeblu hierarchii akceptowana jest zwykła ściema. Podwładny melduje, że ćwiczenie poszło dobrze. Przełożony raportuje, że wszystko działa, sztab nie weryfikuje i jeszcze podkręca ten lukrowany obrazek i tak aż po sam szczyt hierarchii. Jest na to nie tylko przyzwolenie, ale chyba wręcz zapotrzebowanie. Jak ktoś zadaje za dużo pytań, szuka odpowiedzi, to okazuje się, że tak naprawdę szuka dziury w całym. Jest jakimś czarnowidzem albo co gorsza może jakimś niepatriotą. Ta kultura kłamstwa ma się świetnie, bo wirówka kadrowa jest taka, że ze świecą szukać kogoś, kto odsłużył pełną kadencję na swoim stanowisku. Ludzie, którzy dziś są pułkownikami czy generałami, jeszcze dziesięć lat temu byli góra dowódcami batalionów. Ta ryba psuje się zresztą od głowy, bo kto był sprawdzany, jaka jednostka była weryfikowana?

Wojska Obrony Terytorialnej były certyfikowane?

Były. A zna pan wynik tej certyfikacji, wie pan, co poszło OK, a co nie?

A może nie powinienem tego wiedzieć, bo jak ja wiem, to i wróg wie.

No teraz to pan mówi jak jakiś piarowiec z ministerstwa. Jakieś minimum wiedzy i kontroli społecznej nad wojskiem jest jednak potrzebne. Skoro minister Błaszczak nie miał problemu z ujawnieniem tajnych planów obronnych, to chyba taka prosta informacja typu „WOT przeszedł (ewentualnie nie przeszedł) certyfikację" też się ludziom należy.

Atakuje pan ministra Błaszczaka, bo z ujawnionych przez niego materiałów wynika, że wojsko chciało oddać pół kraju i bronić się na linii Wisły. Pan zdaje się też musiał się na tych planach podpisywać.

To, że się musiałem na nich podpisywać, nie jest tajemnicą, bo wynika z jawnych procedur ich tworzenia i akceptowania. Reszta jest już tajemnicą i nie dam się wciągnąć w tę rozmowę. Ale mogę teoretyzować. Czy pana zdaniem plan obrony kraju jest dokumentem jedno- czy wielowariantowym?

Jeden wariant nie miałby sensu, tak jak w szachach nie ma jednego wariantu wygrania rozgrywki.

No właśnie. To skąd pan wie, który wariant i w której fazie trwania potencjalnej wojny został ujawniony? I to też jest ten element kultury kłamstwa, o której mówiłem.

Minister Błaszczak, przekazując resort ministrowi Kosiniakowi-Kamyszowi, przekazał mu mapę jednostek. A na niej była m.in. 8 dywizja, która – jak się okazało – miała stan liczebny na poziomie ośmiu osób. To jest ta kultura kłamstwa?

To i wiele innych elementów. Ciągle poruszamy się w obszarze jakiejś fikcji. Dobrze opowiedziana bajka kojąco działa na polityków, daje przepustkę do awansów. Później siłą rzeczy politycy stają się zakładnikami tych bajek i na końcu sami nam je powtarzają.

Aż przylatuje rój dronów i okazuje się, że król jest nagi.

Najgorsze jest to, że to nie był żaden rój. Rój dronów to tamtego dnia spadł na Ukrainę. U nas było 21, a tam 400, plus solidna porcja rakiet. U nas leciały wabiki, a tam prawdziwe, z głowicami bojowymi. U nas była wielka awantura, a tam ludzka tragedia. Ukraińcy mają to każdego dnia.

Czy Polska powinna się uczyć od Ukraińców?

Tak się składa, że pamiętam, jak jeszcze niedawno Ukraińcy przyjeżdżali uczyć się od nas.

To co się stało po drodze?

No przecież mówiłem, co się stało. Kultura kłamstwa. Przychodzi jakiś fantasta i opowiada, że on wyprodukuje drony, że nie ma sprawy, że to bułka z masłem. Mija rok, drugi. Dronów nie ma. Ale raporty są obiecujące: „Robimy, będzie, efekty są imponujące". Mija pięć lat i nic. Czy ktoś poniósł za to odpowiedzialność?

Sytuacja, o której pan najprawdopodobniej mówi, to program Orlik, z którego wykluczony został podmiot prywatny, a decyzją ministra Antoniego Macierewicza kontrakt dostał polski przemysł państwowy, który zobowiązał się, że wyprodukuje drona rozpoznawczego. Nie żebym chciał ich jakoś przesadnie bronić, ale wojsko postawiło 926 wymagań w tym programie. Kiedy w 2001 r. armia zabierała się do kupowania kołowych transporterów opancerzonych, to postawiono 290 wymagań. I już wtedy światowi producenci rwali włosy z głowy, że to przesada.

Dlaczego ta kultura kłamstwa może funkcjonować? Ano dlatego, że nie wypracowaliśmy bezstronnych narzędzi kontrolnych. Nie ma mechanizmów weryfikacji kwalifikacji. Nie wyciąga się konsekwencji wobec tych, którzy zawalili, nie dowieźli jakiegoś tematu. Wręcz promuje się ludzi, którzy są twarzami tego wszystkiego, o czym pan teraz opowiada.

Ostatnio pół Polski stało się specjalistami od dronów. Już na poziomie sklepowej ławeczki wiadomo, że nie ma sensu strzelać do styropianu za 500 dol. rakietami za 1,5 mln dol. To dlaczego ta wiedza nie przekłada się wyżej?

Jest prawda historii i prawda ekranu, jak mówiono w „Misiu". Prawda historii jest taka, że się nie opłaca. Ale prawda ekranu wymagała, żeby jednak zareagować.

A pan dałby komendę „ognia" w takiej sytuacji?

Obawiam się, że nie było innego wyjścia. Z dostępnych środków reakcji były takie, a nie inne. Co nie znaczy, że niczego nie mamy. Jest system Pilica, czyli artyleria lufowa 23 mm. Ale proszę pamiętać, że żaden wystrzelony pocisk nie rozpływa się w chmurach, tylko nieuchronnie spada na ziemię, a czasem – jak już wiemy – na ludzki dom albo głowę jakiegoś dziecka. Stąd moim zdaniem m.in. niechęć do tego, żeby takie systemy rozwijać. Jest jeszcze wiele elementów nie mniej istotnych, które każą się zastanowić nad tym, czy sięgać po podobne narzędzia.

eprasa.pl 6f22740c7b

Na przykład psychologiczne? Jak ludzie będą jechać do pracy i mijać artylerię przeciwlotniczą, to dwa razy się zastanowią, czy kupić nowy telewizor, czy wykopać w ogródku schron?

Na przykład. Uszczelnienie granicy takimi systemami wymagałoby wielkiego zaangażowania armii. Armii, która już ledwo daje radę na granicy z Białorusią. Dlatego najłatwiej sięgnąć po samolot. Tyle że byłoby dużo łatwiej, gdyby po drodze minister Macierewicz nie wyrzucił do kosza programu tankowania w powietrzu, na który Polska wydała moim zdaniem jakiś miliard, a minister Macierewicz w dniu podpisania umowy po prostu nie przyszedł złożyć podpisu. I nie mamy ani pieniędzy, ani programu. W efekcie para F-16 spod Poznania gna pod Przemyśl. Tam godzina w strefie patrolowania i po podejściu zmienników muszą wracać, bo przepisy i zdrowa logika mówią, że samolot nie może wracać na oparach, a nawet musi mieć zapas paliwa na walkę powietrzną. I tak w kółko. Marnotrawstwo to mało powiedziane. A jednocześnie manewry startu i lądowania to te, które najbardziej skracają żywotność sprzętu lotniczego.



Tomasz Drewniak (rocznik 1964) – pilot, generał brygady rezerwy. Zaczynał służbę na myśliwcach MiG-21. Ze względu na stan zdrowia przeszedł do lotnictwa transportowego. W lotnictwie przeszedł wszystkie szczeble kariery, aż do najwyższego wówczas stanowiska inspektora sił powietrznych. Po 34 latach służby odszedł z armii na fali kadrowej czystki, przeprowadzonej przez ministra Antoniego Macierewicza.

Ukraińcy mówią, że nas nauczą walczyć z dronami. Czy to nie jest trochę poniżające?

Prawda jest taka – nie zdradzę żadnej tajemnicy – że polska armia od dawna uczy się na ukraińskich przykładach. Jeśli ja bym chciał, żeby polska armia się czegoś nauczyła od Ukraińców, to kreatywności i elastyczności, bo potencjalna wojna, w której my będziemy walczyli, będzie jeszcze inna niż ta, w której zmagają się dziś Ukraińcy. Zresztą nawet ta ich wojna jest już inna, niż była.

Kiedy na początku czerwca Ukraińcy zniszczyli na lotniskach sporą część rosyjskiego lotnictwa taktycznego Rosji, jeden z pana kolegów powiedział: „Panie Julku, 1 czerwca 2025 r. skończyła się druga wojna światowa".

Niewątpliwie miał rację. Tyle że my inwestujemy miliardy w czołgi i ciężkie helikoptery bojowe, czyli chyba nie do końca zauważyliśmy, że coś się zmieniło. A dlaczego tak jest?

…bo kultura kłamstwa powoduje, że lepiej dalej udawać, że jest dobrze, niż uderzyć się w pierś i powiedzieć: popełniliśmy błąd, trzeba to przemyśleć, może ten kontrakt był za duży, może trzeba było inaczej wydać te pieniądze.

Widzę, że zaczyna pan łapać, o co mi chodzi. Przestańmy się wzajemnie oszukiwać, przestańmy traktować społeczeństwo jak idiotów. Trzeba uczciwie zacząć komunikować, jak jest, co trzeba zmienić. Nie działać pod publiczkę, bo to nam nic nie daje na dłuższą metę.

Premier Donald Tusk zapowiada, że do końca roku powstanie powszechny program szkoleń. Każdy chętny ma mieć szansę na przeszkolenie. Mamy połowę września. I o szkoleniach jest cisza.

Nie byłem wielkim fanem tego pomysłu, więc nie będę po nim płakał, jeśli nie wypali. Jaki jest sens, żeby kierowca tira szedł na przeszkolenie wojskowe? Kierowca tira już ma wspaniałe przeszkolenie. Potrafi wozić ciężki sprzęt, czego musielibyśmy go w wojsku uczyć miesiącami. Za chwilę trzeba będzie wozić tysiące czołgów, wyrzutni, tony amunicji. Nie marnujmy potencjału tego człowieka. Zresztą czego go nauczymy w dwa, trzy tygodnie? Czegokolwiek byśmy go uczyli, i tak nie przeżyje na polu walki więcej niż kilka dni albo godzin. Ukrainy nie obroniła armia, ale broni jej całe społeczeństwo. Elementem tej wielkiej sieci antydronowej jest przecież każdy Ukrainiec, który w powszechnie dostępnej aplikacji może zaznaczyć, że nad jego głową przeleciał dron. Po co polski informatyk ma się szkolić ze strzelania? Niech siedzi i pisze taką aplikację.

Na senacką komisję obrony narodowej przyszli biznesmeni z Wielkopolski, którzy się skrzyknęli i powiedzieli: mamy tyle i tyle tirów, dziesiątki koparek, mamy hale magazynowe, które są w stanie pomieścić tyle i tyle dywizji. Dogadajmy się. Na sali nie było nikogo z kierownictwa MON.

Mnie również tam nie było, więc trudno mi to komentować w szczegółach, ale NATO już lata temu mówiło o *smart defence*. O tym, że sprzęt wojskowy od niewojskowego czasem różni się głównie kolorem. A jednocześnie u nas ciągle nie ma uczciwej debaty, co i po co mamy kupić, dlaczego w ogóle mamy coś kupić. Od 15 lat jest mowa, że Polska powinna kupić okręty podwodne. Temat znowu wrócił. Ale ja dalej nie wiem właściwie, do czego nam są potrzebne te okręty. Czy chcemy zapewnić sobie dominację na Bałtyku? Wejście Szwedów i Finów do gry zmieniło rozkład sił na naszą korzyść. A może chcemy chronić szlaki transportowe na Atlantyku? Skoro większość sprzętu kupujemy z bardzo dalekiej zagranicy, no to OK. Ale wtedy trzeba myśleć o dużych jednostkach, a coraz częściej słyszę, że mają być małe. A może chcemy wyjść skrycie na Morze Północne i stamtąd dać salwę na wroga. No to trzeba kupować okręty z wyrzutniami rakiet.

W mętnej wodzie lobbyści pływają jak ryby.

To, co pan mówi, zakładałoby jakiś rodzaj korupcji, coś nieuczciwego. A ja mam wrażenie, że bardzo często to jest jednak zwykły brak kompetencji, właśnie ta kultura kłamstwa. Jest jakieś oczekiwanie, to się mu poddajemy. Duńczycy w 2004 r. zrezygnowali z posiadania okrętów podwodnych. Uznali, że koszt-efekt jest niekorzystny. Teraz trwa dyskusja, czy nie zmienić jednak zdania w tym zakresie, skoro zmieniły się wyzwania i skala zagrożenia. Chciałbym, żeby to tak u nas wyglądało. A jest tak, że minister Błaszczak leci do Korei. Wraca i okazuje się, że podpisał kontrakt na 48 samolotów FA-50.

A to zły samolot?

Prawidłowo zadane pytanie powinno brzmieć: „Czy to samolot, którego potrzebowały polskie siły zbrojne?". FA-50 to z pewnością nie jest zły samolot. Ale czy rakieta, w którą zostanie wyposażony, to jest to, czego szukaliśmy? Może tak, bo ja na podobnej rakiecie szkoliłem się w latach 80. zeszłego wieku, więc można uznać, że to oswojona technika. A może jednak zależało nam na czymś innym, bo będziemy mieli inne wyzwania niż te w latach 80. zeszłego wieku. O tym mówię.

Ale zwyciężymy?

Oczywiście.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

© TOMASZ RYTYCH/REPORTER

eprasa.pl 6f22740c7b



Na wschodzie Polski słowo „wojna” już przechodzi ludziom przez gardło.

Przywojnie

MARCIN KOŁODZIEJCZYK, FOTOGRAFIE LESZEK ZYCH

Była dokładnie godz. 3.20 10 września. Błysnęło jasnym światłem prosto w okna, domy zadrżały. Nikt tego nie przespał – za głośno. Jak w filmie wojennym, mówią ludzie w Cześnikach koło Zamościa. Człowiek patrzył przez okno ogłupiały i pytał sam siebie: to już? Świst, wybuch, jasno jak w dzień, coś spadło na pole chmielu za cmentarzem. – *Obudziła się wnuczka, trzylatka, płakała i narzekała, że trzęsą jej się nóżki* – opowiada starszy mężczyzna. – *Rano nie poszła do przedszkola, trzeba było przytulać.*

Zaroiło się od radiowozów wszystkich możliwych służb, błyskały światła. Następnego dnia okazało się, że chodzi o fragmenty ruskiego drona (miał napisy cyrylicą), raczej niegroźnego, którego dopadła polska rakieta za 2 mln dol. – ale to już były fakty zinterpretowane, z mediów i bliżej nieokreślonych internetów.

Tydzień później ludzie w Cześnikach mówią o tym, co się wydarzyło we wsi, wyłącznie językiem spierających się publicystów. Mąż sklepowej uważa, że to jakby z armaty strzelać do muchy. Klient sklepu mówi, że jak toto leciało, to nie było wiadomo, że niegroźne (pojawia się medialne określenie „dron-wabik”), trzeba było „neutralizować” za wszelką cenę dla dobra społeczeństwa. – *Ruski nas wykończy finansowo* – zauważa inny klient. – *Walimy milionami w styropian* (było w internecie, że drony zrobione ze styropianu). Potem jeszcze dołącza się taki, który przeczytał w telefonie, że to mogły być ukraińskie, a nie ruskie drony.

W każdym razie dron spadł „gdzieś tam” (każdy pokazuje trochę inny kierunek, bo, po pierwsze, chmiel na polu za cmentarzem już zebrany i zniknął punkt orientacyjny, a po drugie, nakłada się ludziom to, co widzieli na własne oczy, z tym, co widzieli w mediach). „Przywojnie”, jak mówią cywile ze wschodniego pogranicza, na swoje miejsce życia.

Zosin, przejście graniczne

Wieś całkiem pusta w środku dnia. Przy zamkniętych domach powiewają polskie flagi na masztach własnej roboty (częsty widok na przywojniu). Jedyny sklep spożywczy w Zosinie dawno umarł i teraz się zapada. Równiutki asfalt, wyremontowany w unijnym standardzie, ciągnie się pustą linią do przejścia granicznego z ukraińskim Uściługiem. Nowoczesna polska stanica graniczna miga elektronicznymi światłami. Kiedy Rosja napadła na Ukrainę, przez przejście uciekali do Polski Ukraińcy. Zosin pełen był ludzi, którzy przyjechali pomagać uchodźcom, stały namioty z jedzeniem, wodą i ubraniami. Kursowały pomocowe busy do Zamościa, stamtąd do Europy. Teraz pustka.

eprasa.pl 6f22740c7b



Cmentarz w Cześnikach. Tuż za nim spadły fragmenty jednego z dronów.
Na sąsiedniej stronie: **granica polsko-białoruska.**



Tylko na zakolu drogi mała i cicha „stojanka" – stoją busiki ukraińskich handlarzy. Rano przyjeżdżają do Polski, robią zakupy w sklepach Hrubieszowa i Zamościa, po południu wracają do Ukrainy. Każdy z handlarzy słyszał o dronach ze wschodu, które spadły na Polskę. – *Kacap gorszy od Germańca w drugą wojnę* – kiwają głowami. Żaden nie ma wątpliwości: – *U nas było tak samo. Najpierw spadały pojedyncze drony. Mówili, że przez pomyłkę. Znaczy, u was też się zaczęło.*

Hrubieszów, rynek

– *Nie robię żadnych zapasów na wszelki wypadek i nie znam nikogo, kto by robił* – mówi fryzjerka w Hrubieszowie. – *Ja po prostu wypieram.* Rozmowa toczy się luźno i niezobowiązująco w trakcie pracy. Koleżanka fryzjerki dodaje z nerwem: – *No bo co z tego, że ja bym zrobiła jakieś zapasy, jak nie wiadomo, ile to potrwa, jak się zacznie. Zapasów na lata i tak nikt nie zrobi.*

Rozmowa schodzi na rozpoczęty rok szkolny, a następnie jednak na Putina. Każdy, kogo spytać, życzy Putinowi nagłej śmierci. A z drugiej strony uważa go za kogoś w rodzaju nieśmiertelnego złego ducha. – *Nie umrze, skurwysyn* – pada w rozmowie dwóch starszych panów na rynku. – *Szprycują go odżywkami. Długo pociągnie.* Kiedy wahadło rozmowy wraca do tematów lokalnych, zawsze można nawiązać do pustego biura poselskiego z szyldem: „Dr. Marcin Romanowski, Wiceminister Sprawiedliwości, Suwerenna Polska". Dr Romanowski obecnie ukrywa się przed sprawiedliwością na Węgrzech, jednak jego biuro przy hrubieszowskim rynku czeka nietknięte – w środku meble, na drzwiach godziny przyjęć interesantów.

10 września przed świtem drony zza granicy musiały lecieć nad Hrubieszowem. Są tacy, którzy twierdzą, że widzieli. Słyszeli charakterystyczny turkot (przypomina dźwięk silnika skutera – jak wyjaśnia internet i lokalne media). Poleciały na Zamość.

Kryłów, symbole

W Kryłowie mieli kiedyś festiwal kultur – wieś leży nad samym Bugiem, latem budowało się tymczasowy, symboliczny most do Ukrainy. Ludzie chodzili tu i tam przez trzy dni, jedli, pili, tańczyli. Nie obywało się bez zgrzytów, bo kramarze w ukraińskim Krecziwie miewali na sprzedaż koszulki ze Stepanem Banderą, który tam jest bohaterem, a w Polsce – delikatnie mówiąc – nie jest. Ale wszystko dawało się dogadać, wyjaśnić, ten festiwal (kulturowo, jak pisano, symboliczny niczym budowanie nowej Europy) ściągał zawsze dużo ludzi z okolic. Umarł razem z wojną w Ukrainie.

W listopadzie 2022 r. w Przewodowie, 30 km od Kryłowa, spadła pierwsza w regionie przywojnia zbłąkana rakieta, zginęło wtedy dwóch mężczyzn. Rakieta, jak się później okazało, była produkcji rosyjskiej, ale wystrzelona w Ukrainie. Sprawę zakwalifikowano jako „nieszczęśliwy wypadek". Przewodów pamiętają w okolicy wszyscy – pierwsze zetknięcie z wojną, niewiarygodny huk mimo odległości.

O dronach z września 2025 r. Kryłów dowiedział się rano z telewizji i internetu. I stała się rzecz dziwna – drony nie były obecne w rozmowach między ludźmi. A jeśli już, to na sposób zabawny („latają nam nad głowami, a my śpimy"). Żadnych pytań do sołtyski, jak się zachować, żadnych zebrań wsparciowych, żadnego wykupywania sklepów, uciekania – sama codzienność. Latem wieś była pełna ludzi, bardzo wiele domów w Kryłowie to teraz daczowiska zrobione z ojcowizn – skończyły się wakacje, drony leciały nad pustymi domami.

Okuninka, hotel

Kilka kilometrów na północ stąd, w kierunku Włodawy, stykają się granice trzech państw – Polski, Białorusi i Ukrainy. Mówi się na to trójstyk i bywały takie mityczne czasy (dziś brzmi to jak klechda domowa), że z trójstyku robiono cywilizacyjne sedno okolic – trzy słowiańskie narody, Lech i Rus, współpraca, mały ruch graniczny. Białoruś słynęła wśród Polaków z doskonałych leśnych tras rowerowych. Organizowany we Włodawie Festiwal Trzech Kultur (prawosławie, katolicyzm, judaizm) właśnie się odbył – niespełna dwa tygodnie po przelocie dronów.

Okuninka nad Jeziorem Białym jest plażą Włodawy, turystyczną stolicą regionu, wygląda jak każdy kurort – hotele, salony gier, wypożyczalnie sprzętu, namioty z wyprzedażami. Mimo to w połowie września już tonie w ciszy i pustce. – *To nie wina wojny, tylko złej koniunktury* – mówi jeden z hotelarzy. A po namyśle dodaje: – *Chociaż wojny też, na równi ze złą pogodą w tym sezonie.*

Rano na ogromnej pustej sali bankietowej hotelu głośno gra radio: polityk opozycji odważnie obrzuca błotem rządzącą ▶

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 6f22740c7b



Rynek w Hrubieszowie. Biuro poselskie Romanowskiego czeka na powrót posła. Poniżej: **Aleks z biura informacji turystycznej w Narewce: – Ludzie przyjeżdżają i nie wierzą. Znika im cały warszawski strach.**

▶ koalicję za to, że źle poradziła sobie z atakiem dronów. Że społeczeństwo i wojsko źle przygotowane do obrony. Że ludzie się boją nieudolności władzy i wojny też. Jest doraźny powód do szarży na rząd – ruski dron, który spadł na dom w pobliskich Wyrykach (całkowicie zniszczony dach), właśnie okazał się polską rakietą, która prawdopodobnie chybiła drona.

Właściciel hotelu krząta się po sali i kręci głową, w końcu przycisza radio i zwraca się do jedynego gościa: – *Teraz już wszystko jest ruska propaganda. A jak nie ruska, to niemiecka. A jest jeszcze propaganda amerykańska, unijna, izraelska. Nie można już mieć własnego zdania, bo posądzą człowieka o propagandę.*

Właściciel innego pustego hotelu w Okunince: – *Ostatnio był przypadek, że na weselu w lokalu pobiły się dwie grupy mężczyzn. Niby zwyczajnie rozmawiali o polityce, ale potem jeden zarzucił drugiemu ruską propagandę. Poszła iskra.*

Właściciel trzeciego: – *Strach po dronach? Raczej śmiech. Ludzie oduczyli się myśleć samodzielnie. Mieszkamy w takiej części Europy, że powinniśmy się nauczyć, jak zarabiać na swoim położeniu. My nie możemy przynależeć do którejś ze stron, tylko balansować.*

Włodawa, alert

Na powiat włodawski spadło 10 września najwięcej dronów – aż osiem.

Trafienie w dom w Wyrykach opisuje lokalny „Nowy Tydzień": pan Wesołowski z żoną przebywali w pokoju na dole, oglądając w telewizji program publicystyczny o napiętej sytuacji za wschodnią granicą Polski. Akurat zaczynały się wielkie manewry rosyjsko-białoruskie pod kryptonimem „Zapad" (Zachód). Polska i sojusznicy z NATO odpowiadali na „Zapad" własnymi manewrami o nazwie Żelazny Obrońca-25 (*Iron Defender*). Dwa globalne systemy pokazywały sobie bicepsy, a potężny huk rozległ się u Wesołowskich na strychu. W salonie spadł żyrandol.

„Nowy Tydzień" powołuje się na świadka wydarzeń: pan Kawiak, fotograf, poszedł w nocy do lasu obserwować rykowisko jeleni. Zobaczył lecący nisko myśliwiec, polujący na jakiś mały obiekt latający, wydający dźwięk silnika skutera. Myśliwiec zawracał, układał się do strzału. W końcu strzelił, ale nie trafił. Rakieta zniknęła.

Na rynku we Włodawie pan Zenon, rencista. – *Na szczęście nic się nikomu nie stało* – mówi – *ale ja bym chciał wiedzieć, kto kłamie, a kto mówi prawdę na tym świecie.* Z jednej strony media przestrzegają: nie bądź NUWI (nieświadomy uczestnik wojny informacyjnej – chodzi o to, żeby nie powielać bzdur internetowych na temat wojny. NUWI podawali np., że dom w Wyrykach zniszczyła burza). Ale zwykły człowiek jest informacyjnie bezbronny wobec propagandy – nie wie, kto podaje mu informację i czy to wiarygodne. Dlatego w ramach zapasów wojennych Zenon zaledwie zatankował do pełna starą Skodę i czeka na kolegę Stefana, który poszedł po dalsze zapasy. Wraca Stefan, niesie sześciopak piwa – śmieją się.



A znowu po drugiej stronie rynku starsze małżeństwo wylicza, co kupiło: – *Kilka kilogramów makaronu, kilka cukru, kilkanaście konserw*. Chcieliby, mówią, wziąć więcej, ale się troszkę wstydzili zarzutu o panikę. Wrócą jutro po więcej.

Taki styl na przywojniu – każdy się boi, ale nie pokazuje. Ludzie spieszą się do pracy, na bazar, po dziecko do szkoły; normalne życie rządzi. Tak samo to wyglądało we Włodawie dzień po nocy dronów. Z tym że – jak zauważa Wiesław Muszyński, burmistrz miasta – prawie zabrakło gotówki w bankomatach i paliwa na stacjach – takie się tam ustawiały kolejki.

Powiat, gabinety

Burmistrz Muszyński mówi: – *Przyspieszamy tempo. Będą szkolenia z bezpieczeństwa dla mieszkańców*. Na razie gminy przywojnia mają dostać z centralnego Programu Ochrony Ludności i Obrony cywilnej pieniądze na poprawę bezpieczeństwa i świadomości. Nocne drony pokazały jasno, że ludzie nie wiedzą nawet, że syrena alarmowa zarówno ogłasza, jak i odwołuje alarm. Nie mówiąc o tym, że często nieużywane od kilkudziesięciu lat syreny zepsuły się od rdzy.

Włodawa dostanie 850 tys. i zgodnie z podpisaną umową musi je wydać do końca roku. Na schrony to nie wystarczy, można będzie jedynie z grubsza przystosować miejsca już istniejące, np. podziemia włodawskiego klasztoru paulinów. Starczy na rzeczy takie, jak pakiety medyczne i ratunkowe, agregaty, systemy przechowywania i uzdatniania wody. Jednak – jak zauważyli samorządowcy okolic Włodawy – firmy handlujące takimi dobrami z miejsca wywindowały ceny pod niebo (samorządowcy mówią znacząco: – *Wolny rynek, tak, oczywiście. Ale przydałaby się w tej sprawie interwencja państwa*).

Kodeń, strzały

Piękny jesienny dzień, pełne słońce. Mateusz z kolegą koszą trawę wokół sanktuarium maryjnego w Kodniu. Teren

eprasa.pl 6f22740c7b



Okuninka nad Jeziorem Białym. Kurort na styku trzech granic. Poniżej: **Mateusz przy pracy w sanktuarium w Kodniu: – Za rzeką strzelają bez przerwy, już się przyzwyczailiśmy.**

zadbany, miejsce pielgrzymek, Częstochowa wschodu. Tuż za murem sanktuarium polski słup graniczny, rzeka Bug i białoruski słup. Na tym brzegu Mateusz spokojnie kosi, a na drugim strzelają z broni maszynowej – niesie się głuchy klekot. Czasem przestraszony pielgrzym zapyta Mateusza, czy się nie boi, a on wzrusza ramionami i mówi: – *Oni tam ciągle strzelają, można się przyzwyczaić, tego się u nas nikt nie boi*. Inni też przyzwyczajeni: mieszkańcy wsi, zakonnicy, ogrodnicy. Wytłumaczenie jest proste i należy do codzienności tej części pogranicza: Białoruś ma po drugiej stronie rzeki stały poligon, to strzela. Czy manewry „Zapad", czy nie – on ćwiczy strzelanie.

Zanim granica z Białorusią zamknęła się na amen, ludzie stąd i stamtąd przyjaźnili się, odwiedzali. To jest właśnie ta prawda – mówią często ludzie stąd – której Warszawa nie chce rozumieć: że ludzie z Podlaskiego, choć obywatele polscy, są tutejsi, powiązani z drugą stroną Bugu przyjaźniami i rodzinnie. To już wypłynęło boleśnie w pierwszych tygodniach pisowskiej zony i budowy zapory w 2021 r., kiedy uzbrojone patrole polskie szalały po okolicy w poszukiwaniu uchodźców, szpionów i sprzedawczyków – zdarzało się, że mieszkańców zatrzymywano i aresztowano kilka metrów od ich własnych domów.

Kiedyś kolega Mateusza, mając już dość tłumaczenia pielgrzymom odgłosów zwykłych strzałów karabinowych zza Buga, pokazał im dziurawą łopatę, twierdząc, że to ślad po białoruskiej kuli. Pielgrzymi uwierzyli, bo taka jest narracja ogólnopolska – wschód jest według Warszawy regionem totalnego strachu przed wrogiem.

Inny kolega Mateusza znalazł 10 września rano ruskiego drona na własnym podwórku przed domem. Dron, opowiadał



ten kolega, ześliznął się delikatnie z nieba i miękko wylądował. Zrobiony był głównie ze styropianu. Kto podłączony do ukraińskich socjali (każdy może), zna tamtejszą praktyczną prawdę: Ukraińcy radzą zestrzeliwać ruskie drony z broni ręcznej, bo to i skuteczniejsze, i tańsze.

Terespol, zajazd

Zajazd u Jędruli stoi kilkadziesiąt metrów od przejścia granicznego z Białorusią. To była kiedyś istna róża wiatrów, dokoła kantory, sklepy, stojanki, restauracje – wszystko nastawione handlowo na Białorusa. W latach 90., zanim założył biznes, Jędrula był ochroniarzem na granicy – mityczne czasy, kiedy Polska się bogaciła, a Białoruś zapadała w biedę; złote interesy się robiło. Kursowały wte i wewte białoruskie mrówki, przenosiły na plecach towaru za tysiące dolarów dziennie. Poza tym – jak wynika ze wspomnień biznesmenów z Terespola – z Ruskim dało się dogadać.

Jędrula mówi: – *Teraz tak cicho, że jak nocą przygazuje motor na rondzie w Mińsku, to ja to słyszę, jakby u mnie pod oknem jechał*. Jędrula pracował też u Niemców, jeździł na gastarbajterki, i wspomina to jak najgorzej. Teraz główna klientela zajazdu to patrole Straży Granicznej. Czasem paru żołnierzy. Jak ma taki człowiek jak Jędrula podchodzić do władzy, która od lat przycina mu biznes odgórnym zakazem? Nie można by, zamiast wszystkiego zakazywać, też dać trochę ludziom zarobić? Białorus to był bardzo dobry klient. To samo mówią właściciele sklepów i agencji celnych przy granicy – punkt widzenia zależy od miejsca życia.

Główna ulica Terespola puściutka. Właścicielka lumpeksu wyprzedaje ubrania po złotówce sztuka.

Masiewo, zapora

Główne zdziwienie: na przywojniu właściwie nie spotyka się żołnierzy. Czasem jakaś stanica radarowa w polu, czasem patrol Straży Granicznej. Dla kogoś, kto bywał w okolicach za czasów pierwszej, pisowskiej zony w 2021 i 2022 r., ogromna różnica – wtedy mundurowi byli wszędzie, nie dało się zrobić kroku, żeby nie przeszukali, spisali, zatrzymali, wydalili z rejonu. Teraz pod słynną zaporę można swobodnie podejść, nikt nie wypadnie z krzaków z karabinem.

Jarek, po pięćdziesiątce, od pokoleń tutejszy, spod Białowieży, zaczyna rozmowę od: – *Nie wierzcie temu, co mówią w telewizji*. Jedzie się od Hajnówki, przez Białowieżę i potem na Narewkę i Stare Masiewo – wzdłuż samej granicy – i spotyka więcej kamperów z turystami niż wojskowych samochodów. Wsie puste, spokojne – głównie mieszka tu już Warszawa, różni uciekinierzy z korporacji. Latem te wsie były pełne ludzi. Mówi Aleks, pracownik biura informacji turystycznej w Narewce: – *Ludzie do mnie dzwonią i pytają, czy bezpiecznie. Potem przyjeżdżają i nie mogą uwierzyć. Znika im ten cały warszawski strach.*

Jarek mówi: – *To prawda, że my się może tu już przyzwyczailiśmy. Zona, budowa zapory, inwigilacja, uchodźcy, wojna ukraińska, ale na co dzień widzę spokój. Trzeba znać tutejszą specyfikę – od wieków ludzie tu żyją na pograniczu światów, z dala od wielkomiejskich rewolucji. Wypracowaliśmy sobie taki tutejszy spokój.*

MARCIN KOŁODZIEJCZYK,
FOTOGRAFIE LESZEK ZYCH

eprasa.pl 6f22740c7b

Niech pan(i) nie panikuje

Krótki poradnik dla zwykłych Polek i Polaków na czasy wojen i kryzysów.

JOANNA CIEŚLA



Katarzyna, 40-latka z Warszawy, wiedziała, że stało się coś złego, zanim jeszcze zajrzała do serwisów informacyjnych. 10 września rano rzuciło się jej w oczy powiadomienie z aplikacji bankowej na smartfonie – wypłata kilku tysięcy złotych z rachunku jej i męża. Kobieta zamarła: kradzież? Gdy kilka sekund później przeczytała o rosyjskich dronach nad Polską, poczuła cień ulgi – widać mąż, o świcie jadąc do pracy, pobrał gotówkę. Ale zaraz przyszedł jeszcze większy strach.

Po tym, jak – zgodnie z radiowymi zaleceniami ministry edukacji (choć bez przekonania) – Katarzyna zaprowadziła do szkoły dzieci, w internecie sprawdziła, gdzie jest najbliższy schron. Okazało się, że w promieniu dwóch kilometrów nie ma żadnego. – *Są tylko tzw. MDS-y, czyli miejsca doraźnego schronienia. Według definicji można się tam ukryć np. przed orkanem* – relacjonuje. Wtedy po raz kolejny poczuła, że to wszystko chyba nie dzieje się naprawdę. Później była seria telefonów. Najpierw kuzynka – z pytaniem, czy zdaniem Kasi te drony mogły być ukraińskie. Potem kolega: czy Kasia wie, że wspólna znajoma podobno w ogródku sama buduje sobie schron. Potem z pracy zadzwonił mąż, że na razie chyba nic złego już się nie wydarzy. Ale trzeba znów spakować plecaki ewakuacyjne.

W końcu Kasia zadzwoniła do bankowego doradcy, z którym miała rozmawiać o kredycie na większe mieszkanie. Bezterminowo przełożyła spotkanie. Po kilku dniach trochę się to uspokoiło, ale dalej nie czuje gruntu pod nogami. – *Moja mama radzi, że jeśli chcemy kupować mieszkanie, to lepiej małe, ale np. w Hiszpanii. Firma męża odświeżyła awaryjny plan ewakuacji do Niemiec. A ja łapię się na strasznych myślach, że gdyby w końcu coś gruchnęło, przynajmniej byłoby wiadomo, że trzeba uciekać. I skończyłyby się dylematy, jak planować życie* – wyznaje.

© GETTY IMAGES

eprasa.pl 6f22740c7b

Jak czytać i pisać?

Według sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu" po naruszeniu naszej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony 55 proc. pytanych uważa, że Polsce grozi wojna. 45 proc. ankietowanych sądzi, że nie ma takiego zagrożenia. Wskaźniki i tak są dużo niższe niż te z 2022 r., gdy Rosja zaczęła w Ukrainie pełnoskalową inwazję. Wtedy, w badaniu IBRiS dla „Rzeczpospolitej", 80 proc. badanych mówiło, że boi się wojny.

Dr Agnieszka Mościcka-Teske, psycholożka z Uniwersytetu SWPS, podkreśla, że strach – związany z konkretnymi źródłami (np. możliwe zniszczenia dokonane przez drony) i lęk – związany raczej z niepewnością, mglistymi wyobrażeniami mrocznych scenariuszy – nie u wszystkich ludzi otwarcie się ujawniają: – *Bywają przykryte złością, smutkiem albo rezygnacją.*

Od ponad pięciu lat, czyli od początku pandemii, jesteśmy bombardowani kolejnymi tragicznymi doniesieniami, co trochę ludzi uodparnia, ale i podkopuje kondycję. – *Te dwa mechanizmy się na siebie nakładają. W kryzysach ostatnich lat przetestowaliśmy własne umiejętności radzenia sobie, wypracowaliśmy strategie. Kłopot w tym, że nie wszystkie te strategie są zdrowe* – zauważa ekspertka.

Najlepszy przykład to poszukiwanie informacji – logiczne, gdy rzeczywistość staje się niezrozumiała i zagrażająca. A jednak badania na całym świecie pokazały, że osoby śledzące wiadomości dotyczące koronawirusa przez wiele godzin dziennie były w dużo gorszej kondycji psychicznej niż ludzie, którzy spędzali mniej czasu na aktualizacji danych o pandemii. Pod tym względem przez pięć lat okoliczności też się pogorszyły. W trakcie pandemii mnożyły się siejące zamęt teorie spiskowe, ale to wraz z rosyjską eskalacją w Ukrainie dezinformacja wskoczyła na nową orbitę. Czy zwykły człowiek ma szansę stawić temu czoło?

– *Jeśli chodzi o wpisy na temat Ukrainy, obecnie nawet te podające neutralne informacje, np. o festiwalach muzycznych, spotykają się z masą wrogich odpowiedzi* – mówi Marcin Kostecki ze Stowarzyszenia Demagog. Autorom, którzy chcą uniknąć żenujących dyskusji, doradza zamykanie sekcji komentarzy, szczególnie jeśli nie są w stanie tych komentarzy na bieżąco moderować. Mniej jednoznaczna jest odpowiedź na inne gorące pytanie: czy wdawać się w dyskusję z domniemanymi trollami? – *W Demagogu wchodzimy w interakcje z postami podważającymi nasze publikacje, jeśli te wpisy nie są pustym zbiorem obelg. Zwracamy uwagę na fragmenty, które nadawca mógł przeoczyć, albo podrzucamy nowe fakty.* Analitycy nie obawiają się zwiększenia zasięgu fałszywych informacji, ponieważ wraz z nimi zasięg zdobywa wpis z tą prawdziwą.

Gdy jednak chodzi o prywatnych użytkowników, pytanie dotyczy głównie kosztu, jaki gotowi są ponieść. Alicja, 50-latka, niedawno stanęła w obronie Ukraińców w facebookowej dyskusji. Pod jej wpisem pojawiła się anonimowa odpowiedź, cztery słowa: imię i nazwisko Alicji oraz oznaczenie „Młodzież Wszechpolska". Kobieta odebrała to jako jawną próbę wystawienia jej na szczucie. A jest przedsiębiorczynią, pod własnym nazwiskiem oferuje usługi szkoleniowe. – *Nie namawiam, żeby tworzyć fałszywe konta do przekazywania własnych opinii, ale żeby rozważyć, czy ważniejsze jest dla kogoś poczucie własnego bezpieczeństwa, czy chęć słusznego działania, które jednak może okazać się niezauważalne* –podpowiada ekspert.

A czy rezygnować z kontaktu ze znajomymi, którzy publikują treści budzące nasz sprzeciw? – *Nie. Ale obserwować, jak działa na nas śledzenie ich* – podkreśla Marcin Kostecki. Szczególną czujność zalecają eksperci wobec rodzącego się w nas gniewu i strachu oraz działań, do których one pchają: mamy słać w świat pogłębiające chaos treści. Dlatego Stowarzyszenie Demagog za jedno z kluczowych wyzwań uznało kontrolowanie emocji i własnego umysłu. Jak to przenieść na konkretne działania?

Jak się uspokajać?

Według specjalistów sprawdza się tu tzw. model równowagi, stworzony przez irańsko-niemieckiego psychiatrę Nossrata Peseschkiana. W Podkaście Psychologicznym POLITYKI opowiadała o nim terapeutka Anna Kałuba-Korczak: – *Według tego modelu aktywność człowieka można zamknąć w czterech obszarach: ciało/emocje, relacje z innymi, zadania/działania oraz fantazja/duchowość.* Gdy pojawia się zbyt silne napięcie albo dezorientacja, człowiek (świadomie lub nie) sięga po techniki ze swojego „ulubionego" obszaru. – *Część osób osiąga stabilizację, skupiając się na doznaniach płynących z ciała. Komuś dobrze robi wysiłkowy sport, a komuś – relaks w SPA. Dla innych źródłem równowagi są relacje: może spokojna rozmowa z kimś bliskim, może udział w przyjęciu. Kolejna grupa najwięcej czerpie z duchowości, która może oznaczać religijność, ale też różne zachwycające doznania, jak kontakt ze sztuką albo tworzenie jej. Spora część ludzi gruntuje się w działaniu. Uspokajają ich czasem proste czynności, które dają widoczne efekty typu sprzątanie.*

Ekspertka zachęca, żebyśmy rozpoznawali, który obszar u nas najlepiej działa, ale też radzi szukać dodatkowego oparcia w pozostałych: – *Jeśli komuś pomaga głównie ruch, będzie w trudnej sytuacji, gdy złamie nogę. Dlatego dobrze jest nauczyć się kilku metod zmniejszania napięcia.*

O dobrodziejstwie elastyczności mówi też dr Agnieszka Mościcka-Teske: – *Pewien mój przyjaciel psycholog tuż po rozpoczęciu pełnoskalowej rosyjskiej inwazji w Ukrainie pogrążał się w przygnębieniu i katastroficznych wizjach. Pomyślał, że może sam poczuje ulgę, gdy zaangażuje się we wsparcie dla osób uciekających przed wojną.* Ruszył do ośrodka dla uchodźców, ale okazało się, że fachowa pomoc psychoterapeutyczna niespecjalnie jest tam potrzebna. Potrzebne było zrobienie herbaty i kanapek, pomoc w zmianie pościeli, posiedzenie i pogadanie o życiu. – *Zaczął to robić i widział, że ludzie czują się lepiej. Znalazł poczucie sensu, sprawczości, znikło też jego własne przygnębienie.*

Specjalistki przekonują, że sposobów psychicznej regeneracji i poprawy samopoczucia trzeba szukać mimo zagrożeń. Nie chodzi o naiwne namawianie do optymizmu. Chodzi o skuteczność. Ludzie wypoczęci, w dobrym stanie psychicznym, dostrzegają więcej niuansów, możliwości rozwiązań, są mniej skłonni do egoizmu, a bardziej do działań na rzecz innych.

Jak rozmawiać?

Chodzi też o domową codzienność. Tylko ten, kto jest w stanie względnego spokoju, ma szansę przeprowadzić pożyteczną rozmowę, np. z wystraszonym dzieckiem. – *Rozmowa o ewentualności wojny jest trochę jak rozmowa o śmierci. Nie wiemy, co ona oznacza, jeśli rozróżnia się wiedzę od wiary. Dziecku pytającemu „Czy będzie wojna?" najlepiej powiedzieć prawdę: „Nie wiem, kotku, mam nadzieję, że nie". I dodać: „Ale na wszelki wypadek zrobimy teraz różne rzeczy, żeby się przygotować"* – podpowiada Anna Kałuba-Korczak i namawia, żeby pobrać rządowy poradnik o zagrożeniach, przeczytać go i przerobić razem z dziećmi. ▶

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ Czy jeszcze bardziej się nie wystraszą? – *Dzieci zauważają więcej, niż nam się wydaje. Im są mniejsze, tym częściej przypisują sobie odpowiedzialność za wydarzenia wokół siebie. Najsilniej wtedy, gdy je odsuwamy i mówimy: „Nie zrozumiesz". Dlatego lepiej uczyć je procedur bezpieczeństwa, tak jak się uczy, co zrobić, gdy zgubią się w sklepie.*

A jeśli dziecko – zwłaszcza starsze – nie pyta o nic? Część specjalistów zaleca, by samemu nie otwierać trudnych wątków. Gdy jednak wiadomo, że syn lub córka z informacjami o możliwej wojnie musieli się zetknąć, lepiej świadomie wprowadzić ten temat. – *Nawet jeśli oświadcza: „Nie chcę o tym rozmawiać", można powiedzieć: „OK, ale jako rodzic potrzebuję ci coś powiedzieć. To potrwa minutę, nastaw stoper w komórce". Przez minutę można przekazać to, co wiemy, dodać, że w podobnych sytuacjach ludzie mogą czuć złość, strach, dezorientację – i że to normalne – oraz że w razie pytań syn czy córka zawsze mogą przyjść do mamy, do taty albo cioci.* W idealnym modelu prosiłoby się dodać nauczycieli. Kłopot w tym, że w Polsce szkoły należą do słabszych punktów na mapie odporności.

Jak się ćwiczyć?

Tuż po wtargnięciu dronów na teren Polski działacze ZNP z województwa łódzkiego, dokąd też doleciała jedna z maszyn, opublikowali w mediach wystąpienie. Pisali o „głębokim zaniepokojeniu brakiem procedur w placówkach oświatowych w przypadku zagrożeń powietrznych". Ogólnopolskie Stowarzyszenie Kadry Kierowniczej Oświaty już wiosną apelowało do władz o uruchomienie przygotowań na wypadek kryzysu czy wojny. – *Na razie nic z tego nie wynikło* – relacjonuje dyrektor OSKKO Marek Pleśniar.

Organizacja sama zaprosiła na swój kongres specjalistów z Finlandii, żeby uczyć się z ich doświadczeń. Na następny zaprasza przedstawicieli ABW. – *W szkołach w miarę regularnie ćwiczy się tylko ewakuacje na wypadek pożaru, czyli wyjście na podwórko. W razie np. ostrzału miasta byłoby to absurdem.* Organizacja apeluje, żeby państwo zleciło fachowcom z wojska i obrony cywilnej przygotowanie minimalnych standardów bezpieczeństwa. – *Naszym zdaniem potrzebne są trzy tryby alarmowe: oprócz ewakuacji schronienie na miejscu i blokada na wypadek ataku terrorystycznego. Nauczyciele i dzieci powinny się w tym szkolić kilka razy w roku.*

Ocenia, że podobne ćwiczenia można zacząć jeszcze w tym roku. Na wszystkich wpłynęłoby to dobrze, bo świadomość obywatelska, jak ratować siebie i innych, podnosi morale, a może poprzez uczniów udałoby się też dotrzeć do rodziców. Szkoły nadają się do roli lokalnych ośrodków koordynacji reagowania w sytuacjach kryzysowych. – *W czasach pokoju też nam się to przyda* – podkreśla Pleśniar. – *I do walki z pożarami i powodziami, i do tego, żeby poćwiczyć wspólne działanie, bo jak wiadomo, kryzys świetnie Polaków jednoczy.*

Katarzyna z Warszawy tydzień po nalocie dronów jednak umówiła się z doradcą od kredytów. Zamierza zapytać, czy kupno mieszkania w Hiszpanii byłoby w zasięgu jej rodziny. Podobne telefony pośrednicy odbierają dziś nawet trzy razy częściej niż wcześniej. A już w 2024 r. Polacy nabyli w tym kraju ponad 4,2 tys. nieruchomości, o jedną trzecią więcej niż w 2023 r. Chętniej kupowali tylko Brytyjczycy, Niemcy i Marokańczycy. Spotkanie z doradcą ma mieć charakter informacyjny. Ale Kaśka chce wiedzieć, jakie ma opcje działania. Wierzy, że dzięki temu poczuje choć trochę stabilniejszy grunt.

JOANNA CIEŚLA

Dwaj panowie od intryg

20 lat temu wygrali dla PiS kampanię parlamentarną, a dla Lecha Kaczyńskiego – wybory prezydenckie. Adam Bielan i Michał Kamiński najskuteczniejsi byli zawsze w duecie. Co planują teraz?

ANNA DĄBROWSKA, MICHAŁ TOMASIK

To ich jako pierwszych na polskim podwórku politycznym nazwano spin doktorami. Teraz po kilku cichych latach, choć wielu twierdzi, że wcale nie zerwali ze sobą kontaktu, duet powraca.

Spotkanie marszałka Sejmu Szymona Hołowni z Jarosławem Kaczyńskim w lipcową noc, tuż przed rekonstrukcją rządu i zaprzysiężeniem Karola Nawrockiego, w prywatnym mieszkaniu Adama Bielana w towarzystwie Michała Kamińskiego rozgrzało polską politykę. Tym bardziej że ktoś (zapewne sam Bielan) zadbał o to, by dziennikarze dowiedzieli się o tym spotkaniu i zrobili zdjęcia.

Media i politycy oczekiwali wyjaśnień. Po długim milczeniu wicemarszałek Senatu z ramienia PSL Michał Kamiński odniósł się do sprawy, dolewając oliwy do ognia: „Mam dowody na to, że to Szymon Hołownia namówił mnie na to spotkanie, a nie odwrotnie" – przekonywał dziennikarzy. W TVP Info dołożył premierowi: „Donald Tusk nie potrafił wygrać wyborów w 2023 r. Jest premierem dlatego, że PSL i Hołownia na to pozwalają".

A już we wrześniu Kamiński odbył tajemniczą podróż do Stanów Zjednoczonych w tym samym czasie, gdy poleciał tam Adam Bielan, by szykować pierwszy zagraniczny wyjazd prezydenta Nawrockiego. Dla wielu to kolejny dowód

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 6f22740c7b

na odnowienie spółki. Dziś Bielan znów zyskuje punkty u Kaczyńskiego, a wielu w PiS uważa, że został głównym rozgrywającym, bo siedział w Gabinecie Owalnym z Donaldem Trumpem. Kamiński za to znów dostarczył swoim kolegom z koalicji argumentów na to, że mentalnie już ją opuścił.

Wicemarszałek Senatu ma w koalicji wielu wrogów. Poza tym nocnym spotkaniem już wcześniej podpadł ostrą krytyką premiera. Po przegranych przez Rafała Trzaskowskiego wyborach mówił na antenie Polsat News: „Nie stało się nic, żeby ta koalicja przestała funkcjonować. Ale stało się wszystko, by na jej czele przestał stać Donald Tusk". I dalej: „Jeżeli pan mnie pyta, czy ja mam zaufanie do kogoś, kto obrzucał błotem amerykańskiego prezydenta i nie jest w stanie go za to przeprosić, moja odpowiedź brzmi: nie". Odpowiedzi na pytanie, co kierowało Kamińskim, nasuwają się same. Po pierwsze, od miesięcy wspierał prezydencką kandydaturę Radosława Sikorskiego i uważał, że Rafał Trzaskowski nie wygra dla KO Pałacu. Z Sikorskim i Romanem Giertychem (również stronnikiem Sikorskiego) znają się od zamierzchłych czasów pierwszego rządu PiS. Po drugie, Kamiński w Tusku widzi obciążenie, a nie spoiwo i pewnie z radością przyjąłby wiadomość o powierzeniu misji uformowania nowego rządu właśnie Sikorskiemu lub liderowi PSL albo Polski 2050.

Nie można nie wspomnieć też o innych zarzutach Kamińskiego. „Mój senacki kierowca został poproszony, żeby na mnie donosić, ale odmówił" – poinformował na antenie TVN w kwietniu. Okazało się, że za „donoszeniem" kryła się prośba działu transportu Senatu o lepszą komunikację z dyspozytorem. Niektórzy politycy zgadują, że Kamiński obawiał się, że za sprawą raportów jego kierowcy wyjdą na jaw jego spotkania z Bielanem.

Dziś nie mówi się o powrocie Kamińskiego do PiS. On sam twierdzi, że o wiele lepszą szansę na powrót miał w poprzedniej kadencji, gdy „wisiała na nim jednoosobowa antypisowska większość w Senacie". I zaprzecza, jakoby chciał zagrać rolę syna marnotrawnego, którego Kaczyński przygarnie znów do siebie, jak kiedyś Bielana. – *Tu nie chodzi o żadne miłosierdzie prezesa, ale o to, czy Michał mu się do czegoś przyda. Jeśli tak, to z pewnością coś się dla niego znajdzie. Tak samo było z Bielanem* – mówi ważny polityk PiS. Choć droga powrotna może okazać się długa i pełna przeszkód.



Poznali się w połowie lat 90. w sztabie kandydatki na prezydentkę Polski Hanny Gronkiewicz-Waltz, którą popierał wówczas prezes Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego Ryszard Czarnecki. 24-letni Michał (ZChN) był rzecznikiem jej sztabu wyborczego, a dwa lata młodszy Adam (rocznik 1974) działał we wspierającym ją NSZ. W Sejmie zadebiutowali w 1997 r. z list AWS. Mieli też epizod z Przymierzem Prawicy, a w 2001 r. znaleźli się w nowo powstałej partii braci Kaczyńskich. Kamiński uchodził wtedy za duszę towarzystwa, sypał politycznymi anegdotami (znał wiele, wszak był 11 lat w ZChN), a Bielan, trochę wycofany, szybko się od niego uczył i został rzecznikiem prasowym PiS. Odnieśli sukces, bo w 2002 r. pomogli Lechowi Kaczyńskiemu zostać prezydentem stolicy, choć groziła mu porażka z Andrzejem Olechowskim. Stworzyli – jak się zdawało – nierozłączny duet marketingowy. Zaprzyjaźnili się, Bielan jest ojcem chrzestnym młodszej córki Kamińskiego.

Jarosław Kaczyński sporo w nich inwestował, pozwalał jeździć po świecie, szczególnie do USA, aby zwozili na Nowogrodzką pomysły na skuteczną kampanię. W 2004 r. – po to, by zdobywali międzynarodowe kontakty i trochę w nagrodę – obaj zostali europosłami. Wielu wspomina, że wówczas Kamiński uchodził za tego bardziej politycznie doświadczonego, a Bielan – ten bardziej pracowity – jego pomysły realizował. – *Ale to było kiedyś, dziś Adam jest bardzo sprawnym politykiem, umie rozgrywać ludzi. Po aferze z wyprowadzaniem grubych pieniędzy z NCBiR wszyscy myśleli, że jest* ▶

▶ *skończony i pójdzie pod sąd, a on otrzepał się, twierdzi, że o niczym nie wiedział, i jedzie dalej* – przyznaje polityk PiS.

W 2005 r. duet Bielan-Kamiński wynosi braci Kaczyńskich do władzy. Obaj spin doktorzy, już nauczeni, jak to się robi w Stanach, wiedzieli, że w kampanii trzeba prostego komunikatu i mocnych obrazków. Tak narodził się podział na Polskę solidarną i liberalną, a także kultowy spot wyborczy przedstawiający lodówkę ze znikającą zawartością na skutek cięć liberałów z PO. Sztab Platformy Obywatelskiej nie nadążał z reagowaniem na kampanijne klipy i eventy rywali. Bielan robił równolegle karierę jako rzecznik PiS i europoseł, był nawet wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego. W tym czasie, dokładnie w 2007 r., Kamiński wylądował w kancelarii Lecha Kaczyńskiego jako prezydencki rzecznik. – *Myślę, że ich sukces polegał w głównej mierze na tym, że mieli spory wpływ na bardzo mocno związanych ze sobą braci bliźniaków Kaczyńskich. Adam bywał często na Nowogrodzkiej, a Michał spotykał się w pałacu z Lechem. Suflowali braciom te same pomysły, plotki, wizje* – wspomina nasz rozmówca z PiS.

Katastrofa smoleńska okazała się przełomowa dla ich politycznych karier. Po porażce Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich winnymi okazały się „leki uspokajające i sztab wyborczy". Wygrał Bronisław Komorowski, a cenę zapłacili odpowiedzialni za kampanię. Kamiński wspomina, że sam miał namawiać prezesa PiS do złagodzenia wizerunku i odbicia do centrum. Byli sztabowcy zaczęli tworzyć partię Polska Jest Najważniejsza. Trafili tu zarówno Bielan z Kamińskim, jak i Joanna Kluzik-Rostkowska, Paweł Kowal, Paweł Poncyljusz, Andrzej Sośnierz czy Marek Migalski. PJN nie przetrwała ani próby czasu, ani żadnej innej. Bielan szybko skłócił się z kolegami, którzy oskarżali go o konszachty z PiS, aż szefowa partii Kluzik-Rostkowska wykluczyła go z szeregów. Już w 2011 r. zaczął się jego długi powrót do PiS. Wtedy też poróżnili się z Kamińskim. Ten zaczął zacieśniać relacje z Giertychem i Sikorskim, który zabiegał o miejsce na listach PO dla „Miśka", bo też miał w tym interes. Chciał tworzyć swoją frakcję w partii.

Z kolei do Bielana rękę wyciągnął Jarosław Gowin, który po przegranej rywalizacji z Tuskiem o władzę w PO zaczął budować centroprawicową Polskę Razem, później przemianowaną na Porozumienie. W 2014 r. wystawili listy do PE, ale zdobyli zaledwie 3 proc. i zostali z niczym. Chwilę później Gowin uznał wyższość Kaczyńskiego i w nagrodę, jak Ziobro z Solidarną Polską, wszedł do obozu Zjednoczonej Prawicy, a Bielan do Senatu. W 2019 r. Kaczyński wystawił go z powodzeniem na europosła.

– *Już wtedy Adam był bardziej z prezesem PiS niż z nami w Porozumieniu Gowina. My byliśmy przeciwni organizowaniu wyborów prezydenckich w pandemii, ale Adam chodził do Kaczyńskiego i przekonywał go do tego pomysłu. Miał nas rozegrać i rozbić. Był w tym piekielnie skuteczny* – wspomina polityk Porozumienia. Bielan wyciągnął z Porozumienia młodszych stażem polityków i założył dla nich partyjkę Republikanów. Na przeczekanie, bo w 2023 r. rozwiązali się i weszli do PiS. A Bielan rok później został przez Kaczyńskiego znów nagrodzony euromandatem i jest uchem prezesa w Brukseli.

Kiedy Bielan pracował na to, by wrócić do łask Kaczyńskiego, Kamiński obrał odwrotną drogę. W 2012 r. udzielił wywiadu rzeki „Koniec PiS-u" i związał się z PO. Mandat do Sejmu zdobył z warszawskiego obwarzanka, gdzie listę ciągnęła Małgorzata Kidawa-Błońska. Mało kto jednak wierzył w jego przemianę, wielu uważało go wciąż za pisowca.

W 2016 r. został przykładnie zawieszony, następnie wyrzucony z partii przez nowego szefa PO Grzegorza Schetynę. Oficjalny powód: niesubordynacja (występy medialne bez informowania kierownictwa). „Misiek" znowu trafił za burtę, ale utrzymywał się na powierzchni, współtworząc z usuniętym przez Schetynę Jackiem Protasiewiczem Unię Europejskich Demokratów. Dołączyli do parlamentarnego klubu ludowców i w 2019, a także w 2024 r. Kamiński został senatorem oraz wicemarszałkiem Senatu.

– *Ale on nie czuje się tu u siebie. Jest z innej niż ludowa gliny, nie ma tu wielkiego posłuchu, a uważa, że jego pomysły są najlepsze* – mówi polityk PSL. Z kolei Marek Sawicki po nocnym spotkaniu u Bielana ostrzegał: „To była samodzielna inicjatywa Kamińskiego. Przypominam jednak, że spin profesorowie Bielan i Kamiński, gdy biorą się za jakąś robotę i rozwalanie koalicji, to robią to skutecznie. Przestrzegam mój rząd, aby tego nie bagatelizowano".

Minister Miłosz Motyka, rzecznik partii i zaufany współpracownik Władysława Kosiniaka-Kamysza, broni Kamińskiego, że „jego lojalność polityczna jest potwierdzana w głosowaniach". Wniosku o odwołanie z funkcji wicemarszałka nie będzie, wbrew apelom koalicjantów. W rozmowach politycy PSL przekonują, że nie jest to dla partii problemem, bo ludowcy należą i będą należeć do koalicji 15 października. A „Misiek"? – *Ma swoją estetykę* – mówi z dystansem ważny polityk PSL. Zagadkowa pozostaje relacja Kamińskiego z Hołownią, który zaliczył porażkę projektu Polska 2050 i może szukać nowego otwarcia.

Dla obu ugrupowań dawnej Trzeciej Drogi Kamiński może się okazać użyteczny w poszukiwaniu porozumienia z prawicą. Ożywione relacje Bielana z Kamińskim są opcją na współpracę PiS z PSL czy Hołownią po wyborach w 2027 r. – *Adam zdaje sobie sprawę, że jak będziemy musieli układać się z Konfederacją, to jego siła będzie ograniczona w sposób bardzo znaczący* – mówi ważny polityk PiS. – *To Bielan przekonuje dziś Kaczyńskiego do ataku na Konfę, co wpisuje się w emocje prezesa, bo chce zajechać Mentzena, aby nie mieć tak silnego rywala po prawej stronie.*

Kaczyński ceni przede wszystkim skuteczność. Choć Bielan nie załatwił prezesowi szabel od Hołowni do walki z Tuskiem, to po nocnym spotkaniu, które zorganizował razem z Kamińskim, zasiał spory zamęt w koalicji rządowej. – *Bielan pracuje nad prezesem, aby pokazać mu użyteczność Michała Kamińskiego.* Zdaje się, że w sprawie Paktu Senackiego 2027 zarówno Kamiński, jak i koledzy z koalicji są zgodni: miejsca na nim nie znajdzie – i zadba o to osobiście Tusk. W takiej opowieści PiS mógłby zrezygnować z wystawiania Kamińskiemu kontrkandydata.

W 2017 r. w wywiadzie dla „Poradnika Psychologicznego" POLITYKI Michał Kamiński opowiadał, jak „istotną rzeczą w polityce jest strach przed utratą poczucia wpływu, sprawczości, bycia ważnym. Myślenie o tym, co będzie w świecie po polityce, staje się często obsesją". Może ta obsesja właśnie go dopadła i ponownie zaprowadzi na orbitę PiS. Być może z częścią ludowców i klubu Hołowni. Obiektywnie sam Kamiński już do PiS wrócił.

ANNA DĄBROWSKA, MICHAŁ TOMASIK

eprasa.pl 6f22740c7b



ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

Czwarta droga

Im głębsza otchłań zionie po nieboszczce Trzeciej Drodze, tym pilniejsza konieczność zasypania jej nową ofertą. Konkurs na start-upy, nowe polityczne byty, właśnie się rozpoczął.

RAFAŁ KALUKIN

Za kulisami polityki zdobywa popularność teoria luki, czyli potencjalnego miejsca do zagospodarowania przez nieistniejący jeszcze polityczny byt. Miałby on podjąć próbę zebrania pod jednym dachem wyborców głosujących dwa lata temu na koalicję 15 października, którzy później rozczarowali się rządem Donalda Tuska i odeszli. Bez przeciągnięcia ich z powrotem na jasną stronę mocy marne są bowiem widoki na pokonanie prawicy w najbliższych wyborach.

Pierwsi chętni właśnie się ujawnili, chociaż ziemia się od tego nie zatrzęsła. Ale to nie jest jeszcze czas wykładania właściwych kart. Od półtorej dekady w każdych wyborach parlamentarnych z powodzeniem debiutował jednak jakiś nowy ruch, więc i tym razem można się tego spodziewać. Inna sprawa, że okazywały się one później meteorytami, co pewnie trochę nadszarpnęło ogólną skłonność wyborców do zawierzania nowościom. Chętni mimo wszystko na pewno się znajdą, a jeśli będą mieli opory, nie powinno też zabraknąć namawiających do podjęcia ryzyka.

Ale zacznijmy od próby oszacowania luki, przyjmując za punkt wyjścia wynik wyborów z 15 października 2023 r. i porównując go z obecnymi trendami sondażowymi. Najbardziej rzuca się w oczy niezwykła wręcz stabilność poparcia Koalicji Obywatelskiej, która uzyskała wówczas 30,7 proc. poparcia, czyli 6,6 mln głosów. W pierwszej turze tegorocznych wyborów prezydenckich jej kandydat Rafał Trzaskowski dostał nawet więcej, gdyż 31,4 proc., tyle że przy nieco niższej frekwencji, co przełożyło się na 6,1 mln głosów. A zatem pół miliona wyborców mimo wszystko wyparowało. Średnia sondażowa KO z ostatniego miesiąca (według witryny ewybory.eu) to wciąż porównywalne 30,1 proc. Główna rządząca formacja zasadniczo więc nie traci, ale też nie rośnie.

Nieoczekiwanie to się ostatnio udało stronie lewicowej. Do Sejmu poszła na jednej liście, uzyskując 8,6 proc. i 1,9 mln głosów. W prezydenckich podzieliła się na troje kandydatów, co zwiększyło jej możliwości mobilizacyjne. Na Adriana Zandberga, Magdalenę Biejat oraz Joannę Senyszyn oddano łącznie blisko 2 mln głosów, co dało skumulowane 10,2 proc. Zapewne pomogli podnieść pułap wyborcy KO, których zniesmaczył populistyczny flirt Trzaskowskiego w kampanii. Ale nie można też wykluczyć skromnego przepływu z Trzeciej Drogi. Obecna średnia sondażowa Nowej Lewicy wynosi 6,5 proc., a Razem – 3,6 proc. Wygląda to zatem dosyć stabilnie. Formacje Czarzastego i Zandberga co prawda ze sobą rywalizują, ale nie są w stanie wojny i pewnie będą mogły skrzyknąć się na wybory parlamentarne, żeby zwiększyć zdobycz mandatową.

Główny problem jest z dawną Trzecią Drogą, która od początku była najsłabszym ogniwem koalicji. W tamtych wyborach wspólna lista Polski 2050 i PSL dostała niebotyczne dzisiaj 14,4 proc., tj. 3,1 mln głosów. Ale już w rywalizacji prezydenckiej Szymon Hołownia zanurkował na marne 5 proc., dostając niespełna milion głosów. Teraz mniej więcej to samo pokazują słupki obojga rozwodników: średnia Polski 2050 to 2,9 proc., ▶

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ a PSL – 2,2 proc. Żadne z nich nie ma więc dzisiaj szans na samodzielne przetrwanie.

Inaczej niż w przypadku lewicy, to stadło na pewno już nie powróci. Trzeba więc znaleźć formułę, która pozwoli utrzymać milion sierot po Trzeciej Drodze. Chociaż tak naprawdę kluczowa będzie oferta dla pozostałych 2 mln wyborców, którzy uciekli wcześniej. Bez ich ponownej mobilizacji nie ma mowy o pokonaniu prawicy.

A gdzie ich szukać? Czas więc skierować uwagę na prawo. Tutaj rzucają się w oczy przede wszystkim straty PiS, który jeszcze dwa lata temu zdołał zebrać nieosiągalne dzisiaj 35,4 proc. i 7,6 mln wyborców. Karolowi Nawrockiemu w pierwszej turze wyborów prezydenckich poszło już znacznie słabiej: 29,5 proc. i 5,8 mln głosów. Obecna średnia sondażowa PiS to z kolei 30,5 proc. 5-procentowy ubytek jest znaczący, bo to blisko 2 mln wyborców. Bez większego ryzyka możemy przyjąć, iż dzisiaj znajdują się w uniwersum Konfederacji.

W 2023 r. wtedy jeszcze wspólna formacja Sławomira Mentzena, Krzysztofa Bosaka i Grzegorza Brauna dostała skromne 7,2 proc., czyli półtora miliona głosów. W wyborach prezydenckich osiągi niemalże się potroiły! Na Mentzena i Brauna łącznie poszło zagłosować aż 4,1 mln wyborców, co dało 21,1 proc. poparcia. Jakaś część pewnie pod wpływem jednorazowej emocji, bo teraz w sondażach duża Konfederacja Mentzena i Bosaka oraz mała (chociaż „koronowana") Brauna opadła łącznie na 18 proc. (odpowiednio: 13,6 i 4,4 proc.). Niemniej zbilansowany przychód pozostaje gigantyczny i nie da się go wytłumaczyć wyłącznie przepływem z PiS. Należy ostrożnie szacować, że zakotwiczyło tam również mniej więcej pół miliona wyborców Trzeciej Drogi. I to o nich trzeba będzie głównie powalczyć.

Co wiemy o „pływającym" elektoracie? Niewątpliwie w pierwszej kolejności sprzyja on liberalnym receptom w gospodarce. Taką w końcu ofertę przedstawiła dwa lata temu Trzecia Droga, tyle że wolnorynkowy sznyt Polski 2050 i PSL z czasem się wytarł. Konfederacja nie ma dziś na tym polu konkurencji. Spadkobiercom korwinizmu nie sposób zarzucić braku autentyzmu, a będąc w opozycji, mają luksus wyostrzania haseł. Z drugiej strony pozbycie się Brauna pomogło im przejmować bardziej umiarkowanych wyborców. Wciąż jednak nie wiadomo, czy nieco rozwodniony, ale wciąż głęboki tradycjonalizm jest w tej grupie akceptowany, czy też jedynie tolerowany.

Konkurencyjny wobec Konfederacji projekt oczywiście przede wszystkim powinien postawić na ekonomiczny liberalizm. W sposób na tyle wyrazisty, żeby przyciągać uwagę, jednak bez nadmiaru wolnorynkowej demagogii. Przelicytować Mentzena i tak byłoby trudno, łatwiej z kolei złapać go na tym, że w słupkach z reguły coś mu się nie zgadza. Co udało się kiedyś Ryszardowi Petru, a niedawno również Mateuszowi Morawieckiemu.

A jeszcze ostrożniej z definicjami światopoglądowymi. W stronę kulturowej neutralności: z delikatnym konserwatywnym osadem, ale daleko od „szczęść Boże". Tak żeby odróżnić się od Konfederacji i zarazem nie stać się Nowoczesną bis, która startując dekadę temu, połączyła wolnorynkowy entuzjazm z obyczajowym progresywizmem. Taka hybryda niewątpliwie zostałaby ciepło przyjęta w wielkich metropoliach, tyle że tam akurat KO trzyma się mocno i nie ma najmniejszego sensu wywoływać wojny w demokratycznej rodzinie. Nieboszczka Trzecia Droga pukała głównie do mniejszych miast, co należałoby teraz powtórzyć.

Pytanie, czy nawróconych na Konfederację wyborców w ogóle da się jeszcze odbić. Kampanijne zwyżki Mentzena w sporej części na pewno były spontaniczne, a po wyborach rządząca koalicja niewiele zrobiła, żeby ich z powrotem do siebie przekonać. Jej licytacje z prawicą na populizmy niczego nie przyniosły, a w długim horyzoncie mogą wręcz zaszkodzić, gdyż normalizują populistyczną agendę.

Dodatkowym zagrożeniem jest prezydentura Karola Nawrockiego, który wyraźnie poszukuje formuły populizmu scalającego prawicę pisowską i konfederacką. I jeżeli mu się to powiedzie, ów elektorat, krążący dzisiaj w strefach przygranicznych, może już na dobre osiąść po prawej stronie.

Być może warto się zatem pospieszyć, zanim opadnie żelazna kurtyna. Do takiego wniosku zapewne doszli założyciele Nowej Polski, która w ubiegłym tygodniu ogłosiła swoje powstanie. Chociaż akurat jeden z jej tenorów Wadim Tyszkiewicz w rozmowie z POLITYKĄ odżegnuje się od pragmatycznych kalkulacji. Dając do zrozumienia, że kierował nim przede wszystkim



Miliarder Arkadiusz Muś, pomysłodawca partii dużego biznesu

imperatyw działania w trudnych dla polskiej demokracji chwilach. Impulsem była klęska Rafała Trzaskowskiego. Skrzyknęli się we trzech w Senacie – czyli Wadim Tyszkiewicz z Nowej Soli, Zygmunt Frankiewicz z Gliwic oraz Andrzej Dziuba z Tychów – wyłożyli własne oszczędności i zabrali do roboty. I chociaż starają się uciec od łatki partii samorządowej – dopisując do kluczowych tematów gospodarkę i bezpieczeństwo – to również z lokalnych wspólnot wywodzi się większość pełnomocników regionalnych nowej partii. Tyle że samorządność jako hasło nigdy nie była atrakcyjnym politycznym wabikiem.

Romantyczna historia pewnie może się podobać, ale takie podejście do sprawy nie świadczy o profesjonalizmie. Odpalając politycznego start-upa, warto mieć jednak precyzyjny biznesplan z harmonogramem, kalkulacją finansową oraz strategią marketingową. A tego wszystkiego nie widać. Nowa Polska bardziej przypomina pospolite ruszenie z analogowych lat 90. Co więcej, połówka kadencji nie sprzyja debiutantom. Bo jeżeli szybko nie znajdą dobrej fali, mają dość czasu, żeby stracić założycielski zapał. A bez tego nie da się przetrwać dwóch lat bez silnych struktur i budżetowego finansowania. Dlatego z nowymi projektami najlepiej jest ruszać 9–12 miesięcy przed wyborami, kiedy już zaczyna się podnosić wyborcza gorączka, a jest jeszcze trochę czasu na wzięcie rozbiegu.

Abnegację liderów Nowej Polski wobec profesjonalnych reguł można też poznać po formule ruchu pozbawionego jednoosobowego przywództwa. Tercety tenorów również w przeszłości bywały atrakcyjne, niemniej obecnemu przydałaby się jednak wyższa rozpoznawalność. To dawne gwiazdy samorządu, które później przesiadły się do Senatu.

„Nowopolacy" mimo wszystko liczą na dalszy zaciąg samorządowy. Przynajmniej jeżeli zostanie utrzymana

© DARIUSZ LEWANDOWSKI/FORUM, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 6f22740c7b



Wadim Tyszkiewicz, jeden z trzech założycieli Nowej Polski

dwukadencyjność wójtów, burmistrzów i prezydentów, czego zresztą nowa partia nie popiera. Na razie mają skromne senackie koło, chociaż w kuluarach plotkuje się, że być może już wkrótce urośnie do rozmiarów pełnoprawnego klubu parlamentarnego. Co zagwarantuje Nowej Polsce większą obecność w mediach. A kto wie, może nawet wejdzie na piątego do koalicji rządzącej? A może dołączy do nich Rafał Trzaskowski? Ostentacyjnie właśnie upokorzony przez własną partię, która w Warszawie zablokowała mu nagłośniony projekt zakazujący nocnej sprzedaży alkoholu. I nie była to samowolka warszawskich radnych, którzy nie odważyliby się wystąpić przeciwko prezydentowi bez zachęty szefa stołecznych struktur Marcina Kierwińskiego. Przyzwolenia podobno miał zresztą udzielić sam Tusk, co świadczyłoby o tym, że Trzaskowski już całkiem przestał się liczyć w swojej partii.

Publiczne upokarzanie niedawnego kandydata na prezydenta robi mimo wszystko kiepskie wrażenie, a do tego odstawiony na bocznicę polityk może chcieć się odegrać. Pewnie mało prawdopodobne, żeby w roli lidera ewentualnego nowego ruchu, prędzej jako istotne jego zasilenie. Rozpoznawalności przecież nie straci, a oddalony od wielkiej polityki ma jeszcze szansę trochę się zrewitalizować. Tusk nigdy jednak nie wierzył w kwalifikacje polityczne Trzaskowskiego, doceniając co najwyżej wizerunek. A dzisiaj to w jego oczach całkiem już zgrana karta.

Tymczasem warto wspomnieć o jeszcze jednej inicjatywie, która zbiera się na razie w kuluarach, chociaż już wypuściła pierwsze medialne zajawki. Stoi za nią biznesmen, miliarder i szczery piewca wolnego rynku Arkadiusz Muś. Przez lata sponsorował FOR Leszka Balcerowicza, aż w końcu postanowił odcisnąć bardziej bezpośrednie piętno w polityce. O jego projekcie niewiele wiadomo, ale zapewne chodzi o raczej wąską partię dużego biznesu (czy ze wsparciem Rafała Brzoski?). Być może jednak Muś głównie liczy na powstanie wielkiego bloku sił demokratycznych na wybory, do którego udałoby mu się wepchnąć paru ekonomistów z kręgów biznesu. W pierwszej kolejności blisko z Musiem współpracującego Marka Tatałę.

Podobno rośnie zainteresowanie polityką w kręgach biznesowych, które zaczynają się rozglądać za kandydatami na nowych liderów. Na razie jednak ostrożnie, gdyż sytuacja po stronie koalicyjnej najpierw musi się wyklarować. Istotne są dwie kwestie, które rozstrzygną się jeszcze tej jesieni.

Co dalej z Hołownią i jego ruchem? Marszałek Sejmu na pierwszej po wakacjach radzie koalicyjnych liderów podobno był wycofany i sprawiał wrażenie niezainteresowanego rządowymi pomysłami na odzyskanie inicjatywy. Wzmocniło to pogłoski o jego skrajnym zniechęceniu. Podobno nosi się nawet z zamiarem rezygnacji z mandatu poselskiego i definitywnego odejścia z polityki, jak tylko skończy się jego marszałkowska rotacja. Wtedy kierownictwo w Polsce 2050 obejmie Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i mało kto wierzy, że zdoła skleić rozpadającą się skorupę.

Ale mówi się również o drugim scenariuszu, tylko pozornie sprzecznym. Czyli że przed odejściem Hołownia podejmie ostatnią próbę utrzymania laski marszałkowskiej. Jego ludzie mają uprawiać cichą dyplomację w celu skruszenia większości pozwalającej wybrać Włodzimierza Czarzastego. Opowiadał o tym niedawno w Kanale Zero Robert Mazurek, w mocno perswazyjnym zresztą tonie, co zdradzało inspirację pisowską. Obóz Kaczyńskiego będzie zapewne podsycać tlący się konflikt, żeby sprowokować koalicyjną awanturę. Ale jak się nie uda, w grę wchodzą jeszcze scenariusze pośrednie, będące próbą utrzymania status quo: czyli wejście Hołowni do rządu albo ograniczenie się do roli szeregowego posła, który próbuje jednak utrzymać w ryzach Polskę 2050.

Ta jednak sypie się w oczach. Wcześniej odeszło dwoje posłów, a w ubiegłym tygodniu wystąpił też z partii szef jej lubelskich struktur. Klub parlamentarny podzielił się na grupki. Jedni orientują się jeszcze na Hołownię, inni rozglądają się za szalupami. I na tym właśnie opiera się kalkulacja Nowej Polski, która ma nadzieję po ewentualnym odejściu Hołowni z polityki przejąć część jego szabel i ogłosić powstanie własnego klubu. Bez tych głosów koalicja nie miałaby zapewne w Sejmie większości, co oznaczałoby konieczność jej poszerzenia o dodatkowego partnera. Dla Donalda Tuska to byłby oczywiście ból głowy, bo należałoby wynegocjować nową umowę koalicyjną, ale z drugiej strony premiera z pewnością nie zmartwiłoby też zniknięcie Hołowni. Kiedy już zresztą Polska 2050 na dobre wejdzie w fazę rozbiorów, to przecież KO będzie wyłapywać najatrakcyjniejsze kąski.

Ano właśnie, co dalej z Koalicją Obywatelską? Jeszcze tej jesieni ma przecież przejść poważną kurację wizerunkową. Sztandar Platformy zostanie już na dobre wyprowadzony i po zapowiadanej integracji partyjnych struktur z Nowoczesną oraz Inicjatywą Polską KO stanie się jednolitą formacją. Pytanie, czy pod takim właśnie szyldem, czy też pojawi się jakiś nowy, bo i taka opcja ma być rozważana. A przy okazji Tusk ułoży sobie partię od nowa, zrobi remanent na wszystkich szczeblach, przetasuje koteryjne parytety, odświeży skład kierownictwa.

Inna sprawa, czy premier w ogóle obawia się konkurencyjnych inicjatyw. Równie dobrze mógłby przecież je potraktować jako szansę na odbudowanie większości, nawet jeśli byłoby to sprzeczne z jego naturą samca alfa. W gruncie rzeczy mamy jednak do czynienia z tym samym dylematem, co przed wyborami 2023 r., kiedy ówczesna opozycja kłóciła się o wspólną listę. Teraz znów nie brakuje na zapleczu KO głosów, że za dwa lata trzeba będzie wystawić masywny blok naprawdę wszystkich demokratycznych sił. Tych już znanych i tych dopiero planowanych. Jedynym źródłem wątpliwości pozostanie wyłącznie kwestia, czy akurat Tusk powinien być twarzą takiej listy (może jednak Sikorski?). To jednak dosyć oczywisty sposób na wykorzystanie ordynacji D'Hondta, która premiuje nadwyżki dodatkowymi mandatami. Co miałoby sens, gdyż ostra rywalizacja PiS z Konfederacją blokuje słupkom po prawej stronie hormony wzrostu.

Opcją alternatywną pozostaje powtórka z 2023 r., czyli trzy szyldy. Już z nową KO (zapewne doraźnie zasiloną ludowcami), najlepiej ponownie zjednoczoną lewicą oraz jakimś nowym liberalnym spinaczem pośrodku. I o to właśnie całe te podchody.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 6f22740c7b

Nie wyrzucamy, nie zgniatamy

CEZARY KOWANDA

1 października startuje w Polsce nowy system kaucyjny za butelki i puszki. Stopniowo przy sklepach pojawią się zwrotomaty lub butelkomaty, ale teraz czeka nas niezłe zamieszanie.

Na terenie Zakładu Karnego w Potulicach w województwie kujawsko-pomorskim otwarto we wrześniu Centrum Liczenia Opakowań, prowadzone przez jednego z operatorów powstającego właśnie systemu kaucyjnego. Znajdzie w nim pracę ok. 30 więźniów, którzy będą przyjmować puste opakowania, obsługiwać maszyny sortujące, a także przygotowywać policzone butelki i puszki do dalszego przetwarzania. Pierwsze opakowania dotrą do Potulic w październiku, bo na początku miesiąca rusza w Polsce przygotowywany od dawna system kaucyjny.

Rozpoczynamy ciekawy eksperyment społeczny. Polska dołącza do grona już 18 państw unijnych, w których pustych butelek nie wyrzuca się do kosza, tylko oddaje do sklepów, aby odzyskać kaucję. 1 października to oficjalna data startu systemu, który będzie drugim w Europie pod względem wielkości po niemieckim. To dlatego, że pozostałe większe od nas kraje: Wielka Brytania, Francja, Włochy i Hiszpania, takich rozwiązań jeszcze nie mają.

W ciągu roku w Polsce zbieranych ma być ok. 10 mld plastikowych butelek PET i metalowych puszek oraz dodatkowo ok. 3–4 mld szklanych butelek zwrotnych. Jednak debiut tego systemu nie będzie wcale spektakularny. Przeciwnie, w ciągu kilku pierwszych tygodni na półkach sklepowych wciąż mają dominować napoje, przy których zakupie kaucja nie będzie pobierana. Butelek i puszek oznaczonych na etykiecie symbolem kaucji przybywać powinno stopniowo. Okres przejściowy zakończy się zapewne na początku przyszłego roku.

Taki powolny rozruch ma swoje dobre i złe strony. Pomoże klientom w spokojnym oswajaniu się z zupełnie nową rzeczywistością i wykształceniu potrzebnych nawyków. Najważniejszy z nich: pustych butelek i puszek nie należy już zgniatać, chociaż dotąd byliśmy uczeni zupełnie inaczej. Butelki muszą zachować również oryginalną etykietę z kodem kreskowym. Tylko wówczas zostaną przyjęte przez specjalne maszyny, zwane recyklomatami, zwrotomatami czy butelkomatami, które już stoją przy niektórych sklepach lub w ich wnętrzu. Na szczęście do oddania nie będzie potrzebny paragon, a poza tym można to zrobić w dowolnym sklepie zbierającym opakowania. Niekoniecznie tym, gdzie się kupiło konkretny produkt.

Jednak taki start na raty z pewnością zdezorientuje wiele osób. Niektórzy zamierzają zwracać opakowania po napojach, które kupili lub kupią jeszcze bez kaucji. Teoretycznie to świetna okazja do małego zarobku – kaucja w przypadku butelek plastikowych i puszek wyniesie 50 gr, a dla butelek szklanych zwrotnych – złotówkę. Jednak nie ma co próbować takiego drobnego oszustwa. Produkty objęte kaucją będą miały nie tylko specjalny symbol, ale też inne kody kreskowe. Ani maszyny, ani sprzedawcy w sklepach, gdzie opakowania będą zbierane ręcznie, nie przyjmą zatem tych butelek i puszek, które nie zostały jeszcze objęte systemem kaucyjnym.

Pod pewnymi względami nowy system będzie rzeczywiście przyjazny dla klientów. Na przykład brak nakrętki na butelce plastikowej nie powinien być przeszkodą przy odzyskaniu kaucji. Podczas zwrotu sklep nie może też wymagać paragonu z chwili zakupu oraz ma przyjąć opakowania tych produktów, których sam nie sprzedaje. Jednak nie wszystkie punkty sprzedaży zostaną zmuszone do przyjmowania pustych butelek i puszek. Zwolnione z tego obowiązku zostały sklepy o powierzchni poniżej 200 m kw.

One muszą naliczać kaucję przy sprzedaży napojów, ale nie muszą przyjmować pustych opakowań. – *W praktyce zdecydowana większość z nich będzie jednak to robić, bo w przeciwnym razie stracą część klientów. Pamiętajmy, że w małych sklepach to właśnie sprzedaż napojów jest ważną częścią obrotów. A bardzo wielu klientów będzie wyznawać zasadę: tam, gdzie kupuję, tam oddaję. Świadczą o tym doświadczenia innych państw. Małe sklepy, które nie chciały zbierać opakowań, traciły nawet 30 proc. klientów* – mówi Maciej Ptaszyński, prezes zarządu Polskiej Izby Handlu. Już wiadomo, że butelki i puszki będzie można oddać w sieci małych sklepów Żabka, liczącej ponad 11 tys. punktów.

W przypadku większych sklepów ich właściciele żadnego wyboru nie mają. Kto sprzedaje napoje objęte kaucją, ten musi przyjmować butelki i puszki. Ta zasada będzie miała konkretne konsekwencje, np. w drogeriach Rossmann i hipermarketach budowlanych Leroy Merlin. Obie sieci zdecydowały się na wycofanie ze swojej oferty napojów. Uznały, że to dla nich bardzo niewielka część przychodów, więc nie warto z jej powodu wchodzić

eprasa.pl 6f22740c7b



ILUSTRACJA **BARTOSZ TYTUS TROJANOWSKI**

Kaucyjne pułapki

- Ministerstwo Klimatu i Środowiska wyjaśnia: Kwota kaucji nie jest wliczona w cenę napoju na półce czy w automacie. Jej wysokość (50 gr lub 1 zł) będzie podana na etykiecie – jest częścią znaku kaucji.
- Kaucja pobierana jest w momencie zakupu, np. przy kasie w sklepie lub w automacie z napojami. Na paragonie pojawi się jako oddzielna pozycja.
- Kaucja będzie doliczana w każdym punkcie sprzedaży, który oferuje napoje w opakowaniach objętych systemem, bez względu na jego wielkość. Dotyczy to także sprzedaży na wynos.
- Opakowań ze znakiem kaucji nie należy zgniatać ani uszkadzać. Aby otrzymać zwrot kaucji, trzeba oddać opakowanie, które musi mieć nienaruszony znak kaucji i czytelny kod kreskowy.
- Oddawać należy opakowania opróżnione, ale nie trzeba ich myć.
- Do zwrotu kaucji nie będzie potrzebny paragon za zakup napoju.

do systemu kaucyjnego i przyjmować pustych opakowań. Wątpliwości dotyczą aptek o powierzchni powyżej 200 m kw. Nie ma ich w Polsce wiele – to głównie obiekty w centrach handlowych – ale i one muszą wejść do systemu, bo sprzedają niektóre produkty objęte kaucją. W praktyce zapewne postawią obok siebie butelkomat, aby sprostać przepisom.

A te rodziły się w wielkich bólach, bo trwała o nie ostra walka lobbingowa. Sklepom udało się wywalczyć dwie korzystne dla siebie zmiany w porównaniu z pierwotnymi założeniami. Pierwsza: kaucją nie zostaną objęte opakowania po mleku i produktach mlecznych, jak kefir, jogurt czy maślanka. Handlowcy straszyli widmem epidemii i smrodem nie do wytrzymania, chociaż w Niemczech, a nawet w ciepłej Chorwacji, takie opakowania są zbierane i żadnych groźnych chorób z tego powodu nie stwierdzono. Drugi sporny punkt: butelki szklane jednorazowe, np. „małpki", które często kończą rozbite na chodnikach. Takie opakowania również do polskiego systemu kaucyjnego nie wejdą, bo sklepy przekonały polityków, że nie mają gdzie ich trzymać, a rozbite butelki będą ranić personel i klientów. Ministerstwo Klimatu i Środowiska co prawda zapowiada, że być może butelki szklane jednorazowe zostaną w przyszłości objęte kaucją, ale handlowcy grożą, że na to ich zgody nigdy nie będzie.

To nie koniec kontrowersji dotyczących szkła. Od wielu lat funkcjonują w Polsce systemy kaucyjne dotyczące szklanych butelek zwrotnych, prowadzone głównie przez browary i producentów niektórych wód mineralnych. Szacuje się, że w naszym kraju krąży około miliarda takich butelek, a każda z nich wykorzystywana jest w ciągu swojego życia średnio kilkanaście razy. Od początku przyszłego roku te butelki mają wejść do nowego systemu. Z punktu widzenia klientów zmieni się niewiele, bo kaucja pozostanie na poziomie złotówki. Jednak producenci są bardzo niezadowoleni.

– *Nie rozumiemy, dlaczego musimy zlikwidować bardzo dobrze działające nasze własne rozwiązania i wejść do nowego systemu. Pojawi się między nami a klientami kosztowny pośrednik w postaci operatorów systemu kaucyjnego. Teraz to oni będą zatrzymywać kaucję za niezwrócone przez klientów butelki, która trafiała dotąd do nas i była rekompensatą za utracone opakowania. Efektem tej zupełnie niepotrzebnej regulacji może być spadek popularności butelek zwrotnych. Chociaż są najbardziej przyjaznym dla środowiska* ▶

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ *rozwiązaniem, będą zastępowane opakowaniami jednorazowymi* – ostrzega Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego – Browary Polskie.

Spór o to, czy i na ile nowy system kaucyjny jest potrzebny, nie dotyczy tylko zwrotnych butelek szklanych. Niektórzy twierdzą, że kaucje narzuca Bruksela, ale to spore uproszczenie. Dla Unii Europejskiej liczy się co innego: ile butelek i puszek udaje się zebrać, a następnie ponownie wykorzystać. Pod tym względem Polska wypada słabo, bo już w tym roku powinniśmy skierować do recyklingu (normy unijne) przynajmniej 77 proc. butelek PET, a jak dotąd nasz wskaźnik zbiórki nie przekraczał 50 proc. Tymczasem producenci mają wykorzystywać nowe butelki PET, w których recyklat, czyli surowiec uzyskany z recyklingu starych butelek, stanowi przynajmniej 25 proc. masy. To dlatego politycy jeszcze PiS (pierwsza wersja ustawy pochodzi z 2023 r.) uznali, że bez systemu kaucyjnego sobie nie poradzimy. Jednak już dołożenie do niego puszek jest bardziej kontrowersyjne, bo ich recykling idzie lepiej. Choćby dlatego, że to bardzo cenny surowiec, więc nie brakuje osób ubogich zajmujących się ich zbieraniem. Unia oczekuje, że dopiero od 2029 r. wszystkie państwa obejmą systemem kaucyjnym butelki PET. Natomiast w przypadku innych rodzajów opakowań nie ma żadnych wytycznych.



System kaucyjny na pewno będzie miał pozytywny wpływ na czystość naszych ulic, bo nawet jeśli niektórzy wyrzucą puste butelki nie tam, gdzie trzeba, inni je zbiorą i odniosą do sklepów, odbierając kaucję. Nie znaczy to jednak, że ta wielka zmiana odbędzie się bez dodatkowych kosztów. Stworzenie systemu kosztować ma łącznie ok. 14 mld zł – to szacunki firmy Deloitte. Te wydatki poniosą producenci napojów, ale także sklepy. Zwłaszcza mniejsze punkty narzekają, że operatorzy systemu kaucyjnego będą im płacić za zbiórkę opakowań za mało. Sklepy liczyły nawet na dotacje do zakupu butelkomatów, ale żadnych pieniędzy na ten cel z budżetu ani z innych publicznych źródeł nie dostały. Klienci o takich problemach nie muszą wiedzieć, ale w praktyce to właśnie oni zapłacą w ostatecznym rozrachunku (czyli w cenie napojów) za spektakularne inwestycje, które możemy obserwować, jak centra liczenia czy maszyny ułatwiające zwrot opakowań.

To właśnie zwrotomaty już wzbudzają spore zainteresowanie. Jako pierwszy spośród dużych graczy postawił je przy każdym sklepie Lidl. Zachęca do oddawania dowolnych butelek plastikowych i puszek po napojach – jeszcze nieobjętych kaucją – w ramach testów, płacąc za każdą sztukę 10 gr. Na tym przykładzie można zobaczyć, jak butelkomaty będą działały w praktyce. Butelki i puszki (oczywiście niezgniecione) po włożeniu są skanowane, a następnie wjeżdżają do środka maszyny. Gdy oddamy wszystkie opakowania i zatwierdzimy to odpowiednim przyciskiem, urządzenie drukuje niewielki kwitek z informacją o kwocie, jaka przysługuje klientowi, oraz kodem kreskowym. Można go zeskanować w kasie podczas robienia zakupów – o wartość tego vouchera zostaje obniżona kwota do zapłacenia. Od października, gdy ruszy już normalny system kaucyjny, klienci korzystający z butelkomatów nie będą musieli robić zakupów po oddaniu butelek. Mogą przy kasie, po okazaniu vouchera, zażądać zwrotu środków w gotówce. Niektóre urządzenia mają też pozwolić na odbiór kaucji bezgotówkowo – na kartę płatniczą po jej przyłożeniu do terminala butelkomatu.

Jednak w praktyce większość sklepów będzie na początku zbierać opakowania ręcznie. To zadanie spadnie na kasjerów, i tak już mocno obciążonych pracą. Nawet duże sieci, jak Biedronka czy Netto, planują zbiórkę manualną, a maszyny będą stawiane w sklepach lub obok nich stopniowo. Z jednej strony taki rodzaj odbioru butelek może być prostszy dla klientów, skoro zrobimy to przy kasie w czasie skanowania zakupów i płacenia za nie. Jednak w samych sklepach zbiórka manualna, zwłaszcza gdy klienci zaczną oddawać duże ilości butelek, może prowadzić do chaosu i jeszcze większego bałaganu. Z pewnością zatem stopniowo większość punktów zdecyduje się na postawienie maszyn, chociaż to rozwiązanie kosztowne.

System kaucyjny oznacza również wielkie zmiany w gospodarce odpadami. – *Z gminnych instalacji zniknie większość butelek PET i puszek. Do tej pory takie opakowania zapewniały nam około połowy wszystkich przychodów ze sprzedaży surowców wtórnych* – mówi Piotr Szewczyk, prezes zarządu Rady Regionalnych Instalacji Przetwarzania Odpadów Komunalnych.

Te zmiany mogą mieć przełożenie na comiesięczne rachunki za odpady płacone przez wszystkich mieszkańców w gminach. Skoro z lokalnego systemu znikają cenne opakowania, koszty muszą wzrosnąć. – *Z drugiej strony samorządy nie mogą zmniejszyć częstotliwości odbioru odpadów w żółtych workach, do których dziś trafiają butelki PET i puszki, bo to bardzo źle wpłynie na jakość segregacji. Z naszych szacunków wynika, że system kaucyjny w tej postaci może doprowadzić do wzrostu opłat za odpady o 1,50–3 zł miesięcznie od mieszkańca* – wyjaśnia Olga Goitowska, przewodnicząca Zespołu ds. Odpadów Komunalnych w Unii Metropolii Polskich.

Czas pokaże, jak na nowe rozwiązania zareagują konsumenci. Być może zaczną chętniej kupować napoje w opakowaniach nieobjętych na razie kaucją, jak butelki szklane jednorazowe czy specjalne kartony, potocznie zwane tetrapakami. Na pewno pozytywną stroną nowych przepisów byłoby zachęcenie do picia kranówki (w wielu częściach Polski jest już bardzo dobrej jakości) zamiast kupowania ogromnych ilości wód butelkowanych. Za to sporym ryzykiem jest znikanie z rynku butelek szklanych wielorazowych, których zbiórka do tej pory funkcjonowała dobrze bez ingerencji państwa.

Najbliższe miesiące to wielki test naszej cierpliwości. Wszystkie badania wskazywały dotąd, że zdecydowana większość Polaków popiera budowę systemu kaucyjnego. Jednak to nastawienie może się szybko zmienić, jeśli pojawią się problemy z łatwym zwrotem butelek i szybkim odzyskiwaniem pieniędzy. Tymczasem atmosfera sporów ostatnich miesięcy między handlowcami, producentami, operatorami i politykami nie nastraja optymistycznie.

CEZARY KOWANDA

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 6f22740c7b

Artykuł sponsorowany

KIELECKIE CENTRUM KULTURY

MEMORIAL TO MILES

TARGI KIELCE JAZZ FESTIVAL

Kielce

KIELECKIE CENTRUM KULTURY

Targi Kielce
exhibition & congress centre


fot. Mateusz Wolski / KCK

26.09 I Joanna Duda Trio I Roseye
27.09 I Avishai Cohen Big Vicious I Szymon Mika AGMA
28.09 I Jerzy Małek International Quintet I Laboratorium

Jazzowe Kielce. Tu Davis ograł Moniuszkę.

Wtopione w miejski krajobraz coraz częściej tracą na znaczeniu, powszedniejąc w chaosie krzykliwych bilboardów i pstrokatej patodeweloperki. Jan Paweł II ma ich ponad 700, Kościuszko przekroczył 200, na brak popularności nie narzeka Mickiewicz. Polska pomnikami stoi i tylko nieliczni mają z tym problem. Co jednak, gdy pomysł uhonorowania znaczącej dla świata postaci dotyczy muzyka, który nigdy nie był kojarzony z docelowym miejscem swego bezwolnego ukamieniowania?

Miles Davis od wielu lat obserwuje plac przy Kieleckim Centrum Kultury. Pogodzony z rolą nienadążającej za trendami atrakcji turystycznej nie zapomina, że dla wielu stanowi nienaruszalną tkankę miasta. Pomimo ponurego usposobienia i introwertycznej osobowości zdaje się wyczekiwać zamieszania wokół siebie. Nigdy by nie pomyślał, że to właśnie w Kielcach, zupełnie obcy mu ludzie będą celebrować jego historię. Tak się jednak dzieje i dziać się będzie w przyszłości. W jedynej słusznej formie – przez muzykę improwizowaną w nagłówku. Ruszyła 23 odsłona Memorial To Miles Targi Kielce Jazz Festival.

Pierwszy na świecie pomnik Milesa Davisa

- W 2001 roku grupa lokalnych entuzjastów na czele z ówczesnym wojewodą świętokrzyskim Wojciechem Lubawskim doprowadziła do odsłonięcia w centrum miasta pomnika Milesa Davisa autorstwa Grzegorza Łagowskiego – wspomina Andrzej Mochoń, prezes Targów Kielce i jeden z inicjatorów przedsięwzięcia. - Nie obyło się bez kontrowersji. W kieleckiej Radzie Miasta trwała dyskusja, dlaczego na placu Moniuszki miałby stanąć nie Moniuszko, lecz amerykański trębacz, który nigdy w Kielcach nie wystąpił. Ostatecznie przeważyła wizja odwagi i uniwersalizmu w kulturze – zaznacza. Pomnik okazał się drugim na świecie tego typu upamiętnieniem Milesa Davisa, zaraz po monumencie autorstwa Niki de Saint Phalle w Niceii.

Tłumy, które przybyły na koncerty zorganizowane na Dużej Scenie KCK w dzień odsłonięcia pomnika, skłoniły członków Kieleckiego Klubu Jazzowego do rozpoczęcia prac nad cyklicznym wydarzeniem, zwanym wówczas jako „Muzyczne listy do Milesa Davisa". - Był to gest z pogranicza improwizacji i pasji, dokładnie takiej, jaka napędza jazz – wyjaśnia Andrzej Mochoń.

Od lokalnego gestu do krajowej marki

Memorial To Miles Targi Kielce Jazz Festival z roku na rok umacniał markę rozpoznawalną w środowisku jazzowym. Festiwal organizowany przez Kieleckie Centrum Kultury w 2008 roku wsparły Targi Kielce, które po dziś dzień są współorganizatorem Memorialu. – Mamy poczucie misji wobec otoczenia, w którym działamy. Uważamy, że biznes powinien zostawiać po sobie nie tylko budynki i wyniki finansowe, ale też wartości i emocje – podkreśla prezes Andrzej Mochoń.

– Wydarzenie na stałe wpisało się w kalendarz kulturalny Kielc. Zarówno mnie, jak i moim poprzedniczkom zależało na międzynarodowym charakterze imprezy. Na naszej scenie zagrali m.in. Erik Truffaz, Nils Petter Molvær, Kenny Garrett, Mike Stern, Matthew Halsall, Mino Cinelu czy Dave Liebman – przyznaje Artur Wijata, dyrektor Kieleckiego Centrum Kultury. W sobotę, 27 września w Kieleckim Centrum Kultury wystąpi Avishai Cohen, światowej klasy trębacz, nagrywający albumy dla kultowego ECM. Koncert będzie zawierał fragmenty drugiej płyty sygnowanej jako Big Vicious, której premiery możemy spodziewać się w najbliższych miesiącach.

- Festiwal musi być różnorodny, więc tradycją stało się, że zapraszamy i przedstawicieli młodego pokolenia i legendy. Joanna Duda Trio zaproponuje elektroakustyczne eksperymenty, międzynarodowy Roseye z Amsterdamu zagra soulowo-jazzowy koncert, Szymon Mika da popis mistrzowskiej gry na gitarze, a dzięki legendarnemu Laboratorium przypomnimy sobie elektryczny okres Milesa Davisa – zapowiada prezes Targów Kielce.

Miles wpisany w tożsamość Kielc

-Memorial to Miles to dla mnie jeden z tych festiwali, które budują wyjątkowy klimat Kielc. Jazz na najwyższym poziomie, świetni artyści i publiczność, która naprawdę kocha tę muzykę – to wszystko sprawia, że te koncerty są niezapomniane. Bardzo się cieszę, że od lat właśnie w naszym mieście odbywa się wydarzenie z taką renomą. To nie tylko święto jazzu, ale też świetna okazja, żeby spotkać się, wspólnie doświadczać muzyki i być dumnym z Kielc – podkreśla Agata Wojda, prezydentka Kielc.

- Od dłuższego czasu zastanawiam się czy program festiwalu powinien mieć klucz. Konwencję, która podkreślałaby rolę patrona. Jasne - wyróżniamy zespoły, których lider gra na trąbce. Któryś z byłych kompanów Milesa jest w Europie w ostatni weekend września? Zapraszamy! Te wytyczne w końcu jednak wyblakną. Kluczem powinien być nonkonformizm w tworzeniu. Zew i brak kalkulacji. Cechy, które Davisowi pozwoliły być legendą, a ambitnym muzykom dodają skrzydeł. Chyba to właściwy sposób by celebrować życie i twórczość Milesa. Mam nadzieję, że przekonają się Państwo o tym na własnej skórze. – zapowiada Krzysztof Zięba z impresariatu KCK, koordynator festiwalu.



kck.bilety24.pl I jazzfestiwal.kck.com.pl I fb/memorialtomiles

eprasa.pl 6f22740c7b



Niebezpieczne związki?

Pary w związkach nieformalnych odczuwają żal do Polski za to, że ich dyskryminuje i zachowuje się tak, jakby nie istniały. I nie chodzi tylko o pary jednopłciowe.

ZBIGNIEW BOREK

ILUSTRACJA MARTA FREJ

Małgorzata, urzędniczka, miała ze sobą nieudane małżeństwo. Kolejnego już nie chciała, podobnie jak Krzysztof, jej partner: – *Wystarczyło nam wspólne życie i zaufanie. Nie potrzebowaliśmy na to papierków, tak nam się przynajmniej wydawało.*

O tym, jak życie w nieformalnym związku bywa skomplikowane i bolesne, przekonali się, gdy oboje poważnie zachorowali. Chcąc zasięgnąć informacji o stanie zdrowia Małgorzaty, Krzysztof słyszał w szpitalu, że nie jest jej mężem. Gdy okazał pełnomocnictwo notarialne od Małgorzaty, personel niechętnie udzielił informacji, ale nadal nazywano go „znajomym". „Partner" nie przechodził nikomu przez gardło. Potem Krzysztof walczył w szpitalu o swoje życie. Jako osobę uprawnioną do kontaktu wpisał w dokumentacji Małgorzatę, ale lekarze nie udzielali jej informacji. Wszystkiego dowiadywała się jego matka, z którą był skłócony. – *Gdy wyzdrowiał, miał o to pretensje, ale ze mną nikt się nie liczył* – mówi Małgorzata.

– *Niby każdy pacjent może upoważnić kogokolwiek do informacji o swoim zdrowiu i dostępu do dokumentów, ale w praktyce bywa z tym różne* – potwierdza Dariusz, dziennikarz (dwa małżeństwa, od 21 lat związek nieformalny, a w nim dziewięcioletni synek). Gdy leżał w szpitalu i potrzebował dokumentacji medycznej z innej placówki, gdzie leczył się wcześniej, partnerce nie chciano jej wydać: formalnie była upoważniona, ale „nie jest przecież żoną".

– *Zostawił mnie z dwójką dzieci i bez dachu nad głową* – mówi o byłym już part-

eprasa.pl 6f22740c7b

nerze Agnieszka. Byli ze sobą dziewięć lat „na kocią łapę", bo Jarosław nie chciał małżeństwa, a inaczej nie mogli zalegalizować związku. Ona tyrała w urzędzie, potem w wiejskim obejściu partnera założyła gospodarstwo ekologiczne. Hodowała kozy, sprzedawała mleko i sery. On dbał o formę na siłowni, a kiedy dostał od mieszkającej za granicą matki 100 tys. zł ze sprzedaży nieruchomości, zainwestował w „rozwój osobisty". To był początek końca ich związku. W finale odstawił ją z dziećmi i ze stadkiem kóz do jej krewnych.

Małgorzata, Dariusz i Agnieszka traktują brak ustawy o związkach partnerskich jak dyskryminację. – *Niby dlaczego dwoje dorosłych ludzi nie może wybrać takiego modelu wspólnego życia, jaki im odpowiada?* – pyta retorycznie Małgorzata. – *Na dodatek debatę publiczną ograniczono do kwestii światopoglądowych zamiast prawnych. Przez to mówi się tylko o prawach związków jednopłciowych, a nas wcale nie słychać* – dodaje Dariusz. Nie ma nic przeciwko parom jednopłciowym, ale „przecież większość związków nieformalnych tworzą osoby różnej płci". Tego jednak dokładnie nie wie nikt, co jeszcze bardziej gmatwa sytuację i utrudnia wprowadzenie regulacji, które w wielu krajach od lat są oczywistą normą.

Czekając na Polskę

Spróbujmy to uporządkować. W Polsce ubywa małżeństw, przybywa par nieformalnych. W strukturze rodzin nadal jednak dominuje małżeństwo – w narodowym spisie powszechnym z 2021 r. odnotowano ich 7 mln 156 tys. Związków nieformalnych – 895,5 tys., niemal trzykrotnie więcej niż dekadę wcześniej (w 2011 r. było 316,5 tys.). Ogólna liczba dzieci (do 24 lat) na utrzymaniu rodziców spada, jednocześnie rośnie (z 2,8 proc. do 9,4 proc.) w związkach nieformalnych. Nie zmienia to faktu, że najwięcej dzieci jest w małżeństwach – 5 mln 537 tys. W związkach nieformalnych – 732 tys. I tu kończą się precyzyjne dane.

Skoro w polskim prawie brakuje uregulowania jednopłciowych związków, za rodzinę w statystyce publicznej uznaje się tylko małżeństwa i wspólnie żyjących partnerów przeciwnej płci (także jednego rodzica i dziecko czy dzieci). Innymi słowy, jednopłciowych związków GUS „nie widzi", trzeba się więc opierać na sondażach, szacunkach i ekstrapolacji. Wynika z nich, że w Polsce żyje 2–2,5 mln przedstawicieli mniejszości seksualnych, ale według IPSOS, jednego ze światowych liderów badania opinii publicznej, może być to nawet 10 proc. populacji, czyli 3,7 mln osób („LGBT+ Pride Report 2024"). Związków jednopłciowych jest od 400 tys. do 750 tys. „Wychowują co najmniej 50 tys. dzieci" – czytamy w raporcie Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego („Sytuacja społeczna osób LGBT+ w Polsce za lata 2019–2020"). Od 80 tys. do 150 tys. dzieci ma przynajmniej jednego rodzica, który należy do mniejszości seksualnej.



Kilka milionów Polek i Polaków żyje w trwałych nieformalnych związkach. Bez zmiany prawa oni i ich dzieci pozostaną obywatelami kategorii B.

„W świetle polskiego prawa te rodziny nie istnieją" – piszą w liście z początku września do premiera i liderów koalicji inicjatorzy kampanii społecznej „Wszystkie rodziny są ważne": Kampania Przeciw Homofobii, stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza, fundacja Tęczowe Rodziny i stowarzyszenie My, Rodzice. Brak uregulowań prawnych uderza w związki nieformalne bez względu na płeć i preferencje seksualne. Pod wieloma względami jadą na jednym wózku, ale w debacie publicznej prym wiodą organizacje mniejszości. To zaś wpływa na postrzeganie tej problematyki przez konserwatywnie usposobioną część społeczeństwa, a w ślad za tym na decyzje polityczne, a raczej na ich brak, który jest na rękę dominującemu w Polsce Kościołowi katolickiemu. Impas ustawodawczy trudno przełamać także z uwagi na rzekome zagrożenie dla modelu małżeństwa chronionego w polskim prawie.

Od pierwszej próby wprowadzenia ustawy o związkach partnerskich upłynęły 23 lata, to ponad 8 tys. dni. Pojawiło się w tym czasie 12 projektów i żaden nie wszedł w życie. Donald Tusk zapowiadał zmianę już 14 lat temu, gdy obejmował urząd premiera na drugą kadencję. „Po 15 października 2023 r. ponownie wzbudził Pan nadzieje" – piszą inicjatorzy najnowszej kampanii. I dalej: „Każdy dzień opóźnienia to realna krzywda, ból i uczucie ogromnej niesprawiedliwości, z którymi mierzą się nasi bliscy. Każdego dnia budzą się ze strachem, że w sytuacji choroby czy innego zdarzenia losowego nie będą mogli podjąć decyzji medycznych i pomóc na czas partnerowi/partnerce. To rodzice, którzy obawiają się, że bez właściwej ochrony prawnej nie będą w stanie opiekować się swoimi dziećmi".

Jak to wygląda w praktyce, opowiadała niedawno w OKO.press Anna Strzałkowska, która 15 lat temu wzięła ślub z partnerką w Wielkiej Brytanii. Od 12 lat wspólnie wychowują dziecko, żyją w Polsce. „Jedyne, co nas zabezpiecza, to testament, który działa w ograniczonym zakresie. Moja żona, Marta, jest osobą prawnie obcą dla naszego syna. Choć realnie jest drugą matką, nie może załatwić niemal żadnej sprawy w szpitalu albo urzędzie. Nie może też bez zgody notarialnej wyjechać z synem za granicę – nawet na wakacje".

Syn był wcześniakiem, nie wiadomo było, czy przeżyje, a lekarz wypraszał Martę z porodówki, bo „może jesteście rodziną, ale nie w Polsce". Kilka lat później półprzytomnemu chłopcu (miał kłopoty neurologiczne) lekarka tłumaczyła, że Marta musi wyjść z gabinetu, bo nie jest prawdziwą mamą. Wyzwaniem jest szkoła: w jednej dyrektorka powiedziała, że z dwiema mamami będzie problem, bo „wszyscy są wierzący", w drugiej konsultowano się z prawnikiem, czy Marcie można udzielać informacji o postępach syna w nauce. „Odmieniamy w Polsce przez wszystkie przypadki prawa dzieci, a w praktyce mamy dzieci kategorii A i B" – mówi Strzałkowska. I wyznaje: „Cieszę się, że nie czekałam z życiem na Polskę".

Subiektywne poczucie więzi

Za rządów PiS przedstawiciele mniejszości seksualnych słyszeli z ust prezydenta Andrzeja Dudy, że nie są ludźmi, tylko ideologią. Obrażał ich minister edukacji Przemysław Czarnek, lider partii rządzącej Jarosław Kaczyński ▶

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ drwił z Władysława, który o dowolnej godzinie może zamienić się w Zosię. Za czasów PO i koalicji 15 października marszałek Sejmu Szymon Hołownia i wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz nie zgadzają się na dzieci „w tych związkach". „Wie pan, że jeżeli moja partnerka umrze, to [nasze] dzieci trafiają do domu dziecka?" – takie pytanie postawiła Markowi Sawickiemu, prominentnemu posłowi PSL Patrycja Adamska. Wychowuje z partnerką czworo dzieci, a Sawicki doradził, żeby „zabezpieczyły się" u prawników, po czym zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

– *Nieuregulowana sytuacja prawna negatywnie oddziałuje na dobrostan par nieformalnych tak jedno-, jak i różnopłciowych, a także ich dzieci. Choć pewien zakres praw i obowiązków mogą one normalizować między sobą poprzez umowy, nie wystarcza to do stworzenia bezpiecznych i stabilnych ram wspólnego życia* – komentuje dr Marlena Drapalska-Grochowicz z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, zajmująca się prawnymi aspektami bliskich relacji między ludźmi.

Jak zauważa, w świetle niektórych ustaw mówimy o „osobach pozostających we wspólnym pożyciu", ale przysługuje im wąski zakres uprawnień (prawo do odmowy składania zeznań, możliwość uzyskania informacji o stanie zdrowia partnera czy wstąpienia w stosunek najmu po śmierci partnera). Ustalenie, czy osoby są we „wspólnym pożyciu" w konkretnych sprawach, weryfikują jednak sądy (a niekiedy równie arbitralnie lekarze czy urzędnicy). Przykład: kobieta nie mogła przejąć nazwiska partnera, bo 25-letni związek nie był dla sądu „obiektywnym faktem", lecz „subiektywnym poczuciem więzi z drugą osobą".

Partnerzy nie mogą skorzystać z ulg podatkowych przy dziedziczeniu lub otrzymaniu darowizny ani wspólnie rozliczyć podatku. Nie mogą zostać objęci wspólnym ubezpieczeniem zdrowotnym. Po rozstaniu nie mają prawa do alimentów. Jeśli nie zabezpieczyli się osobnymi umowami, zostają na lodzie, jak Agnieszka, którą partner porzucił z dziećmi i kozami. Nie mogą dziedziczyć po sobie ustawowo, w przypadku braku testamentu partner lub partnerka pozostaje bez praw do spadku, na który składa się majątek nieraz wspólnie wypracowany przez lata. W sprawach spadkowych, a także pochówku, więcej do powiedzenia mają dalecy krewni, nawet osoby nieutrzymujące kontaktu, ale formalnie bliskie. – *Nie przekonam przedsiębiorcy pogrzebowego, że mam prawo pochować kobietę, z którą przeżyłem dorosłe życie* – mówi Dariusz, który żyje w związku nieformalnym od 21 lat.

Wyjazd albo „niestety ślub"

Równość małżeńską bez względu na płeć uznaje się w ponad 20 państwach Europy, związki partnerskie – w kilkunastu kolejnych. Polska znajduje się w gronie zaledwie kilku, które nie wprowadziły żadnych regulacji. Do wprowadzenia ram prawnych uznających związki



Od pierwszej próby wprowadzenia ustawy o związkach partnerskich upłynęły 23 lata. Pojawiło się w tym czasie 12 projektów i żaden nie wszedł w życie.

partnerskie zobowiązują nasz kraj orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, ustawowych rozwiązań jednak jak nie było, tak nie ma.

W obecnej kadencji Lewica złożyła dwa projekty ustaw jako poselskie, bo nie mogła się doczekać końca prac w rządzie, ale według najnowszych zapowiedzi premiera rządowy projekt nowej ustawy zostanie przedstawiony do 15 października (czyli półmetka obecnej kadencji). „Nie będzie to finał satysfakcjonujący wszystkich, taki ostrożny z punktu widzenia bardziej konserwatywnych polityków koalicji 15 października, ale posuwający sprawy do przodu" – zapowiedział Tusk.

Nie brak jednak głosów, że „temat może być zamknięty do końca roku". Plan maksimum „na dziś" jest mocno okrojony: zakłada m.in. wspólne rozliczenia podatkowe, dziedziczenie czy zawieranie i kończenie takich związków u notariuszy, a nie w urzędzie stanu cywilnego. Szczegóły negocjuje z PSL i Polską 2050 Katarzyna Kotula z Lewicy, do niedawna ministra, dziś już tylko pełnomocniczka ds. równości. Zgrzyty wywołuje nawet nazwa nowego prawa: lepiej, żeby to była ustawa o „umowie partnerskiej" lub jeszcze lepiej o „osobie najbliższej", bo „związków partnerskich" nie zaakceptuje prezydent Karol Nawrocki. A poza tym zostały już rzekomo „zohydzone", jak to określił w mediach jeden z ludowców.

– *Uznanie w prawie wzmacnia pewność siebie w interakcjach społecznych. Bez tego dochodzi do wykluczenia społecznego, niekiedy także stygmatyzacji i tzw. stresu mniejszościowego, szczególnie w związkach jednopłciowych. Konsekwencją bywa wstyd i upokorzenie* – mówi dr Drapalska-Grochowicz.

12 proc. osób LGBT+ zamierza wyjechać z kraju – wynika z największego w Polsce badania „Sytuacja społeczna osób LGBT+ w Polsce za lata 2019–2020". „Zdecydowałem się na wyjazd z kraju wraz z partnerem i pieskiem. Mam podwójne obywatelstwo, więc wyjazd do Niemiec to jedyny sposób na normalne życie. Marzę o ślubie. Jesteśmy razem 10 lat i nie chcę już czekać" – mówił ankieterom 42-letni gej. Gdyby nie przeszkody finansowe, ślub za granicą wzięłoby 70 proc. badanych; tyle samo zawarłoby jednopłciowe małżeństwo, gdyby to było w Polsce możliwe. 3,7 proc. już sformalizowało swój związek za granicą (w kraju żyje ok. 18 tys. takich osób). „Zaczęłam poważnie rozważać wyprowadzkę. Mam narzeczoną, chcę wziąć ślub, chcę mieć dziecko. Myślę o Finlandii. Straciłam nadzieję, że w ciągu najbliższych 10 lat w Polsce coś się zmieni" – powiedziała 28-letnia osoba transpłciowa.

Nadzieję traci także Dariusz, dziennikarz. – *Jeśli w końcu uchwalą tę ustawę, będę pierwszym, który sformalizuje związek. Ale chyba prędzej czeka mnie niestety ślub* – mówi. Agnieszka walczy z byłym partnerem o prawo do opieki nad dziećmi. Próbowała odzyskać część majątku, ale bez skutku. „Niestety ślub" wzięli już Małgorzata z Krzysztofem. Nie był uroczysty, nie powiadomili o nim krewnych i przyjaciół, bo „nie jest przyjemnie, gdy państwo zmusza cię do małżeństwa".

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 6f22740c7b

Katarina Gos, autorka książki „Skasowany mózg”, opowiada o tym, czy czarny humor pomaga żyć z alzheimerem, o samotności i co trzeba zmienić w systemie pomocy.

Niewidoczni



© SHUTTERSTOCK

MARTA LAU: **– W książce „Skasowany mózg” pisze pani: „Niedługo przyjdzie kolejny sztorm i zabierze ojca”. To wciąż przed panią.**

KATARINA GOS: – To, czyli śmierć... Tak, moja książka kończy się oczekiwaniem na śmierć, ale mój tata żyje i wymaga całodobowej troski. Choć już nie zadam mu pytań o to, jaka byłam jako dziecko, jak wspomina nasze podróże czy co pamięta z moich ważnych, życiowych wydarzeń. To znaczy mogę je zadać, ale odpowiedzi już nie usłyszę. To jest trudne dla mnie, a co dopiero dla otoczenia. Bo jak zwyczajnie rozmawiać w pracy o nowych butach czy serialach, gdy w głowie szuka się sposobu na właściwe i skuteczne pobranie odpowiedniej ilości krwi dla Instytutu Hematologii, bo tata poza alzheimerem choruje także na białaczkę. A bez wyników tej krwi nie dostanę właściwych leków. Najlepiej, jakbym sama w ogóle ją pobrała, molekularnie zbadała w domu i wysłała im wyniki do szpitala.

A dlaczego nie może tego zrobić Instytut?

Bo Instytut nie jest od tego, by jeździć do domów pacjentów i pobierać krew, ani od tego, żeby pacjentów przewozić na pobieranie. Tak usłyszałam od lekarki. No i robi się spory kłopot. Krew może pobrać pielęgniarka środowiskowa, ale dostarczyć próbkę miałabym ja, zgodnie z propozycją hematologa. Problem w tym, że krew do badań powinna być transportowana w odpowiednich warunkach. W określonej, kontrolowanej temperaturze, w szczelnym zasobniku zapobiegającym kontaminacji i wyciekowi. Powinno się do tego używać specjalnych pojemników izotermicznych, a ludzie, którzy przewożą krew, powinni być przeszkoleni. I jak mam to dostarczyć? W termosie?

Jednym słowem pozornie banalna sprawa urasta do wielkiego problemu.

Tak. To przykład, że wiedza o demencji i alzheimerze nawet w środowisku ▶

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ medycznym jest na średnim poziomie. Lekarz widzi diagnozę: pacjent w ostatnim stadium choroby Alzheimera. To znaczy, że ma do czynienia z człowiekiem leżącym, który nie nadaje się do transportu, któremu naprawdę trudno jest pobrać odpowiednią ilość krwi. Z takimi sytuacjami zderzam się niemal codziennie.

Rozumiem, że ogarnianie takiej codzienności jest trudne. Może trzeba skorzystać z opieki wytchnieniowej? To chyba dobry pomysł?

Opieka wytchnieniowa to forma wsparcia opiekunów, aby mogli trochę odpocząć od codziennej opieki nad chorym. Oczywiście pomysł jest dobry, ale w praktyce nie wygląda to już tak kolorowo. Opiekuję się tatą non stop od 2019 r., chciałam skorzystać z tej formy pomocy. Zadzwoniłam do Ośrodka Pomocy Społecznej, po kolejnych przełączeniach trafiłam w końcu do odpowiedniej osoby. Zostałam poinstruowana: wypełnić wniosek, złożyć kopię dokumentów, a na końcu to wszystko ma podpisać tata.

Co na tym etapie choroby nie jest możliwe.

Dlatego pytam: Jakim sposobem człowiek, któremu alzheimer odebrał wszystko poza cielesną obecnością, ma złożyć podpis? I wtedy słyszę, że muszę go ubezwłasnowolnić, czyli iść do sądu i przeprowadzić kolejną, długotrwałą procedurę. Kiedy już tatę ubezwłasnowolnię, będę mogła samodzielnie złożyć komplet dokumentów.

Rozumiem, że z wytchnieniem dała sobie pani spokój?

Tak, na tym moje starania o wytchnienie od opieki nad tatą się skończyły. Procedury byłyby przecież bardziej długotrwałe i absorbujące niż samo wsparcie. W Polsce ponad pół miliona osób ma zdiagnozowanego alzheimera. Proszę sobie wyobrazić, że każdy z opiekunów przechodzi dokładnie taką samą ścieżkę jak ja.

„Osobisty portret rodzinny z alzheimerem w tle", taki podtytuł ma pani książka.

Chodzi w niej o to, jak wygląda codzienność, ale w sumie jest w niej tylko część tego, co naprawdę składa się na całe spektrum życia z chorującą osobą. Książkę określam jako „przygodową".

Przygodowa książka o alzheimerze?

Codzienność jest bardzo trudna, ale uznałam, że nie musi być tu szczegółowo, w sposób naturalistyczny przedstawiana. Wiadomo przecież, że ta choroba wiąże się z pieluchami, zapachem moczu, karmieniem i przewijaniem. Świadomie często posługiwałam się czarnym humorem i wybranymi epizodami, by pokazać te najbardziej surrealistyczne sytuacje, które się wydarzyły, a których by nie wymyślił najlepszy na świecie scenarzysta.

Jak ten z kąpielą w wannie pełnej gruzu?

Na przykład. Ojciec podczas remontu łazienki puścił do wanny pełnej gruzu wodę i wszedł do niej, by się wykąpać. Trudne do uwierzenia, ale sporo to mówi o samej chorobie i życiu z nią. Dla człowieka z zaburzeniami funkcji poznawczych, jakim jest chory na alzheimera, ten gruz, ten bałagan w łazience i osoby w niej obecne, nie są żadną przeszkodą do zrealizowania swojego zamiaru. A dla bliskich chorych takie momenty, choć w istocie surrealistyczne, są codziennością.

Jak na własną diagnozę zareagował pani tata?

Tak naprawdę to tata nigdy nie był świadomy swojej choroby. Kiedy zaczęły się pierwsze problemy, takie jak gubienie się, mylenie faktów, powtarzanie tych samych historii, stanowczo odmawiał jakiejkolwiek konsultacji, powtarzał: „No co ty, przecież wszystko jest ze mną w porządku". I to jest bardzo typowe, bo większość osób, u których pojawia się choroba Alzheimera, na początku jest przekonana o swoim zdrowiu i nie ma świadomości tego, co się dzieje.

Nic nie przeczuwał?

Być może coś jednak tak, bo jak tylko wróciłam do Polski po 22 latach w USA, usiadł ze mną i spokojnie wyjaśnił, gdzie się płaci czynsz, gdzie za energię, upoważnił do rachunków bankowych, a nawet do spraw związanych z pogrzebem, bo okazało się, że na grobowcu rodzinnym ma wyryte swoje nazwisko i datę urodzin. Miałam się już o nic nie martwić, tylko wpisać datę zgonu.

Rodzina, która została w Ameryce, nie miała pretensji, że wraca pani do kraju, by opiekować się tatą?

Mój powrót do Polski jeszcze wtedy nie wiązał się z opieką nad nim. Tak mi się życie poukładało, że z chęcią rozpoczynałam nowy etap tu, obok ojca, który właśnie został wdowcem. Mieliśmy wiele wspólnych planów. Z dorosłym synem, który został w Stanach, miałam umowę, że będzie możliwie często przylatywał do Polski. Oczywiście mój wyjazd spowodował, że więzi się rozluźniły. Jesteśmy na różnych kontynentach.



Katarina Gos – autorka książki „Skasowany mózg. Osobisty portret rodzinny z alzheimerem w tle". Socjolożka i pracowniczka socjalna ze specjalnością gerontologia, przez ponad 20 lat mieszkała w USA. W 2017 r. wróciła do kraju ze względu na konieczność opieki nad chorym rodzicem. Zajmuje się wsparciem imigracyjnym dla cudzoziemców w Polsce.

Jak syn zareagował na chorobę dziadka?

Kiedy był ostatnio w Polsce, to tylko płakał. Nie potrafił się pogodzić z tym, że widzi swojego ukochanego dziadka, z którym nie może zamienić już ani jednego słowa, który nie wie, gdzie jest i tylko błądzi gdzieś oczyma.

Czy w Stanach pani tata nie miałby lepiej, a pani trochę łatwiej?

Wszystko zależy od tego, jakie by miał ubezpieczenie. W USA system opieki zdrowotnej oparty jest głównie na prywatnych firmach ubezpieczeniowych. To federalne, tzw. Obamacare, zapewnia tylko minimum opieki, żadnych skomplikowanych zabiegów czy badań. A jak wiemy, alzheimer wymaga szerokiego i kompleksowego zakresu opieki.

Jednym słowem szczęście mają ci, których stać na prywatne ubezpieczenie, państwowe jest niewiele warte.

Tak, ale zwrócę uwagę, że w USA tego typu sytuacje rozwiązuje się inaczej. Bardzo często starsi ludzie sprzedają swój dom i tak opłacają sobie dożywotni pobyt w dobrym ośrodku. Niektórych – dzięki sprzedaży nieruchomości – stać nawet na luksusowy dom opieki, w którego pobliżu jest to, co ich pasjonuje, np. pole golfowe. Często się zdarza, że dzieci towarzyszą rodzicom podczas wyboru takiego

© ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 6f22740c7b

miejsca na starość. To wynika z innego modelu amerykańskiej rodziny, która rzadko jest wielopokoleniowa, i z samego konstruktu społeczeństwa. Przede wszystkim mieszka się tam, gdzie jest praca, i nie kupuje domu na pokolenia. Nie ma przywiązania do jednego konkretnego miejsca.

Jeśli rodzice mieszkają w innym stanie niż ich dorosłe, pracujące już dzieci, to nie ma fizycznej możliwości opieki nad nimi. Stąd tak rozwinięta od XIX w. prywatna opieka dla ludzi starszych. Coś, czego w Polsce długo nie znano, i co spowodowało, że nad starszymi rodzicami opiekę musiał sprawować ktoś z rodziny lub placówka państwowa. Myślę, że to jest też przyczyna, że w Polsce umieszczanie seniorów w domu opieki jest ciągle czymś stygmatyzującym: „Oddajesz matkę czy ojca do przytułku, do umieralni?".

Emma Heming-Willis, żona aktora Bruce'a Willisa, zmagającego się z demencją czołowo-skroniową, mierzyła się ostatnio z krytyką, bo przyznała, że zapewniła mu opiekę w innym domu, niż mieszka ich rodzina. Czy głosy znanych osób mogą zmienić świadomość społeczną wokół chorób neurodegeneracyjnych?

Na pewno jej słowa mają większą moc niż moje czy pani. Znane nazwisko przyciąga uwagę mediów, uruchamia emocje, daje szansę, że temat na chwilę zaistnieje szerzej. Ale obawiam się, że to będzie tylko taka iskierka, która zabłyśnie na moment i szybko zgaśnie. Prawdziwy ciężar tych chorób nie leży w opowieści o jednym celebrycie, lecz w codzienności setek tysięcy anonimowych rodzin. To opowieść o moim ojcu, pani ojcu, o tysiącach innych niewidocznych pacjentów.

Co wynika z tej opowieści?

Obraz pełen systemowych niedomagań, braku wsparcia, niejasnych procedur i kosztów, które przerzuca się na bliskich. Oczywiście można powiedzieć: „opiekunom jest ciężko". Tyle że samo to stwierdzenie niczego nie zmienia. To, czego potrzebujemy, to trwałe, systemowe rozwiązania. I to dość szybko, bo ci chorzy i ich opiekunowie zwyczajnie nie mają już zbyt wiele czasu. Dlatego głos osób znanych jest ważny, ale chodzi o to, żeby został przełożony na realne działania, a nie tylko medialne współczucie.

To chyba dobrze, gdy sławna osoba powie publicznie, że choruje na to samo co tysiące innych i jest takim samym pacjentem.

Pytanie, czy rzeczywiście jest takim samym pacjentem jak mój tata albo pani tata? Nie sądzę. Czy pani najbliżsi chorzy na demencję przeszli jakąkolwiek terapię? Ktoś pani opowiedział o tych stosowanych na świecie? Czy w przypadku chorych, którymi się pani opiekowała, były zastosowane leki zmniejszające postęp choroby, czy tylko takie, aby chory był jeszcze bardziej otępiały i wyciszony, żeby pani miała odrobinę spokoju?

Chodziło mi o to, że to choroba demokratyczna i dotyka zarówno celebrytów, jak i inżynierów, wojskowych czy hydraulików.

To prawda, ale – jak wiemy – demokracja nie jest systemem idealnym i w dodatku niekoniecznie sprawiedliwym. W przypadku Bruce'a Willisa mówimy o zupełnie innym, bogatym, uprzywilejowanym pacjencie, wobec którego zastosowano wszelkie możliwe środki, żeby jego chorobę spowolnić albo żeby mu pomóc lepiej funkcjonować. Dlatego, choć głos Emmy Heming-Willis ma ogromną moc, bo przez chwilę otwiera debatę, wciąż jest to głos z innego świata.

A w naszym świecie?

Opiekun zostaje sam, zdany na własne siły. Ja sobie radzę, bo życie przygotowało mnie do tej roli. Otrzymałam od mojego taty ogrom miłości i dlatego nie zastanawiałam się, czy podołam. Staram się to robić, jak najlepiej potrafię. Ale wyobraźmy sobie sytuację, kiedy ktoś słabszy psychicznie albo właśnie nieradzący sobie z własnym życiem musi się nagle zmierzyć z opieką nad rodzicem. Bez takiego dobrego, systemowego wsparcia polegnie i być może zostawi tego starego człowieka samego sobie. A starzy ludzie są niewidoczni.

Dla systemu?

Dla systemu, biznesu, społeczeństwa są po prostu nieatrakcyjni. Przestają kupować nowe samochody, urządzać mieszkania, jeździć na egzotyczne wakacje, nie ubierają się w najnowsze kolekcje mody. Trudno im sprzedać torebkę z Zary czy buty Gucciego. To zazwyczaj jest pani z siateczką, która idzie na bazar i liczy każdą złotówkę. Do tego dochodzi kult młodości, młodego ciała, energii, urody. Starość nie mieści się w tym obrazie. Dlatego zasłaniamy ją, udajemy, że jej nie ma. A skoro udajemy, to przestajemy pisać i mówić o prawdziwym życiu starszych ludzi w Polsce. Moim marzeniem jest, żebyśmy tę niewidoczność zamienili na uważność.

Jak?

W książce opisałam scenę, w której mój tata siedzi na przystanku z małym czerwonym notesikiem, w którym ma rozpisaną trasę do domu, ale nie wie, jak do niego trafić. Wtedy zazwyczaj do mnie dzwonił, a ja rzucałam wszystko i jechałam go odnaleźć. Chciałabym, żeby każdy, kto zobaczy na przystanku starszą osobę, pomyślał o niej tak jak o zagubionym dziecku. Przecież gdy widzimy dziecko, które nie wie, co ze sobą zrobić, natychmiast reagujemy. Dlaczego nie mamy tak samo reagować w przypadku starszych ludzi? Oni też potrzebują, by ktoś wyszedł im naprzeciw.

Dlatego napisała pani tę książkę?

Pisałam ją z myślą nie tylko o osobach, które mają do czynienia z tego typu chorobami, ale przede wszystkim dla tych, którzy prędzej czy później znajdą się w obliczu takiej sytuacji. Bo że się znajdą, to jest pewne. Statystyki i prognozy demograficzne są nieubłagane. Nie mam wielkiej nadziei, że książka wywoła zmiany systemowe czy kulturowe w Polsce. Ale może chociaż uchyli trochę drzwi, skłoni nas do rozmowy o ludziach starych. Żeby powiedzieć młodemu pokoleniu: słuchajcie, obudźcie się, bo za chwilę to wy będziecie tymi starcami bez guzika w płaszczu, z siateczką na skromne zakupy, których być może nie będziecie wiedzieli, gdzie i jak zrobić. Starcami, którzy już dawno zapomnieli, jak mają na imię, kim są i kim byli. Tak więc pora na, że tak powiem, wake up call.

ROZMAWIAŁA MARTA LAU

Światowy Dzień Walki z Chorobą Alzheimera obchodziliśmy 21 września.

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie materiały, które ukazały się dotychczas w ramach cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w zakładce na na szej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**
Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi opiniami i doświadczeniami: **akcja@polityka.pl**

eprasa.pl 6f22740c7b

Wyrocznia z wyspy



Larry Ellison został najbogatszym człowiekiem świata i być może kupi TikToka, a nawet TVN, choć większość świata nie wie, co on właściwie robi. Na pewno świetnie dogaduje się z **Donaldem Trumpem** i Beniaminem Netanjahu.

Na kampanię wyborczą obecnego prezydenta USA nie wydał ani centa, a mimo to jest z nim w lepszych stosunkach niż Elon Musk

MARIUSZ ZAWADZKI

Lista najbogatszych ludzi na świecie wydaje się całkiem logiczna. Są tam nazwiska związane z produktami, które znamy i używamy praktycznie wszyscy i bez których nie umiemy się obejść. Elon Musk produkuje samochody elektryczne Tesla, a jego SpaceX wynosi na orbitę Ziemi tysiące sztucznych satelitów. Mark Zuckerberg jest szefem Facebooka. Jeff Bezos stworzył Amazon, największy na świecie sklep online. System Windows, stworzony przez Microsoft Billa Gatesa, jest w większości komputerów na świecie.

Można dalej wyliczać. Larry Page i Siergiej Brin zakładali Google. Francuz Bernard Arnault sprzedaje różne towary luksusowe, jak torebki Louis Vuitton, perfumy Dior czy szampan Moet. Rodzina Waltonów stworzyła Walmart, największą sieć supermarketów w Stanach Zjednoczonych. Inwestor Warren Buffett wprawdzie nic nie produkuje, ale wszyscy z grubsza rozumieją, jak zarabia pieniądze – kupuje na giełdzie akcje różnych firm, a potem sprzedaje je z zyskiem.

Tylko 81-letni Larry Ellison, który dwa tygodnie temu na chwilę wskoczył na szczyt listy najbogatszych, wyprzedzając Muska, jest wyjątkiem od reguły. Jeszcze niedawno mało kto wiedział o jego istnieniu i tylko nieliczni rozumieją, czym się zajmuje i jak

eprasa.pl 6f22740c7b

zarabia pieniądze firma, którą stworzył. Gdyby w sondzie ulicznej zadać pytanie: „Czy używasz produktów Oracle?”, zapewne prawie wszyscy odpowiedzieliby, że nie używają. Ale byłaby to odpowiedź fałszywa, bo praktycznie wszyscy korzystamy z produktów Oracle, nawet jeśli o tym nie wiemy.

Na przykład wtedy, kiedy robimy zakupy na Allegro, eBayu albo Vinted. Kiedy lekarz sprawdza w komputerze wyniki naszych badań. Kiedy na nasz telefon przychodzi wystawiona przed chwilą e-recepta. Kiedy odbieramy emeryturę (wyliczoną przez ZUS przy użyciu systemów Oracle). Kiedy logujemy się na portal urzędu skarbowego i widzimy tam nasze zeznanie za zeszły rok przygotowane do wysłania.

Nawet kiedy pytamy o coś ChatGPT, czyli najpopularniejszą wersję sztucznej inteligencji, to nad odpowiedzią pracują komputery Oracle, Google i Microsoftu. A wkrótce rola Oracle jeszcze się zwiększy, bo firma OpenAI, która stworzyła ChatGPT, właśnie kupiła od niego dodatkową moc obliczeniową za 300 mld dol. Ogłoszenie tego rekordowego kontraktu 10 września wywołało nagły 36-procentowy skok ceny akcji Oracle na giełdzie w Nowym Jorku. W rezultacie Ellison, który ma aż 41 proc. udziałów w swojej firmie, na jeden dzień stał się najbogatszym człowiekiem świata z majątkiem szacowanym na 393 mld dol. W następnych dniach akcje Oracle nieznacznie spadły, a razem z nimi Ellison spadł z powrotem na drugą pozycję za Muskiem.

Na początek: CIA

Lista najbogatszych jest w dużym stopniu fikcją, bo ogromna większość ich majątków to akcje, czyli wirtualne pieniądze. Gdyby jednak stworzyć ranking uwzględniający tylko realny, fizyczny majątek – nieruchomości, jachty, prywatne samoloty itd. – to prawdopodobnie właśnie Ellison byłby na pierwszym miejscu. Jest właścicielem największej prywatnej wyspy na świecie, czyli hawajskiej Lanai, długiej na ok. 30 km i szerokiej na 20 km. Łącznie jego fizyczny majątek jest szacowany na ok. 2 mld dol. Musk, który prawie w ogóle nie inwestuje w nieruchomości, ma fizyczny majątek wielokrotnie mniejszy. Z Ellisonem mogą konkurować chyba tylko Bezos, Gates, Arnault i Roman Abramowicz, wszyscy wyceniani na ok. 1,5 mld dol. realnego majątku.

Przy czym rankingi realnych majątków, gdyby istniały, też byłyby dość umowne, bo jak wycenić wyspę na Hawajach albo kilka zamków we Francji, które posiada Arnault? To są dobra bardzo nietypowe, unikatowe, warte tylko lub aż tyle, ile zapłaci kupiec, który się akurat znajdzie. W 2012 r. Ellison kupił swoją hawajską wyspę za 300 mln dol.

Skąd taka suma? Jego systemy Oracle są wykorzystywane wszędzie tam, gdzie trzeba zebrać i analizować ogromną liczbę danych. Nie są sprzedawane indywidualnym konsumentom, tylko firmom, instytucjom, ministerstwom i rządom. Pierwszym kontrahentem Ellisona była CIA, czyli amerykański wywiad. W 1977 r. agencja ta doszła do wniosku, że potrzebuje systemu, który zbierze i uporządkuje wszystkie informacje zdobywane przez jej ludzi na całym świecie. Projektowi nadano kryptonim „Oracle” – od angielskiego słowa „wyrocznia”. Chodziło o to, żeby system umiał segregować i wyszukiwać informacje i odpowiadać na proste pytania analityków, na przykład: „Pokaż wszystkie raporty zawierające słowo »Brežniew« sporządzone w latach 1972–75 przez komórkę CIA w Berlinie”.

Ellison i jego dwaj wspólnicy, Bob Miner i Ed Oates, utworzyli firmę Software Development Laboratories (SDL) tylko po to, żeby





Na korcie w Indian Wells. Od lewej: **Roger Federer, Rafael Nadal, Larry Ellison, Ana Ivanović, Wiktoria Azarenka i Novak Djoković.** Powyżej: **miliarder dwukrotnie wygrał regaty o Puchar Ameryki. W 2010 r. jako żeglarz, a w 2013 r. jako sponsor i menedżer zwycięskiej załogi Oracle.**

zdobyć ten kontrakt. I rzeczywiście go dostali. Potem, kiedy mogli się pochwalić takim kontrahentem, łatwiej było im znaleźć kolejnych klientów już w sektorze prywatnym. Po kilku latach zmienili nazwę firmy na Oracle Corporation. Jej mózgiem był zawsze Miner, wybitny informatyk, który zaprogramował pierwsze wersje baz danych Oracle i był naczelnym inżynierem firmy aż do początku lat 90. Dla odmiany Ellison był przeciętnym programistą, już po pół roku wyleciał z University of Chicago, ale miał talent marketingowy, spryt, bezwzględność i dar przekonywania ludzi. Pierwszą wersję bazy danych, którą sprzedawali komercyjnie, nazwał „Oracle wersja 2”. Bo gdyby kontrahenci wiedzieli, że to pierwsza, to mogliby mieć wątpliwości, czy jest dopracowana.

Żony i jachty

Właściciel Oracle znany jest z tego, że zawsze bez skrępowania korzystał z życia i nie przywiązywał zbytniej wagi do konwenansów ani wizerunku. Amerykańskie media straciły rachubę w kwestii jego żon – niektóre podają, że obecna jest szósta, inne, że dopiero piąta. Zgoda panuje jedynie co do tego, że jest o 47 lat młodsza od męża.

W 2010 r., kiedy Ellison miał już 66 lat, po raz pierwszy wygrał Puchar Ameryki, czyli najważniejsze i najstarsze trofeum w regatach żeglarskich. Tamtego roku zawody odbywały się ▶

© ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES, JUSTIN SULLIVAN/GETTY IMAGES, JOHN G. MABANGLO/EAP/PAP

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ w hiszpańskiej Walencji. Innowacyjny trimaran z żaglem skrzydłowym, który Ellison budował i przygotowywał przez trzy lata kosztem ponad 100 mln dol., pokonał katamaran szwajcarskiego miliardera Ernesto Bertarellego, który bronił pucharu. Trzy lata później zawody o Puchar Ameryki odbywały się w San Francisco i finał składał się z 17 wyścigów. Po dziewięciu Oracle Team USA przegrywał 1:8, ale potem wygrał osiem wyścigów z rzędu i znowu zdobył Puchar.

W 2009 r. Ellison kupił klub tenisowy w Indian Wells w Kalifornii – malowniczo położony na pustyni, z widokiem na góry – i postawił sobie za cel, żeby rozgrywany tam turniej stał się „piątym szlemem". Kort centralny mieści na trybunach 16 tys. widzów i jest drugi co do wielkości na świecie, ustępuje tylko kortowi centralnemu w Nowym Jorku.

Ellison mógł sobie pozwolić na te wszystkie ekstrawagancje, bo od końca lat 80. Oracle należał do największych firm informatycznych na świecie. A teraz jego perspektywy są lepsze niż kiedykolwiek ze względu na rozwój sztucznej inteligencji. Opiera się ona przecież na analizowaniu ogromnej ilości danych, czyli na tym, w czym Oracle specjalizował się od zawsze. Nowość polega na tym, że kiedyś dane były zwykle analizowane przez jeden wielki komputer, a teraz odbywa się to w chmurze, czyli w rozproszonym systemie złożonym z tysięcy komputerów.

Do tej pory na rynku usług w chmurze dominowały Microsoft i Amazon. Ale dzięki nowemu kontraktowi Oracle je wyprzedził. Zainkasuje 300 mld dol. za to, że odda do dyspozycji OpenAI komputery o łącznej mocy prawie pięciu gigawatów. Dla porównania – zwykły domowy komputer pobiera ok. 500 watów. Czyli ChatGPT dostanie jakby dodatkowych 10 mln domowych komputerów, żeby szybciej i lepiej odpowiadał na nasze pytania.

Pokłony przed Trumpem

Nie jest to pierwszy w tym roku triumf Ellisona, tylko kolejny w serii oszałamiających sukcesów na wielu frontach. W sierpniu jego syn David kupił Paramount, czyli wielki koncern medialny, w którego skład wchodzi hollywoodzka wytwórnia Paramount Pictures, telewizja CBS i muzyczny kanał MTV. Pieniądze, czyli 8 mld dol., wyłożył oczywiście ojciec. Federalna Komisja Łączności zatwierdziła tę transakcję w podejrzanych okolicznościach – zaraz po tym, jak Paramount dwukrotnie „pokłonił się" przed Donaldem Trumpem. Najpierw zgodził się wypłacić prezydentowi USA 16 mln dol. odszkodowania za rzekomą stronniczość CBS przed wyborami (Trump publicznie oskarżał telewizję o faworyzowanie Kamali Harris). Potem Paramount ogłosił, że w przyszłym roku CBS zwolni komika Stephena Colberta, który co wieczór bezlitośnie wyśmiewa Trumpa (POLITYKA 34).

Dotychczasowi właściciele Paramount mieli problemy finansowe i dlatego bardzo chcieli fuzji. Spekuluje się, że Larry Ellison zażądał od nich, żeby poświęcili Colberta i śmieszne 16 mln dol. i tym sposobem zdobył sobie przychylność Trumpa. Będzie ona rodzinie Ellisonów nadal potrzebna, bo wygląda na to, że zamierzają stworzyć imperium rozrywki i mediów, jakiego jeszcze w Ameryce nie było. Dziennikarze „The Wall Street Journal" dowiedzieli się, że po Paramount chcą kupić kolejny koncern medialny: Warner Bros Discovery, który obejmuje hollywoodzką wytwórnię Warner Bros, filmowy kanał HBO i telewizję informacyjną CNN, ale także polską TVN.

Gdyby taka transakcja doszła do skutku, to po raz pierwszy w historii jeden właściciel miałby dwie wytwórnie z wielkiej piątki Hollywood (Paramount, Warner Bros, Universal, Columbia, 20th Century Fox). Teoretycznie rząd federalny może to zablokować, powołując się na prawo antymonopolowe, ale wygląda na to, że Ellison umie się dogadywać z Trumpem znacznie lepiej niż np. Elon Musk. Nikt nie był tak hojny dla Trumpa jak Musk, który wydał na jego kampanię wyborczą 240 mln dol., ale teraz jest z nim skłócony. Ellison nie wydał na kampanię prezydenta ani centa, ale jest teraz jednym z ulubieńców Białego Domu.

Oprócz zgody na przejęcie Paramount Ellison dostał już dwa rządowe kontrakty na łącznie 9 mld dol. od Departamentu ds. Weteranów i Departamentu Obrony (teraz Wojny). Ma też prezydenckie błogosławieństwo w sprawie TikToka, który – wszystko na to wskazuje – stanie się kolejną zdobyczą Ellisona. Może nawet najważniejszą, bo chiński portal z krótkimi filmikami ogląda 1,5 mld ludzi na całym świecie, czyli wiele razy więcej niż wszystkie amerykańskie media, które Ellison kupił lub zamierza kupić.

Chińscy antysemici

Już ponad rok temu Kongres przyjął ustawę, która postawiła ultimatum chińskim właścicielom TikToka: albo sprzedadzą większość udziałów amerykańskim inwestorom, albo TikTok zostanie w Ameryce zablokowany. Chińczycy się ugięli i rozpoczęli negocjacje z Ellisonem. Jako oficjalną przyczynę ultimatum podawano, że mogą zbierać dane Amerykanów i ich szpiegować. Zapewne kiedyś to było możliwe, ale od 2022 r. dane amerykańskich użytkowników TikToka są zarządzane przez Oracle i przechowywane w Teksasie, niedostępne dla Chińczyków.

Dlatego niektórzy komentatorzy uważają, że prawdziwe motywy kongresmenów były inne. Kiedy po ataku terrorystów Hamasu na Izrael w październiku 2023 r. wojsko izraelskie rozpoczęło bombardowania Strefy Gazy, a potem do niej weszło, TikTok był jedynym dużym medium w USA, które pokazywało horror wojny bez żadnej cenzury. Tylko na TikToku Amerykanie mogli obejrzeć filmiki, które robili Palestyńczycy w Gazie. Widać na nich dzieci zabite albo potwornie okaleczone przez amerykańskie bomby, których używa Izrael.

Po kilku miesiącach wojny sondaże zaczęły pokazywać, że Amerykanie poniżej 30. roku życia odwrócili się od Izraela i zdecydowanie sympatyzują z Palestyńczykami. Kongresmeni zaczęli więc publicznie atakować TikToka. „To jest chińska machina szpiegowska i propagandowa, która promuje zaraźliwe antysemickie kłamstwa" – mówił senator Josh Hawley. „Komunistyczna Partia Chińska używa TikToka jako narzędzia propagandy przeciw Izraelowi" – twierdził kongresmen Mike Gallagher. W takiej atmosferze Kongres w ekspresowym tempie przyjął ultimatum dla TikToka – od zgłoszenia projektu ustawy do jej podpisania przez prezydenta Joe Bidena w marcu 2024 r. upłynęło zaledwie 50 dni! Przeciętnie zajmuje to 263 dni.

Jeśli jest prawdą, że w wojnie Ameryki z TikTokiem chodzi o Izrael, to Ellison jest idealnym kandydatem, żeby poskromić chińskich antysemitów. Po matce jest z pochodzenia Żydem i bezwarunkowo popiera politykę obecnego izraelskiego rządu. W 2014 r. na gali w Hollywood przekazał 10 mln dol. na izraelską armię. Przyjaźni się też z premierem Beniaminem Netanjahu. Cztery lata temu zaprosił go na wakacje na Lanai i nawet proponował mu posadę członka zarządu Oracle, bo wtedy akurat Netanjahu chwilowo stracił władzę.

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl 6f22740c7b

Tak daleko, tak blisko

Jak przyciągnąć – i zatrzymać – wielkich inwestorów i wysokokwalifikowanych pracowników w mieście średniej wielkości? Przedsiębiorcy z Elbląga podkreślają atuty jego położenia, choć nie kryją, że bywa ono źródłem niezawinionych kłopotów.



Na festiwalu Ogrody POLITYKI w Elblągu nie mogło zabraknąć głosu miejscowych przedsiębiorców i pracodawców. Dyskusja na temat „Szanse i ograniczenia dla gospodarki" zaczęła się od oceny potencjału Elbląga. Marek Górski, prezydent Konfederacji Lewiatan, zauważył, że w czasach, gdy działały tu duże zakłady (Zamech, ABB, General Electric), na miejscu była wykwalifikowana kadra. Teraz trzeba przyciągnąć młodszych. Potencjalny inwestor najpierw zada sobie pytanie – czy są tam ludzie kompetentni, których potrzebuję? A tu pozostaje jeszcze sporo do zrobienia, chociaż Elbląg niewątpliwie ma atuty.

Jednym z nich jest… więcej czasu na życie. Mówiła o tym zarówno Katarzyna Wójcik-Borsukowicz z firmy meblarskiej, jak i Florian Romanowski, prezes spółki z branży IT. Do pracy jedzie się kilka minut, okolica ma walory przyrodnicze, a dobra komunikacja z Trójmiastem pozwala skorzystać z atrakcji, jakie oferuje pobliska metropolia. To ważne zwłaszcza dla młodych. **Warto też zwrócić uwagę na możliwości dokształcania, jakie oferują miejscowi pracodawcy.** Firma Wójcik Meble, której zależy na wykwalifikowanych stolarzach i operatorach maszyn, uruchomiła trzyletni program dla uczniów. Absolwenci mają tu nie tylko zagwarantowaną pracę, ale otrzymują też od razu wyższe wynagrodzenie.

Florian Romanowski z racji szczególnych wymagań może szukać młodych pracowników tylko wśród absolwentów dwóch politechnik – warszawskiej i gdańskiej. A ich trudno namówić do opuszczenia wielkich miast. Dlatego firma otworzyła swoje Centrum Badawczo-Rozwojowe w Warszawie. Prezes uważa też, że rozwój innowacyjnych firm informatycznych hamuje… państwo. Większość przetargów na tego rodzaju projekty ogłaszają bowiem agendy rządowe, a wygrywają je firmy państwowe.

Najwięcej emocji wzbudziło pytanie o czterodniowy tydzień pracy. Młodzi chcą równowagi między życiem prywatnym a zawodowym i nie zamierzają pracować tak ciężko jak ich rodzice. Biznes liczy jednak koszty. Katarzyna Wójcik-Borsukowicz zwróciła uwagę na gwałtowny wzrost cen energii i płacy minimalnej. Jeśli pracownicy mieliby wykonywać obowiązki przez cztery dni, a otrzymywać wynagrodzenie za pięć, firma straciłaby konkurencyjność. Wskazywana przez niektórych robotyzacja nie rozwiązuje problemu. – *Mamy jednego robota, ale jest wolniejszy i mniej dokładny niż człowiek. Do jego obsługi i tak potrzeba ludzi* – mówiła.

Równie sceptyczny był Marek Górski z Lewiatana. Jego zdaniem Polska cierpi na dramatyczny brak rąk do pracy, a w niektórych branżach w cztery dni nie da się zrobić tyle co w pięć. Przemysł wymaga, by drogie maszyny działały bez przerwy, inaczej inwestycje nigdy się nie zwrócą. – *Jeśli Polska i cała Unia Europejska nie poprawią konkurencyjności, to Stany Zjednoczone i Chiny zostawią nas daleko w tyle* – podsumował.

Wnioski z debaty są jasne. **Elbląg ma potencjał i walory, które mogą przyciągać młodych – czas, bliskość natury, dobrą komunikację z Trójmiastem** – ale bez inwestycji w ludzi trudno będzie wykorzystać te atuty. A czterodniowy tydzień pracy, choć atrakcyjny dla młodszych pokoleń, pozostaje na razie w sferze marzeń.

Sympozjum „Subregion elbląski jako szansa zrównoważonego rozwoju – mit czy cel strategiczny?" odbyło się w ramach Festiwalu Ogrody POLITYKI. W panelu „Szanse i ograniczenia dla gospodarki" udział wzięli: **Marek Górski**, prezydent Konfederacji Lewiatan; **Florian Romanowski**, członek Rady Biznesu i były prezydent Związku Pracodawców Ziemi Elbląskiej; **Katarzyna Wójcik-Borsukowicz**, wiceprezeska ds. finansowych w spółce Meble Wójcik; prowadzenie: **Joanna Solska**, tygodnik POLITYKA.

Zapis z debat dostępny na
https://www.youtube.com/@tygodnik_polityka

Materiał powstał w komercyjnej współpracy z Gminą Miasto Elbląg.

eprasa.pl 6f22740c7b

Kurczaki niezgody

Od ćwierć wieku Europa i kraje Mercosur chcą zbliżenia, ale się go boją. Teraz strach przed cłami Trumpa i ekspansją Chin okazał się jeszcze większy. Małżeństwo zostało zawarte, ale wesela nie ma.



Deklarowana przez polskich rolników troska o lasy Amazonii (na fot.) i ochronę klimatu na kilometr trąci fałszem.

© LYNSEY ADDARIO/GETTY IMAGES

JOANNA SOLSKA

Wcześniej obie strony obwarowały swoje rynki cłami tak wysokimi, by import się nie opłacał. Argentyńczyk do niemieckiej ceny europejskiego auta musi dopłacić nawet 35 proc. cła. Z kolei Unia tak ustawiła taryfy wwozowe na żywność, że stek z argentyńskiej wołowiny kosztuje w restauracji majątek, a tani nierafinowany brazylijski cukier z trzciny jest u nas kilka razy droższy niż z buraków. Umowa o wzajemnej liberalizacji handlu ma to zmienić.

Jeśli wejdzie w życie, obejmie rynek 780 mln konsumentów i obszar, na którym wytwarza się aż 25 proc. globalnego produktu brutto, tak dużej umowy UE do tej pory nie zawierała. Jej najważniejszą częścią jest stopniowe zniesienie albo znaczne obniżenie wzajemnych ceł, ale także zobowiązanie krajów Mercosur (Argentyny, Brazylii, Urugwaju i Paragwaju) do wprowadzenia unijnych standardów w produkcji sprzedawanej do Unii żywności. W imieniu wszystkich członków Wspólnoty umowę podpisała wprawdzie Komisja Europejska, ale muszą się na nią zgodzić parlamenty wszystkich 27 krajów.

Tymczasem aż pięć państw się sprzeciwia: Francja, Austria, Irlandia, Holandia i – dopiero od grudnia 2024 r. – także Polska, rząd PiS nie miał uwag. Ta piątka to za mało, żeby umowę unieważnić. Wprawdzie blokującą mniejszość mogłyby stanowić tylko cztery kraje, ale musiałyby reprezentować co najmniej 35 proc. mieszkańców UE, nasza piątka ma mniej – tylko 30,5 proc. Jeszcze do niedawna wahały się Włochy, ich sprzeciw przesądzałby sprawę, ale ostatnio (ignorując apele przebywającego we Włoszech prezydenta Nawrockiego) zdecydowały się opowiedzieć za umową. Rząd Meloni ocenił, że stwarza ona większe szanse niż zagrożenia, w Polsce o szansach nie rozmawiamy. Straszą nas rolnicy.

Organizacje rolników twierdzą, że liberalizacja handlu z krajami Mercosur będzie potężnym ciosem dla europejskiego rolnictwa, bo żywność, którą produkują, jest tańsza od unijnej. Ciekawostką jest, że rolnicy z krajów sprzeciwiających się umowie, do tej pory

eprasa.pl 6f22740c7b

demonstrujący też przeciwko Zielonemu Ładowi, teraz podnoszą argument, że wejście w życie umowy będzie zagrożeniem... dla ratowania klimatu.

Czwórka z Ameryki Południowej też ma swoje obawy. Europa boi się, że zaleje nas południowoamerykańska żywność, państwa Mercosur – skutków nadmiernego otwarcia na europejskie towary przemysłowe. Dwa największe kraje, czyli Brazylia i Argentyna, rządzone są przez koalicje, które dysponują niewielką większością głosów. W dodatku prezydent Argentyny Javier Milei liczy na korzystne dwustronne porozumienie handlowe ze swym ideologicznym przyjacielem Donaldem Trumpem. Wtedy nadmiernego zbliżenia z Unią mógłby uniknąć.

Zagrożeniem, którego oni i my boimy się jeszcze bardziej niż siebie nawzajem, jest jednak rosnąca dominacja Chin, od których zależy aż 30 proc. eksportu krajów Mercosur. Umowa z Unią staje się przeciwwagą, zmniejsza zależność Ameryki Południowej od azjatyckiego mocarstwa, choć Chiny pozostaną największym partnerem handlowym latynoskiej czwórki. W relacjach z Europą jest równowaga: w 2023 r. wartość eksportu Unii do Mercosur wyniosła 55,7 mld euro, ich do UE – 53,7 mld euro. Pytanie: kto kogo zaleje bardziej?

Unia jako całość ma wiele powodów, żeby chcieć tej umowy. Protekcjonistyczna polityka Donalda Trumpa wypycha nas z globalnego rynku, cła powodują, że europejskie produkty stały się droższe, a więc mniej atrakcyjne dla amerykańskich konsumentów. Z kolei Chiny wypychają nas z własnego terenu, przemysł europejski staje się coraz mniej konkurencyjny.

Unia, a zwłaszcza Niemcy, do niedawna także Włochy, liczą więc na wzrost eksportu samochodów do Ameryki Południowej. Ale też innych produktów przemysłu maszynowego i urządzeń, chemikaliów, a także farmaceutyków. Polski dotyczyłoby to głównie pośrednio, jesteśmy przecież ważnym dostawcą części do niemieckich samochodów, ale też w naszym kraju montowane są pralki, lodówki i cała gama sprzętów AGD, która zyskałaby nowe rynki zbytu. Niestety – co podkreśla Jerzy Plewa, ekspert Team Europe, były dyrektor generalny ds. rolnictwa Komisji Europejskiej – nie pokusiliśmy się o dokładniejsze analizy szans dla naszego przemysłu.

O tym, że po 25 latach negocjacji umowę podpisano, zdecydowała głównie chęć obu partnerów, by wzmocnić swą pozycję wobec USA i Chin. Żeby tak się stało, Unia musi uczynić swój przemysł bardziej konkurencyjnym, a bez uzyskania nowych rynków zbytu będzie to niemożliwe. Ponad 22 proc. PKB krajów UE wytwarza przemysł, rolnictwo zaledwie 1,3 proc., a liczone razem z leśnictwem i rybołówstwem – 1,6 proc. W Polsce rolnictwo, także liczone z leśnictwem i rybołówstwem, wytwarza 2,6 proc. PKB, ale znaczenie przemysłu jest jeszcze większe niż średnio w Europie; to ponad 26 proc. PKB. Odpowiedź na pytanie, od której branży bardziej zależy europejska i polska przyszłość, wydaje się oczywista. Polscy rolnicy twierdzą jednak, że europejskie rolnictwo zostało złożone na ołtarzu ▶

REKLAMA



Jak złamać bariery

Zakończył się Voice Impact Award, pierwsza edycja konkursu organizowanego przez T-Mobile dla dziennikarzy i studentów dziennikarstwa, w którym uczestnicy nadsyłali teksty poświęcone tematyce przełamywania barier. Najciekawsze w nim okazało się to, co przez to hasło twórcy rozumieją, jakie widzą nierówności i co im szczególnie zgrzyta w świecie, głównie w Polsce. A najlepsze – że z uważnością i wrażliwością o tym piszą. W pracach konkursowych powracał wątek wykluczenia, również cyfrowego, niepełnosprawności, migracji, ale też nowych form edukacji, dyskusji i aktywności, które łączą pokolenia, jak miejskie potańcówki. Zwycięzców wyłoniło jury złożone z przedstawicieli największych mediów w Polsce: „Dziennika. Gazety Prawnej", magazynu „Forbes", „Gazety Wyborczej", „Newsweeka", Onetu, Polityki.pl, „Pulsu Biznesu", „Rzeczpospolitej", XYZ i Wirtualnej Polski. Nagrody zostały wręczone podczas gali 17 września. Największe uznanie zdobył tekst „Tama wstydu", słodko-gorzka opowieść o dolegliwości wciąż tabuizowanej i rzadko opisywanej. Tę nagrodę, w imieniu autorki, odebrał ze wzruszeniem na scenie jeden z bohaterów. Trzecie miejsce ex aequo otrzymali autorzy prac o „książkowej ciąży", która nie przebiegła bez komplikacji, i o nietypowych, inspirujących lekcjach historii. Dziesięć najlepszych tekstów ukaże się na łamach mediów, które wzięły udział w Voice Impact Award.

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ niemieckiej gospodarki. To politycznie bardziej nośne.

Zanim jednak przejdziemy do rolnictwa, warto przytoczyć argumenty, o których w naszym kraju się nie dyskutuje. Komisja Europejska, dążąc do rozwoju przemysłu, nie zapomina o zielonej transformacji, nie rezygnuje z niej. Możliwości wprowadzania technologii bardziej przyjaznych dla planety ogranicza jednak brak surowców, bez których jest to niezmiernie trudne, te surowce są w Chinach, ale także w Ameryce Południowej, głównie w Brazylii. – *Potrzebne są do produkcji pojazdów elektrycznych, baterii, półprzewodników oraz technologii odnawialnych źródeł energii* – wylicza Jerzy Plewa. To lit, niob, grafit, mangan i inne metale ziem rzadkich. Umowa ułatwia do nich dostęp.

Protestująca unijna piątka tego nie kwestionuje. Ale rolnicy wyciągają swoją broń masowego rażenia: straszą utratą bezpieczeństwa żywnościowego. Nie można przejść nad tym argumentem do porządku dziennego, także dlatego, że standardy produkcji rolnej i wytwarzania żywności w krajach Mercosur są rzeczywiście inne od europejskich, a wiadomo – żywność gorsza wypiera lepszą, bo jest tańsza. Rolnicy na pomoc przywołują ekologów, z którymi w innych sprawach jest im zupełnie nie po drodze.

W 2020 r. Parlament Europejski pod naciskiem środowisk ekologicznych odrzucił już raz umowę; negocjacje z Mercosur zostały przerwane. Chodziło o to, że otwarcie dużego europejskiego rynku na żywność południowoamerykańską zwiększy na nią popyt, a tym samym tempo niszczenia lasów Amazonii i zamiany dżungli na uprawy rolne i pastwiska. Obecna umowa zawiera więc zapisy zobowiązujące kraje Mercosur do troski o środowisko oraz przestrzegania standardów produkcji rolnej, mają być identyczne jak w UE.

Dr hab. Barbara Wieliczko z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN ma co do skuteczności takich zapisów poważne wątpliwości. Z jej rozmów z ekspertami z Ameryki Południowej wynika, że oni sami wątpią, czy ich państwa mają na tyle silne instytucje, żeby zapewnić kontrolę tych wymogów. Wydaje się więc, że to zagrożenie jest realne, obawy europejskich rolników, że zaleje nas żywność produkowana według niższych standardów i norm sanitarnych, mogą być uzasadnione.

Jednak deklarowana przez rolników troska o lasy Amazonii – rzeczywiście wycinane w szybkim tempie – na odległość trąci fałszem, bo dzieje się to także bez umowy z Mercosur. Janusz Wiśniewski, prezes Polsko-Brazylijskiej Izby Gospodarczej, przypomina, że jeszcze za rządów poprzedniego prezydenta Brazylii Jaira Bolsonaro Bruksela proponowała mu pomoc finansową na ochronę Amazonii. Bolsonaro ją odrzucił, dewastacja puszczy nabrała niesłychanego tempa.

Do niszczenia Amazonii pośrednio przyczyniamy się także my, Polacy, a dokładnie producenci drobiu i wołowiny, którzy przeciwko Mercosur protestują. Puszcza jest wycinana, bo sieje się w tym miejscu soję. Polska importuje rocznie prawie 3 mln ton genetycznie modyfikowanej soi, którą u nas przerabia się na wysokobiałkową paszę. Dzięki niej staliśmy się największym producentem i eksporterem drobiu w Unii i bardzo się utraty tej pozycji i zysków boimy. Właścicielom ferm nie chodzi o Amazonię, ale o własne pieniądze. Wielcy producenci paszy dla drobiu i bydła także nie chwalą się, że ich głównym składnikiem jest importowana soja. Chętnie natomiast straszą, że „upadek polskiego drobiarstwa" będzie równoznaczny z upadkiem rolnictwa, a brak bezpieczeństwa żywnościowego spowoduje głód i bunt społeczny.

Do opinii publicznej trafiają dziś głównie argumenty przeciwników umowy, zwykle mocno przesadzone. Nawet Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi, z którego analiz wynika, że jest ona niekorzystna dla producentów drobiu, wołowiny i cukru, nie mówi głośno, że stwarza jednocześnie szanse dla naszych produktów mleczarskich, a także owoców i warzyw, zwłaszcza pomidorów. Prywatny przetwórca mleka Polmlek planuje już inwestycję w Ameryce Południowej, tamtejszy rynek otwiera się na polskie sery oraz mleko w proszku.

Radykalne ograniczenie wzajemnych ceł nie nastąpi w dniu, w którym umowa wejdzie w życie. Proces będzie powolny, rozłożony na pięć–dziesięć lat. Na początek liberalizacja ma dotyczyć bardzo ograniczonych ilości towarów najbardziej wrażliwych, tzw. kontyngentów, tylko takie ilości będą mogły z obniżonymi cłami wjechać na rynek Wspólnoty. Najmniejsze kontyngenty będą obowiązywać na towary, których rolnicy boją się najbardziej. A więc na cały rynek Wspólnoty na początku będzie mogło wjechać zaledwie 99 tys. ton wołowiny rocznie, objętej preferencyjnym cłem w wysokości 7,5 proc. Bezcłowy kontyngent na drób, obowiązujący przez pięć lat, wyniesie 180 tys. ton. Nawet 170 tys. ton surowego cukru trzcinowego, który będzie mógł trafić na rynek Unii bez cła, nie zagrozi dużą obniżką ceny; w samej tylko Polsce konsumujemy 1,5 mln ton.

Jerzy Plewa zauważa, że w przypadku drobiu i wołowiny kontyngenty stanowią zaledwie 1,5 proc. rocznej konsumpcji tego mięsa w UE. Nie ma więc możliwości, aby taka ilość mogła wpłynąć na obniżenie ceny na rynku. Gdyby jednak tak się stało, że ceny polecą bardziej i zagrożą nieopłacalnością unijnym producentom, każda ze stron umowy może redukcję ceł zawiesić i przywrócić poprzednie warunki. Hamulce bezpieczeństwa wydają się wystarczające.

Jeszcze ważniejszy jest zapis, że UE może nawet całkowicie zawiesić umowę, gdyby kraje Mercosur nie dotrzymały swoich zobowiązań w kwestii nielegalnego wylesiania, także Amazonii. Od końca 2025 r. na rynek Unii będą mogły trafiać wyłącznie produkty niepowodujące wylesiania. Jeśli te warunki umowy byłyby przestrzegane, w trosce o klimat zrobilibyśmy ogromny krok do przodu, co ekologów powinno ucieszyć. Choć pozostaje wciąż kwestia ich wyegzekwowania.

Prawdziwym źródłem problemów polskich producentów żywności nie jest umowa z Mercosur, ale brak rozpoznawalnych marek. Świat nie zna walorów polskiej żywności, ponieważ nawet nie wie, kiedy ją kupuje. Europejczycy, ale także konsumenci spoza UE, jedli nasze kurczaki, zwykle nie wiedząc, że są polskie. Wysyłaliśmy je do hoteli, restauracji, sieci handlowych, nie próbowaliśmy promować. Sięgano po nie z powodu ceny, nie zaś znanej marki czy jakości. Polskie strachy nie gnębią Włochów, mniej niż nasi boją się też Francuzi, bo liczą na to samo – że sprzedaż ich markowej żywności w krajach Mercosur wzrośnie. Parmezan, szynka parmeńska, ser roquefort, koniak czy szampan i dziesiątki innych to marki rozpoznawalne także w Ameryce Południowej, bez cła ich atrakcyjność cenowa wzrośnie. Polskie marki żywności na świecie nie istnieją, kiedyś znana była polska wódka, ale świat już o niej zapomniał, nic w zamian nie zaoferowaliśmy. A jeśli konkuruje się głównie ceną, to zawsze jest ryzyko, że znajdzie się ktoś tańszy.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 6f22740c7b



Płatnicza ruletka – jak grać według własnych zasad

Małe i średnie firmy, choć potrafią się szybko adaptować do zmian rynkowych, są bardzo wrażliwe na zatory płatnicze. W przeciwieństwie do dużych przedsiębiorstw nie mają zaplecza finansowego, które pomogłoby im przetrwać dłuższe okresy bez wpływów na konto. Połowa firm z tego sektora boryka się z nieterminowymi płatnościami. Można to jednak zmienić.

Według danych Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej, długi przedsiębiorstw w Polsce wynoszą już ponad 11,2 mld zł i ma je prawie 269 tys. firm. Z badania Kaczmarski Inkasso „Scenariusze MŚP na niepłacenie przez kontrahentów" wynika, że 13 proc. firm doświadcza opóźnień w płatnościach często, a 37 proc. czasami. Co 3. firma wskazuje, że brak pieniędzy od klientów mocno wpływa na jej codzienne funkcjonowanie.

Warto wiedzieć, że im szybciej przedsiębiorca uruchomi windykację polubowną, tym większa szansa na odzyskanie pieniędzy. W Kaczmarski Inkasso nie wiąże się to z żadnymi opłatami wstępnymi. Przedsiębiorca ponosi koszty dopiero wtedy, gdy jego pieniądze zostaną odzyskane. Co więcej, może przeprowadzić windykację na koszt dłużnika, bo pozwala na to Ustawa o przeciwdziałaniu nadmiernym opóźnieniom w transakcjach handlowych.

Odzyskiwanie należności to tylko jeden z elementów większej układanki, jaką jest zarządzanie płynnością. Równie ważne staje się zapobieganie zatorom i opóźnieniom w płatnościach. W tej roli coraz częściej występuje faktoring.

– *Wielu właścicieli firm mówi nam: czuję się jak bank dla swojego kontrahenta, bo to ja finansuję jego działalność, czekając miesiącami na pieniądze* – zauważa **Emanuel Nowak, ekspert firmy faktoringowej NFG**.

Długie terminy płatności i presja na obniżkę cen sprawiają, że płynność staje się nie tyle kwestią księgową, co testem odporności całego biznesu. W tym kontekście faktoring, który pozwala błyskawicznie wymienić faktury na gotówkę, jest nie tylko kołem ratunkowym, ale partnerem, który daje firmie poczucie sprawczości i pozwala odzyskać kontrolę nad przepływem środków.

– *Płynność to dziś fundament finansowej odporności firmy. Przedsiębiorcy, którzy potrafią aktywnie zarządzać należnościami, nie chcą już tylko przetrwać, ale przejmować inicjatywę. Z faktoringiem mogą grać według własnych zasad, a nie według reguł narzuconych przez rynek* – dodaje **ekspert NFG**.

Jak pokazuje raport „Kapitał społeczny i zaufanie w polskim biznesie 2025", ponad połowa firm z sektora MŚP chciałaby móc pokazać kontrahentom, że rzetelnie wywiązuje się ze swoich zobowiązań finansowych.

– *To ważne, bo zaufanie w relacjach biznesowych mocno osłabło. Tylko 57 proc. przedsiębiorców uważa, że ich firma jest postrzegana jako całkowicie wiarygodna, a aż 85 proc. jest zgodnych, że „trzeba stale uważać, żeby nie zostać oszukanym". Wynik ten wzrósł aż o 11 punktów procentowych w przeciągu 10 lat* – mówi **Sandra Czerwińska**, **ekspertka Rzetelnej Firmy**.

Podmioty zrzeszone w Rzetelnej Firmie wykorzystują narzędzia, które pomagają budować pozytywną reputację – m.in. certyfikaty wiarygodności płatniczej, wizytówkę czy monitoring kontrahentów.

– *Aż 68 proc. przedsiębiorców uważa, że dostęp do pozytywnych informacji pomógłby im uniknąć współpracy z nierzetelnymi kontrahentami. Z kolei pokazywanie własnej rzetelności może być dla firm szansą na zdobycie nowych klientów* – podsumowuje **Sandra Czerwińska**.

eprasa.pl 6f22740c7b

W tonacji detonacji

Na wschodzie – poza dronami – znów głośno słychać **Alaksandra Łukaszenkę**, który ćwiczy z Rosjanami, rozmawia z Amerykanami i Chińczykami oraz straszy Polakami. Inaczej nie przetrwa.

ANNA MARIA DYNER



W sierpniu minęło pięć lat od sfałszowanych wyborów prezydenckich na Białorusi. Alaksandr Łukaszenka w obawie przed utratą władzy zdecydował się wtedy niemal oddać hołd lenny Władimirowi Putinowi, co ten skwapliwie wykorzystał. I choć Łukaszenka regularnie mówi o sojuszu z Rosją i wspólnych interesach obu państw, to chodzi o relację wybitnie asymetryczną, z wyraźną korzyścią dla Kremla. Do tego stopnia, że białoruska opozycja wprost ostrzega przed całkowitą rusyfikacją państwa.

W kwestiach bezpieczeństwa w zasadzie trudno nawet mówić o białoruskiej suwerenności. Białoruś wspiera Rosję od początku jej pełnoskalowej agresji na Ukrainę m.in. poprzez dostarczanie sprzętu i paliw dla rosyjskiej armii oraz okresowe szkolenie jej żołnierzy. W 2023 r. Putin i Łukaszenka oficjalnie ogłosili, że na terytorium Białorusi zostanie rozmieszczona rosyjska taktyczna broń jądrowa, a białoruscy piloci wojskowi zostali przeszkoleni do jej

eprasa.pl 6f22740c7b



użycia. Mińsk wspiera też Moskwę w działaniach hybrydowych, szczególnie tych w cyberprzestrzeni, prowadzonych przeciw państwom NATO, a zwłaszcza na wschodniej flance.

Białoruskie władze, podobnie zresztą jak Kreml, właśnie w NATO upatrują sprawcę wszystkich problemów. Odzwierciedlenie tego można znaleźć m.in. w zmodyfikowanych w 2024 r. dokumentach strategicznych. W białoruskiej koncepcji bezpieczeństwa narodowego Polska została wprost wskazana jako źródło zagrożeń. A w swojej nowej doktrynie jądrowej Rosjanie dali do zrozumienia, że w odpowiedzi na atak na Białoruś mogą użyć broni atomowej.

Plany tego ostatniego oba państwa przetestowały w ramach ćwiczeń „Zapad", które odbyły się na Białorusi oraz w obwodzie królewieckim, na morzach Bałtyckim i Barentsa 12–16 września. Tegoroczny „Zapad" ze względu na wojnę w Ukrainie rozegrał się na mniejszą skalę, ale był też czytelnym sygnałem, że Rosja ma jeszcze tzw. wolne moce. I zrobił wrażenie na tych, na których miał zrobić. Czy jednak rzeczywiście Łukaszenka chciałby wziąć udział w atomowej wojnie z Zachodem jako giermek Putina?

Antyzachodni chór

Łukaszenka nie jest do końca ubezwłasnowolniony. I w ramach tej ograniczonej suwerenności Białoruś może rozwijać relacje z państwami Wschodu i Południa, które tworzą dziś antyzachodnią koalicję. Stąd jego częste wizyty w Chinach i dołączenie Białorusi w 2024 r. do Szanghajskiej Organizacji Współpracy. A także kontakty z państwami takimi jak Iran czy Korea Północna, które wspierają Rosję. Szczególne nadzieje pokłada przy tym w relacjach z Chinami jako alternatywie dla Rosji. Liczy na chińskie inwestycje, zwłaszcza w zaawansowanych technologiach i zbrojeniówce. Obie strony pracowały już wspólnie nad systemem rakietowym „Polonez". Współpraca z ChRL ma też być polityczną gwarancją zachowania władzy przez Łukaszenkę. Nietrudno sobie wyobrazić, że w przypadku ewentualnych sporów z Moskwą to w Pekinie Mińsk szukałby wsparcia i rozjemcy.

Białoruski dyktator kreuje się również – jakkolwiek by to zabrzmiało – na jednego z liderów międzynarodowej koalicji, której celem jest obalenie hegemonii Zachodu. Wraz z państwami takimi jak Korea Północna czy Iran mówi jednym głosem o zbrodniczych sankcjach nakładanych przez Unię Europejską. Tak jak Rosja podkreśla kolonialną przeszłość państw europejskich, które – w jego ocenie – odpowiadają za wszystkie nieszczęścia krajów Afryki, Bliskiego Wschodu czy nawet Ameryki Południowej. To z ust przedstawicieli Białorusi można też często usłyszeć pomysły na „dedolaryzację" rozliczeń w światowym handlu.

Niewypowiedzianym celem – i największym paradoksem – białoruskiej polityki zagranicznej jest jednak powrót do stosunków gospodarczych z tym właśnie odsądzanym od czci i wiary Zachodem, a przede wszystkim ze Stanami Zjednoczonymi. Wbrew oficjalnej propagandzie władze w Mińsku doskonale zdają sobie sprawę, że dopiero zniesienie zachodnich sankcji i napływ inwestycji pozwolą złapać oddech gospodarce. Pozwolą też złapać oddech samemu Łukaszence, który mniej będzie zależny od Putina.

Recital z Trumpem

Nie powinno więc dziwić, że największym marzeniem Łukaszenki jest spotkanie z samym Donaldem Trumpem. I oczywiście poprawa stosunków z USA – wraz ze zniesieniem amerykańskich sankcji. To dlatego od lutego odbyły się już cztery tury negocjacji z Amerykanami, w których wyniku reżim zwolnił kilkudziesięciu więźniów politycznych (wśród nich znalazł się m.in. Siarhiej Cichanouski, mąż liderki białoruskiej opozycji). To dlatego Łukaszenka (chyba jako pierwszy) zapowiedział zgłoszenie Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla, jeśli uda mu się zakończyć wojnę w Ukrainie. Nie przypadkiem więc prezydent Białorusi podczas rozmów z Amerykanami podkreśla znaczenie i wielkość prezydenta USA. Całkiem niedawno głównym tematem w państwowych mediach białoruskich była rozmowa telefoniczna obu ▶

© SERGEI BOBYLEV/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ przywódców. Zaraz potem ten drugi triumfował, podkreślając, że w Stanach wreszcie zrozumieli, kto naprawdę rządzi Białorusią.

Dotychczas w ramach tych rozmów USA zdecydowały m.in. o zniesieniu sankcji na białoruskie linie lotnicze Bieławia. To ważny gest, głównie ze względu na bezpieczeństwo samego Łukaszenki korzystającego z Boeinga 737, który również był objęty obostrzeniami, co de facto uniemożliwiało skorzystanie z usług serwisowych lub części zamiennych. Najbardziej bolesne dla białoruskiej gospodarki sankcje pozostają jednak w mocy. Chodzi tu przede wszystkim o zakaz sprowadzania do USA białoruskich nawozów potasowych czy produktów ropopochodnych, które zawsze były ważnym źródłem dochodów budżetowych tego państwa. Zniesienie tego embarga zmniejszyłoby uzależnienie Białorusi od Rosji, która dziś jest głównym odbiorcą jej towarów.

Łukaszenka marzy jednak nie tylko o spotkaniu z Trumpem, dzięki któremu mógłby odzyskać szacunek w Moskwie i Pekinie, ale też o tym, aby Mińsk znów stał się miejscem negocjacji pokojowych w sprawie Ukrainy. Oba te marzenia mogą być ze sobą powiązane. Białoruski przywódca zapewne liczy też na to, że jeśli uda mu się doprowadzić do resetu w stosunkach z USA, to państwa takie jak Polska czy Litwa nie będą miały za wiele do powiedzenia i zastosują się do korzystnych dla niego wytycznych płynących z Waszyngtonu.

Białoruskie władze chciałyby bowiem zniesienia nie tylko unijnych sankcji, lecz także obostrzeń wprowadzonych indywidualnie przez państwa członkowskie UE. Jeśli chodzi o Polskę, to mowa jest o ponownym otwarciu granicy. W przypadku zaś Litwy reżimowi marzy się otwarcie tamtejszych portów dla białoruskich towarów, co również pozwoliłoby zmniejszyć zależność od Rosji i zredukować ceny frachtu. Niemożliwe?

Fałszywe nuty o Polsce

Wiele osób nie kryło zaskoczenia, że w czasie rosyjskiego ataku dronów na Polskę w nocy z 9 na 10 września Białoruś poinformowała naszych wojskowych o obiektach zmierzających w ich stronę. Powodów mogło być kilka – od typowo militarnego, a związanego z chęcią przetestowania reakcji Polski i naszych sojuszników, przez chęć udowodnienia, że Białoruś jednak jest państwem suwerennym, które może samodzielnie podejmować takie decyzje, po chęć pokazania się z dobrej strony Amerykanom, z którymi 11 września w Mińsku spotykał się Łukaszenka. Ale i tu było słychać pewien fałsz.

Od 2021 r. jednym z białoruskich świąt narodowych jest obchodzony 17 września Dzień Jedności Narodowej. Święto to nieprzypadkowo ma taką datę. Po pierwsze, wprowadzając je rok po sfałszowanych wyborach, Łukaszenka wiedział, że Polskę to zaboli, bo to jeden z najtragiczniejszych dni w naszej historii. Po drugie, chciał pokazać, że dzięki współpracy z ZSRR/Rosją Białorusi udało się scalić wszystkie swoje ziemie. Także te, które zdaniem prorežimowych historyków były w okresie międzywojennym okupowane przez II RP.

Łukaszenka zapowiedział przy tej okazji zmianę polityki historycznej państwa. Można zatem oczekiwać jeszcze większej liczby materiałów propagandowych pokazujących niedolę Białorusinów „pod polskimi panami" i żądań reparacji. Wszystko to będzie oczywiście współbrzmiało z rosyjską narracją o odpowiedzialności II RP za wybuch drugiej wojny światowej.

Celów wobec Polski Łukaszenka nie zmienił – chce ustępstw, zniesienia unijnych sankcji. Ale niewiele oferuje w zamian. Co więcej, ze strony Mińska co jakiś czas płyną apele o wznowienie dialogu – na początek wojskowego. Jednocześnie białoruskie władze podtrzymują sprowokowany przez siebie cztery lata temu kryzys graniczny, który z ich perspektywy okazał się niezwykle trafną „inwestycją". Z jednej strony pozwala bowiem zarabiać na przerzucie migrantów, z drugiej generuje istotne koszty po polskiej stronie – choćby te związane z wykorzystaniem sił zbrojnych do ochrony granicy.

Do tej pory Polska nie otrzymała też od Białorusi żadnego wsparcia w poszukiwaniach zabójcy sierżanta Mateusza Sitka z 1. Warszawskiej Brygady Pancernej. Wśród uwolnionych dotychczas więźniów politycznych nadal brakuje Andrzeja Poczobuta – dla Polski symbolu niezłomnego dziennikarstwa. Co więcej, 4 września białoruskie KGB pod zmyślonymi zarzutami zatrzymało polskiego karmelitę Grzegorza Gawła. Reżim dał tym samym jasny sygnał, że w każdej chwili z każdego obywatela RP przebywającego na terenie Białorusi może zrobić zakładnika.

Trudno sobie zatem wyobrazić, żeby polski żołnierz pojechał na Białoruś np. wizytować tamtejsze jednostki wojskowe w ramach inspekcji przewidzianych w Dokumencie Wiedeńskim o środkach budowy zaufania i bezpieczeństwa. Jeszcze trudniej – że do Polski zaprosimy wojskowych z państwa będącego agresorem w stosunku do naszego wspólnego sąsiada.

W ostatnim czasie do chóru oskarżeń pod adresem Polski doszły jeszcze te związane z zamknięciem granicy. Strona białoruska stara się pokazać, jak wszyscy, łącznie z Chinami i... Polską, tracą na tej decyzji. Trudno jednak stwierdzić, czy w tej propagandowej kakofonii ktokolwiek w Mińsku zadał sobie pytanie o przyczyny takiego działania ze strony polskiego rządu i jeszcze zechciał na nie odpowiedzieć bez stosowania oficjalnego przekazu dnia.

Dysharmonia

Starając się prowadzić tak pogmatwaną (w oficjalnym języku: wielowektorową) politykę, Łukaszenka walczy zatem o przetrwanie. Przede wszystkim stara się pokazać wielkim tego świata, takim jak Trump, Xi i Putin, jako wiarygodny mediator i użyteczny pomost między Wschodem a Zachodem. Liczy, że dzięki temu nie tylko będzie uznawanym przez wszystkich prezydentem Białorusi, ale też nikt go nie rozliczy za wszystkie przestępstwa, które jego reżim przez lata popełniał w stosunku do swoich obywateli. Ma też nadzieję, że wszyscy zapomną, iż pomagając Rosji w wojnie przeciw Ukrainie, Białoruś sama stała się agresorem, a Ukraina może od niej zażądać odszkodowań i reparacji.

Jeśli Łukaszenka znajdzie wsparcie, którego szuka, jego szanse na powodzenie wzrosną. Tę opiekę wielkich będzie chciał też wykorzystać w stosunku do pozostałych sąsiadów. A to oznacza, że na znaczące ustępstwa w stosunku do Polski trudno liczyć, zwłaszcza dopóki trwa wojna w Ukrainie.

Jednocześnie błędy popełnione przez Łukaszenkę w ciągu ostatnich lat mogą się na nim okrutnie zemścić, szczególnie jeśli chodzi o głębokie uzależnienie od Rosji. W nieprostej politycznej rzeczywistości, którą dodatkowo sam sobie skomplikował w ciągu ostatnich pięciu lat, robi zatem to, z czego jest znany od lat: gra swoją grę. Trochę w tonacji suwerenistycznej (wobec Białorusinów), trochę wiernopoddańczej (wobec Kremla), trochę w transakcyjnej (wobec USA). Biorąc jednak pod uwagę złożoność sytuacji, trudno mu będzie osiągnąć harmonię.

ANNA MARIA DYNER

Autorka jest analityczką w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.

eprasa.pl 6f22740c7b



Fabryka dronów Ałabuga

Fabryka śmierci

Rosyjskie drony, które przyleciały do Polski, wyprodukowano w Tatarstanie. To tam pełną parą działa ich fabryka, w której pracują egzotyczne cudzoziemki i patriotyczna młodzież.

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKIY

„To największa i najbardziej tajna fabryka produkująca bojowe drony na świecie" – chwali się dyrektor Specjalnej Strefy Ekonomicznej „Ałabuga" Timur Szagiwaliejew w wywiadzie dla kontrolowanej przez rosyjski MON telewizji Zwiezda. Według niego początkowo planowano produkować kilka tysięcy bezzałogowców Gierań-2 rocznie. Ale jest popyt, więc plan przekroczono już dziewięciokrotnie.

Z tą supertajnością to lekka przesada. Strefa ekonomiczna i fabryka dronów w Jełabudze (po tatarsku Ałabudze) reklamują się ostatnio na potęgę. Trudno się dziwić, bo masowa produkcja wymaga rąk do pracy, a o te nie jest łatwo z powodu wojny. W regionie brakuje 70 tys. robotników, stąd maksymalne udogodnienia – każdy chętny może aplikować przez internet.

Oferta skierowana jest m.in. do uczniów i studentów. Przy strefie stworzono nawet koledż Ałabuga Politech, coś w rodzaju polskiego technikum, do którego idzie się po skończeniu IX klasy. Oferuje on, oprócz nauki, możliwość zatrudnienia w fabryce. To znaczy, że na linię produkcyjną mogą trafić uczniowie, którzy nie ukończyli 18. roku życia. I to za niezłe stawki: ok. 70 tys. rubli, czyli ponad 3 tys. zł. W produkcji biorą udział studenci wydziału pedagogicznego uniwersytetu w Kazaniu (filia w Jełabudze). Rektor Ilszat Gafurow mówi, że jego podopieczni są „kierowani" do montażu dronów.

Fabryka nawiązała już współpracę z instagramerami i youtuberami, którzy mają dotrzeć do młodzieży. Dla przyciągnięcia uwagi do zakładów wpuszczono w lipcu 2025 r. wspomnianą ekipę z TV Zwiezda. W „reportażu" widać młodych pracowników. Uwijają się w sterylnie czystych halach produkcyjnych albo siedzą w pełnych komputerów salach przeznaczonych dla konstruktorów. W magazynie widać ustawione w rzędy i pomalowane na czarno Gieranie – są ich setki. A na ścianach plakaty z portretami Igora Kurczatowa – ojca radzieckiej bomby atomowej, Siergieja Korolowa – ojca radzieckiej kosmonautyki, i Józefa Stalina. „Tak młodym pracownikom przypomina się o tym, że noszą w sobie DNA wielkich poprzedników" – komentuje reporter Zwiezdy.

Fabryka poszukuje pracowników nawet za granicą, a oferty kierowane są nie tylko do sąsiedzkich krajów. Specjalna Strefa Ekonomiczna rozpoczęła program „Ałabuga Start", w ramach którego zaprasza pracownice z Afryki i Azji. Jak zapewnia kierownictwo, „niektóre prace w fabryce wymagają bowiem kobiecej precyzji". Za kobiecą precyzję fabryka dronów gotowa jest płacić 30–40 tys. rubli miesięcznie (1,3–1,7 tys. zł).

Strefa nawiązała również współpracę z południowoafrykańską organizacją zrzeszającą studentów z krajów BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA). Poprzez nią kolportuje ogłoszenia o „ofertach pracy dla dziewcząt w wieku 18–22 lat w budownictwie i sektorze usług w Jełabudze". Przyszłe pracownice mają wziąć ze sobą ciepłą odzież. Obiecuje im się regularne wypłaty i integrację z rosyjskim społeczeństwem.

Na stronie strefy jest 100 słów, które mogą im się przydać w nowym życiu. Pierwsze to „Ałabuga" – tak nazywa się strefa ekonomiczna i ich zakład pracy. Następne w kolejności to „zaczynać", „w prawo", „w lewo", „naprzód" i „powstań". To pomocne, bo pracownice rekrutowane są ▶

© ZVEZDA TV

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ m.in. na Filipinach, w Bangladeszu, Senegalu. Dyrektor Szagiwaliejew nazywa je zbiorowo „Mulatkami".

Prymitywna, ale skuteczna

70-tysięczne miasto Jełabuga leży na prawym, wysokim brzegu rzeki Kamy w rosyjskim Tatarstanie. Do tej pory kojarzyło się bardziej z historią literatury – tu śmiercią samobójczą zginęła znana pisarka Marina Cwietajewa, jej grób znajduje się na miejscowym cmentarzu. Jednak od 2023 r., gdy otwarto tu „fabrykę śmierci", będzie się kojarzyła z historią wojny.

„Fabryka śmierci" nie jest określeniem na wyrost, bo produkowane tu drony sieją zniszczenie w całej Ukrainie. „To było już po północy. Wyraźnie słyszeliśmy, jak nurkowały dwa »Gieranie«. Trafiały w to samo miejsce w odstępie kilku sekund" – wspominała w rozmowie z telewizją Suspilne Iryna, mieszkanka Słowiańska. Podobne opowieści można usłyszeć w dziesiątkach miast Ukrainy.

Gieranie to prymitywna, ale niszczycielska broń, Rosjanie używają jej głównie do terroryzowania ludności cywilnej. W samej produkcji nie ma nic odkrywczego. Rosyjskie bezzałogowce powstają według wzoru Szaheda 136, dronu stworzonego w Iranie. Ciągle do ich składania używa się wielu części importowanych z Iranu i Chin.

Jałabuga leży dość daleko od frontu – do Charkowa w linii prostej to nieco ponad 1,2 tys. km. Jednocześnie jest dobrze skomunikowana z resztą kraju. Obok przebiega trasa M-7 „Wołga", najważniejsze połączenie Moskwy ze wschodem kraju. Rzeka Kama jest jednym z głównych szlaków wodnych w Rosji. Do lotniska w Biegisziewie da się dojechać w pół godziny. Do tego na przedmieściach działa wspomniana specjalna strefa ekonomiczna. Dlatego miasto było idealnym miejscem na dużą fabrykę zbrojeniową.

Sojusz odrzuconych

Budowę zakładu wymusiło życie. Gdy w 2022 r. okazało się, że Ukrainy nie da się podbić w kilka tygodni, Rosjanie postanowili złamać ducha obrońców. Wydawało się, że rakietowe uderzenia w obiekty infrastruktury energetycznej, fabryki, osiedla zniechęcą Ukraińców do kontynuowania obrony. Jednak i ten scenariusz się nie sprawdził. Rosji powoli zaczynało brakować rakiet, a na domiar złego została obłożona zachodnimi sankcjami.

W lipcu 2022 r. Władimir Putin wyruszył więc z przyjacielską wizytą do Teheranu. Iran, sam od lat obłożony sankcjami, okazał się interesującym partnerem – chętnym do handlowania i dzielenia się wiedzą, jak przetrwać w warunkach międzynarodowego ostracyzmu. Po tamtej wizycie obroty handlowe między obu krajami w ciągu ośmiu miesięcy zwiększyły się o blisko 40 proc. Oczywiście Putina najbardziej interesowała broń, szczególnie do gustu przypadły mu drony kamikadze.

Rosjanie kupili kilkaset Szahedów typu 131 i 136. Te pierwsze mają mniejszy zasięg: 700–900 km i przenoszą mniejszy ładunek wybuchowy: 10–15 kg. Te drugie odpowiednio: do 2,5 tys. km i do 50 kg. Z wyglądu są podobne do siebie – skrzydła w układzie delta, z tyłu drewniane śmigło napędzane prostym silnikiem benzynowym. Niedługo po tych zakupach mieszkańcy ukraińskich miast mogli je zresztą usłyszeć – to taki dziwny dźwięk, trochę przypominający motorower. A po chwili wybuch.

Szahedy, korzystając z GPS, lecą po z góry zaplanowanej trasie do ustalonego punktu. Nie mają aktywnego systemu naprowadzania, w końcowej fazie lotu zmierzają do zadanego celu na ślepo. Rosjanie puszczają je w niewielkich grupach i przeważnie wszystkie padają ofiarą ukraińskiej obrony przeciwlotniczej, a jeśli coś doleci i wybuchnie, to dodatkowy sukces.

Można nawet powiedzieć, że sukces podwójny, bo największą zaletą Szahedów jest ich cena. Typ 131 można było kupić od Irańczyków za 10–20 tys. dol., typ 136 – do 40 tys. Dla porównania, pociski manewrujące Kalibr-NK, jakich Rosja używa do ataków na infrastrukturę, są bardzo precyzyjne, trudne do przechwycenia, ale i kosztowne. Cena niektórych typów osiąga kilka milionów dolarów. Szahedy to więc broń budżetowa, a do tego Iran mógł ich dostarczyć tysiące.

W efekcie Ukraińcy stanęli przed dylematem: czym to niszczyć? Z jednej strony Szahedy powodowały straty i zabijały ludzi. Z drugiej używanie do ich zwalczania drogich systemów obrony przeciwlotniczej było samobójcze w innym sensie: nie tylko błyskawicznie opróżniało kasę państwa, ale też magazyny w kraju i u sojuszników. Ukraińcy naprędce zaczęli więc poszukiwać rozwiązania również budżetowego – od systemów zakłócających nawigację, dronów przechwytujących, po użycie karabinów i działek przeciwlotniczych przypominających te używane w drugiej wojnie światowej.

Dobre, bo nasze

Natomiast Rosjanie uznali, że Szahedy to strzał w sam środek tarczy. Zaczęli negocjować z Iranem już nie zakup kolejnych bezzałogowców, ale technologii produkcji. Kontrakt w tej sprawie zawarto jesienią 2022 r., w ramach rewanżu Rosja obiecała dostarczyć Iranowi technologię do produkcji sterowców, przy czym w umowie dla niepoznaki nazwano je „konstrukcjami reklamowymi".

W lutym 2023 r. „The Wall Street Journal" napisał, że w Jełabudze buduje się wielka fabryka dronów. Kreml nawet niespecjalnie zaprzeczał tym doniesieniom. Dmitrij Pieskow, rzecznik prezydenta Putina, mówił, że Rosja rozwija programy produkcji dronów w różnych miejscach. Jednak Pentagon nie miał wątpliwości, że w Tatarstanie będą montowane drony na irańskiej licencji.



Szczątki drona Gerań-2 w Charkowie

Potwierdziła to zresztą irańska grupa hakerska PRANA Network, powiązana z tamtejszą opozycją. Opublikowała tajną korespondencję między spółką córką irańskiego ministerstwa obrony i kierownictwem Strefy Ekonomicznej „Ałabuga", gdzie miała ruszyć produkcja. Osiągnięto

eprasa.pl 6f22740c7b

porozumienie w sprawie szkolenia rosyjskich specjalistów, a także dostaw części do montażu bezzałogowców. Finansowe rozliczenia przeprowadzano nie w walucie, ale w złocie.

Na początku fabryka przypominała bardziej montownię. Jednak z czasem Rosjanie zaczęli wprowadzać ulepszenia. Dziś Gierań-2 nie jest zwykłą kopią Szaheda. Poprawiono odporność na zakłócanie jego lotu przez Ukraińców, niektóre wersje mają nawet 90-kilogramowy udźwig, uproszczono budowę silnika. Podobno w najnowszych wersjach używane są mikrokomputery mogące analizować obrazy z kamery i porównywać



© SCOTT PETERSON/GETTY IMAGES

je z zadanym celem przy wykorzystaniu sztucznej inteligencji. Niektóre – według ukraińskich specjalistów – potrafią przekazywać do operatorów dane na temat zauważonych jednostek obrony przeciwlotniczej, a nawet uderzać w ruchome cele.

W zakładach Ałabuga produkuje się jeszcze jeden typ dronu na bazie Szaheda. To Gerbera – dokładnie takie bezzałogowce wleciały na teren Polski. To wersja bez uzbrojenia i w swoim najprostszym wydaniu ma na celu odwracać uwagę obrony przeciwlotniczej. Te wabiki kosztują najwyżej kilka tysięcy dolarów, ale są trudne do odróżnienia od bojowych dronów. W rezultacie obrona przeciwlotnicza nigdy nie może być pewna i strzela do wszystkiego, czym ujawnia swoje pozycje oraz marnuje amunicję.

Produkcja pełną parą

Według początkowych doniesień fabryka w Jałabudze była obliczona na produkcję 6 tys. dronów rocznie. Niemal natychmiast zaczęto ją jednak modernizować i rozbudowywać. Przeanalizowała to telewizja CNN na podstawie zdjęć satelitarnych strefy ekonomicznej. Wyszło na to, że w ciągu pierwszego półrocza 2025 r. na terenie fabryki przybyło osiem magazynów, hale produkcyjne i miejsca zakwaterowania dla załogi, które docelowo mogłyby pomieścić nawet 40 tys. osób.

Produkowane tam Gieranie i Gerbery stały się podstawowymi środkami powietrznych ataków na Ukrainę. We wrześniowym rekordowym nalocie jednej nocy Rosjanie wypuścili 805 tych dronów. Nadlatywały jednocześnie, z wielu kierunków, tak że nie dało się strącić wszystkich. Za bezzałogowcami podążały rakiety Iskander. Zginęło pięć osób, 40 odniosło rany. Uszkodzony został budynek rady ministrów w samym centrum Kijowa, który jest najlepiej bronionym miastem Ukrainy.

Fachowcy uważają, że niebawem Rosja będzie w stanie wypuszczać jednorazowo ponad tysiąc takich dronów. Dla porównania, w połowie 2024 r. wysłała ich 800, ale nie w ciągu dnia, tylko miesiąca. Według „New York Timesa" obecnie Rosja jest w stanie wytwarzać ok. 30 tys. bezzałogowców typu Szahed rocznie. W 2026 r. ta liczba może się podwoić. Z taką masą dronów Ukraina sobie nie poradzi. Choć produkuje coraz więcej dronów przechwytujących (szef MON Denys Szmyhal zapewnia, że już niedługo armia będzie w stanie wystawić około tysiąca takich jednostek na dobę), efektywność obrony spada. W 2024 r. w trakcie ataku niszczono 93 proc. bezpilotowców przeciwnika, w 2025 r. już tylko 88 proc.

W takiej sytuacji naturalnym celem dla Ukraińców stała się sama „fabryka śmierci". Do pierwszego nalotu na nią doszło rankiem 2 kwietnia 2024 r., ukraińska armia użyła własnych dronów kamikadze E-300 Enterprise. Te duże bezzałogowce przypominają samolot rolniczy, zdolne są przenieść 300-kilogramowy ładunek na odległość ponad 3 tys. km. Do kolejnego ataku doszło rok później, do ostatniego – w czerwcu 2025 r.

Rosjanie nie zamierzali jednak czekać z założonymi rękami. Wokoło fabryki zaczęli wznosić wieże, na których instalowali systemy przeciwlotnicze Pancyr. W efekcie kolejne naloty nie zniszczyły zakładów, ale spowodowały ofiary wśród załogi. Po jednym z nalotów okazało się, że wśród ludzi, którzy ucierpieli, byli obywatele m.in. Zimbabwe, Nigerii, Konga, Sudanu, Rwandy i Sri Lanki.

***

Podczas zbierania materiałów do tekstu udało nam się nawiązać kontakt z mieszkanką Senegalu, która przez internet wyraziła chęć pracy w Ałabudze i wysłała swoje zgłoszenie na stronę strefy.

– Dlaczego chce pani tam pracować?

– Mam 44 lata. Nie mam pracy w Senegalu, a ta w Rosji mi odpowiada. O ofercie dowiedziałam się od znajomej.

– A wie pani, co produkuje ta fabryka?

– Nie.

– To fabryka broni, która jest czasem bombardowana.

– Nie wiedziałam. Dlaczego jest bombardowana?

– Rosja prowadzi wojnę z Ukrainą. Bombardowane są fabryki, gdzie wytwarza się broń.

– Nic nie wiedziałam o tej wojnie.

– I co pani zamierza?

– Widzę, że to może być niebezpieczne. Raczej nie pojadę, ale pracy ciągle nie mam.

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKIY

eprasa.pl 6f22740c7b



Fabryka Hon Hai Group w Shenzhen, producenta elektroniki m.in. dla Apple

Kwaśne jabłko

Rozmowa z Patrickiem McGee, autorem głośnej książki o interesach Apple w Chinach, o tym, dlaczego Ameryka sprzedała Pekinowi sznur, na którym może ekonomicznie zawisnąć. I czy Donald Trump ją uratuje.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ:

– Twierdzi pan w swojej książce, że zaangażowanie Apple w Chinach wywołało geopolityczny zwrot na skalę upadku muru berlińskiego.

PATRICK MCGEE: – Tak, bo mówimy o transferze technologii na epicką skalę. Co jest najbardziej przełomowym produktem XXI w.? Bez wątpienia smartfon. Chińczycy mają 55 proc. udziałów w rynku smartfonów, a ich jedynymi konkurentami są tak naprawdę Samsung i iPhone. Przy czym produkty tej drugiej firmy są produkowane w Chinach. W sumie więc kraj ten ma 75 proc. udziałów w rynku produkcji smartfonów. Ale wzrost chińskiej potęgi dotyczy też laptopów, komputerów, słuchawek AirPod i wielu innych zaawansowanych technologicznie rzeczy. Co więcej, ta technologia ma już możliwości podwójnego zastosowania. Jeśli wiesz, jak wytwarzać układy scalone i wysokiej klasy elektronikę, możesz budować również drony i inną broń.

Zaangażowanie Apple w Chinach to był odpowiednik planu Marshalla?

Jeśli popatrzeć na to z powyższej perspektywy, jest to coś jeszcze większego. Plan Marshalla z 1948 r. zakładał wydanie przez Amerykę ponad 13 mld dol. w ciągu czterech lat na pobudzenie rozwoju w Europie po drugiej wojnie światowej. To 131 mld w dolarach z 2016 r. Sumy wydawane przez Apple są dużo wyższe, a trafiają do jednego kraju, a nie 16, jak w przypadku planu Marshalla. Co więcej, zostały przeznaczone na elektronikę wysokiej klasy, a nie pomoc żywnościową. I trwa to od ćwierć wieku, a nie cztery lata.

Ile Apple zainwestował w Chinach?

Od 2015 r. każdego roku średnio 55 mld dol. To są wewnętrzne dane Apple. Ta firma obawiała się wówczas, że wyląduje na chińskiej czarnej liście, bo z publicznych danych wynikało, że Apple jest „podmiotem wyzyskującym". W Apple starali się więc odwrócić tę narrację i przekonać chińskie przywództwo, że przecież inwestują w Chinach miliardy dolarów i szkolą miliony ludzi, przekazują więc poddostawcom umiejętności, z którymi tamci mogą robić, co chcą.

Warto przypomnieć, że chiński plan z 2015 r. „Made in China 2025" zapowiadał zerwanie z zależnością od Zachodu i uzyskanie pozycji lidera innowacji w robotyce, automatyzacji i wysoko zaawansowanej elektronice. Wielką ironią jest to, że osiągają ten cel dzięki ścisłej współpracy z czołową amerykańską firmą.

Ilu pracowników w Chinach wyszkolił już Apple?

Znów – oficjalnie nie ma takich danych, ale w sumie w łańcuchach dostaw od 2008 r. przeszkolili co najmniej 28 mln pracowników, z czego ogromna większość to Chińczycy. W setkach chińskich fabryk byli uczeni, jak dbać o każdy szczegół. Choć więc formalnie Apple nie jest właścicielem tych zakładów, sprawuje pełną kontrolę nad całym procesem produkcji.

eprasa.pl 6f22740c7b

W 1999 r. żaden z wyrobów Apple nie został wyprodukowany w kontynentalnych Chinach, a do 2009 r. wytwarzano tu praktycznie wszystkie.

Dlaczego zajął się pan tym tematem?

Bo nikt się tym nie zainteresował, nikt szerzej nie opisał tego systemu produkcji. Wszyscy wiedzą, że Steve Jobs i odpowiedzialny za projektowanie Jony Ive mieli obsesję na punkcie każdego szczegółu iPoda czy iPhone'a. Przeniesienie tego podejścia do Chin – i to na tak ogromną skalę, bo Apple wytwarza tam prawie 500 mln produktów rocznie – musiało oznaczać potężny transfer wiedzy. A mimo to wszyscy skupiają się na zyskach Apple. Zapowiedzi ich nowych produktów są tak kuszące, że dziennikarze prześcigają się w ich recenzowaniu, dają się oczarować ich funkcjonalnością. Ja postanowiłem się przyjrzeć temu, jak powstaje kiełbasa.

Mówi się często, że giganci z Doliny Krzemowej są wielkości państw narodowych – sam Apple jest wyceniany na niebotyczne 3 bln dol. Dlatego tym bardziej powinien nas interesować fakt, że ta firma 90 proc. operacji prowadzi w Chinach, czyli kraju, który jest wrogo nastawiony do Ameryki.

Kto jest od kogo bardziej zależny – Apple od Chin czy odwrotnie?

Uczeń stał się mistrzem. Najgorętszy, najbardziej kuszący telefon, jakim można się dziś pochwalić, to już nie najnowszy iPhone, ale jeden z produktów Made in China. Apple nie ma już w tej dziedzinie wiele do zaoferowania Chińczykom. Oni jeszcze 15 lat temu nie potrafili prowadzić produkcji bez pomocy Apple, nie mieli wzornictwa produktu i z pewnością nie mieli silnych marek. Dzisiaj mają to wszystko. Gdyby Apple z dnia na dzień wycofał się z Chin, tamtejsze firmy dalej potrafiłyby produkować wszystkie swoje smartfony. Ale Apple tego nie zrobi, bo nie ma planu B.

Dlaczego Amerykanie po prostu nie założą własnych fabryk w Chinach?

Tu trzeba się cofnąć do lat 80., gdy produkcja jako usługa stała się modelem biznesowym. Problem z wytwarzaniem czegoś samemu polega na tym, że na Zachodzie konieczne jest płacenie pracownikom przez wszystkie 12 miesięcy w roku przez wiele lat. A iPhone'y nie muszą być produkowane każdego dnia przez 12 miesięcy. Powstają w ogromnych ilościach od września do stycznia, a potem ich produkcja zamiera.

Elastyczność oferowana Apple przez takich podwykonawców jak chiński Foxconn polega na tym, że kiedy jest potrzeba, setki tysięcy ludzi pojawiają się na hali produkcyjnej, a potem wysyła się ich do produkcji czegoś innego. To jest tajemnica sukcesu chińskich klastrów przemysłowych. Wydajność Foxconn bierze się stąd, że gdy jego pracownicy nie zajmują się produkcją iPhone'ów, mogą wytwarzać telefony dla chińskich marek Xiaomi czy Huawei, bo zostali do tego specjalistycznie przeszkoleni przez... Apple. Amerykanie już tego nie kontrolują.

Czy to się dzieje również w Indiach?

Indie są jedynym krajem, który może rywalizować z Chinami pod względem skali, ale nie ma tam takich migracji wewnętrznych jak w Chinach – i co za tym idzie: wspomnianej elastyczności w produkcji. Z kolei np. Wietnam jest 15 razy mniejszy od Chin, więc nigdy nie będzie dla nich poważnym rywalem.

Źródło sukcesu Apple w Chinach jest więc też źródłem słabości tej firmy, która przekazuje Chińczykom know-how i w ten sposób karmi konkurencję, a ta stopniowo wypycha ją z rynku. Apple jest tak zakorzeniony w Chinach, że nie może po prostu przenieść produkcji do innego kraju. Łańcuchy dostaw nie zmieniają się tak szybko. Poza tym z perspektywy Apple wyższość Chin opiera się na czterech dekadach inwestycji. Ale jednocześnie te właśnie inwestycje Apple, w tym przede wszystkim transfer technologii, zmieniły cały porządek geopolityczny.

Zwolennicy wolnorynkowej globalizacji przekonywali, że współpraca gospodarcza doprowadzi do demokratyzacji Chin, a stało się odwrotnie – wzmocniła chiński autorytaryzm. Jaka jest w tym rola Apple?

Oczywiście Apple nie był pierwszą firmą, która przeniosła produkcję do Chin – wiele zachodnich przedsiębiorstw zrobiło to już w latach 80. Żadne z nich jednak nie dążyło na taką skalę jak Apple do perfekcji w designie i procesie produkcyjnym.

Gdy pytam ludzi, jaki był ich ulubiony komputer Della z początku wieku, nic nie przychodzi im do głowy. W najlepszym razie wyobrażają sobie beżowe lub czarne nudne pudełko. Ale jeśli zapytam, jaki był ulubiony produkt Apple z tego okresu, rozmowa potrwa długo. To była wtedy inna liga. Aby osiągnąć taki poziom, Apple zrewolucjonizował swój proces produkcji, w tym audyty jakości i testowanie. Ale żeby utrzymać ten poziom przy zachowaniu konkurencyjnych cen, Apple musiał przenieść produkcję do Chin.

Czy prezydentura Donalda Trumpa może to zmienić?

Paradoksalnie Trump stanowi większe zagrożenie dla Apple, niż kiedykolwiek stanowił chiński lider Xi Jinping. Apple bardzo odpowiada produkcja w Chinach – nie ma wokół niego medialnego szumu i pytań o to, jak powstają ich produkty. Stawki za pracę są fantastyczne, a automatyzacja jest światowej klasy. Pekin również rozumie, że dużo zyskuje na tej relacji, przede wszystkim za sprawą stopniowego transferu technologii.

Dla Trumpa to nie do przyjęcia. On chce, aby iPhone'y i inne produkty Apple były produkowane w Pittsburghu, Ohio czy New Jersey. Cały model biznesowy Apple jest sprzeczny z agendą „America First". Dlatego Trump i jego polityka celna stanowią dla Apple egzystencjalne zagrożenie.

Co dalej?

Nie trzeba mieć antychińskiego nastawienia, aby postrzegać Chiny jako wielkiego rywala Zachodu. Wspomniany projekt „Made in China 2025" to przecież plan uniezależnienia Chin od Zachodu i ich samowystarczalności. Ameryka, która pomogła powojennej Japonii i Niemcom stać się kwitnącymi demokracjami, próbowała w ten sam sposób działać wobec Chin. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, to był strategiczny błąd.

Jeśli przyjmiemy, że Zachód i Chiny w XXI w. toczą swego rodzaju walkę o wszystko, to jaki sens ma to, że najbardziej wartościowa firma świata codziennie wysyła swoich najlepszych inżynierów, aby szkolili Chińczyków w najnowocześniejszych aspektach inżynierii sprzętowej. A jeśli nic się nie zmieni, to wkrótce również w dziedzinie sztucznej inteligencji. Czy to nie brzmi jak rozłożone w czasie samobójstwo? ■



Patrick McGee – wielokrotnie nagradzany korespondent ekonomiczny „Financial Timesa", m.in. w Hongkongu, Niemczech i Kalifornii. Autor wydanego niedawno bestsellera „Apple in China: The Capture of the World's Greatest Company" (Apple w Chinach: przejęcie największej firmy świata).

© QILAI SHEN/IN PICTURES LTD./CORBIS VIA GETTY IMAGES, YOUTUBE

eprasa.pl 6f22740c7b



Himalaje buntu

Młodzi Nepalczycy, tak jak wcześniej ich rówieśnicy z Bangladeszu i Sri Lanki, wyszli na ulice, by zmienić system, który ich upokarza. Niespodziewanego sojusznika znaleźli w armii.

PAULINA WILK

Napięcie rosło od tygodni, a potem w ciągu zaledwie 48 godzin zamieszek Nepal stracił premiera i rząd, wielu oficjeli opuściło stanowiska, a prezydent zamilkł. Młodzi protestujący wciąż jeszcze próbują dojść do ładu z tym, co się wydarzyło. Rodziny i przyjaciele opłakują ofiary śmiertelne, a ubogi i zszokowany himalajski naród ma jeszcze więcej pytań o przyszłość. Na wiele z nich będzie musiała odpowiedzieć nowa premier Sushila Karki, pierwsza kobieta na tym stanowisku.

Zaczęło się od szybko wzbierającej fali internetowych postów i filmów ukazujących pełne przepychu życie dzieci nepalskiej elity politycznej. To ich rówieśnicy, przytłoczeni realiami życia w najuboższym – tuż po Afganistanie – azjatyckim kraju, zaczęli zestawiać swoją codzienność z luksusowym stylem życia potomków premierów, ministrów czy sędziów.

Syn znanego sędziego w luksusowej restauracji, pozujący ze swoim Mercedesem. Córka ministra i zdobywczyni tytułu Miss Nepal w egzotycznych podróżach, na widowiskowych wydarzeniach, w ubraniach drogich marek. Wnuczka premiera ochrzczona przezwiskiem Królowa Torebek. I chyba najczęściej udostępniane zdjęcie, które stało się symbolem nepalskich #NepoKids (dzieci nepotyzmu) – Saugat Thapa, syn jednego z ministrów, pozujący w luksusowych ubraniach przy choince ułożonej z pudełek prezentów od Cartiera i Louisa Vuittona.

Wszystkie te zdjęcia były celowo zestawiane z ujęciami pokazującymi, jak żyje większość Nepalczyków. W wioskach i małych miasteczkach, w ubóstwie, kleconym z byle czego budownictwie, w codzienności, w której trudno o paliwo, a inflacja kurczy portfele i pożera marzenia o edukacji czy ochronie zdrowia.

Najważniejszy bój w społeczeństwie, w którym trzy piąte osób nie ukończyło jeszcze 30. roku życia, toczy się

© AMBIR TOLANG/NURPHOTO/GETTY IMAGES, ADNAN ABIDI/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 6f22740c7b





Od lewej: **płonący budynek parlamentu w Katmandu. Sytuacja uspokoiła się dopiero, gdy włączyła się armia, najbardziej szanowana instytucja w Nepalu.**

o pracę. Głównie rolnicza gospodarka kraju o niewielkiej skali uprzemysłowienia i niedużych zasobach mineralnych, z Katmandu jako jedynym dużym miastem, nie oferuje młodym rozwoju ani nawet przetrwania. Dlatego średnio 2 tys. osób dziennie opuszcza kraj w poszukiwaniu pracy. Większość trafia do krajów Zatoki Perskiej lub Malezji – pracują w budowlance, usługach. Wielu wyjeżdża do sąsiednich Indii jako pracownicy sezonowi. Przesyłane przez nich do ojczyzny zarobki stanowią ponad 25 proc. PKB.

Dzięki mediom społecznościowym cała ta rzesza może być w codziennym kontakcie z najbliższymi w domu. Dlatego kiedy rząd postanowił zablokować 26 dużych platform społecznościowych, w tym Facebooka oraz X, jako pretekst podając, że nie przeszły one prawidłowej rejestracji w Nepalu, młodzi stracili cierpliwość. Rozumieli, że zablokowanie platform to ruch mający stłumić krytykę napędzającego się trendu #NepoKids.

Zareagowali szybko, skrzykując się do wyjścia na ulice stolicy. Podkreślali, że nie chodzi o samo odcięcie od rozrywki czy komunikatorów. Chcieli zaprotestować przeciwko korupcji, politykom zmieniającym państwo w prywatne korporacje, przeciw nierównościom. I domagać się lepszych rządów. Ale nie spodziewali się, że będzie ich tak wielu. Nie planowali rewolucji.

Armia na odsiecz

Kilka dni wcześniej, zanim 8 września protestujący spotkali się w centrum Katmandu, w sieci zaczęły się pojawiać wezwania do buntu. Płynęły od wielu osób niemal równocześnie, dlatego nie sposób dziś wskazać przywódców Generation Z, a tak właśnie – zbiorowo i pokoleniowo – określają się protestujący.

Pierwsze godziny były pokojowe, upływały na śpiewach. W późniejszych relacjach protestujący opowiadali, że zaskoczyła ich gwałtowność zdarzeń. Ludzi zjawiało się coraz więcej i więcej, wśród nich zamaskowani mężczyźni na motorach, starsi od większości protestujących, rozdający butelki z benzyną. Gdy tłum ruszył w kierunku budynków parlamentu i biur rządowych, atmosfera stała się napięta. W końcu policja odpowiedziała gazem łzawiącym, armatkami wodnymi, kulami gumowymi i ostrymi.

Drugi dzień starć był jeszcze gwałtowniejszy. Do szpitali w Katmandu trafiały setki ofiar z poważnymi obrażeniami, a w świat płynęły obrazy płonących urzędów i walczących tłumów. Od kul, ale także na skutek pożarów i innych obrażeń, zginęły 72 osoby. Ta liczba może wzrosnąć, gdy z ruin wydobyte zostaną wszystkie ciała, część pacjentów jest wciąż w stanie krytycznym.

Gwałtowności protestu nie zahamował fakt, że władze natychmiast wycofały się z blokady platform społecznościowych. Ani to, że dotychczasowy rząd podał się do dymisji. Ani że parlament został – zgodnie z żądaniem protestujących – rozwiązany. Dopiero gdy włączyła się ▶

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ armia, sytuacja zaczęła się uspokajać. To z wojskowymi wybrani przywódcy Generation Z byli skłonni rozmawiać. Wtedy pojawił się pomysł, aby premierką została Sushila Karki.

Ma 73 lata, jest prawniczką i byłą przewodniczącą Sądu Najwyższego, pochodzi z rodziny blisko związanej z centrolewicowym Kongresem Nepalskim. Cieszy się zaufaniem społecznym. Od razu zadeklarowała, że za pół roku odda władzę rządowi wyłonionemu przez nowy parlament (wybory odbędą się w maju). Najpierw jednak Karki zajmie się ukaraniem odpowiedzialnych za eskalację ostatnich zamieszek.

przedszkolną zabawę w podbieranie sobie krzeseł przez trzy główne ugrupowania. Tymczasem dla 30 mln Nepalczyków nic nie zmienia się na lepsze. Ostatnio protestujący krzyczeli: „Obiecaliście demokrację, dostarczyliście dynastie".

Drugiego dnia protestów wojskowi opanowali sytuację. Ich dowódca, gen. Ashok Raj Sigdel, okazał się jedyną postacią budzącą uznanie – sama armia według badań jest najbardziej szanowaną instytucją w Nepalu. Wojskowi zobowiązali się utrzymać pokój do majowych wyborów, wyraźnie też oświadczyli, że wypełniają funkcje władz cywilnych,



Dhaka, sierpień 2024 r. Protesty w Bangladeszu doprowadziły do obalenia rządów Sheikh Hasiny.

Naprawa kraju będzie trudna. Nepal jest demokracją wielopartyjną dopiero od 2008 r., obowiązująca konstytucja liczy zaledwie dekadę. Wcześniej, od połowy lat 90., przez 20 lat toczyła się tu wojna domowa, wydana królowi przez bojówki maoistyczne. Zakończony negocjacjami i ustanowieniem nowego ustroju konflikt pochłonął ponad 16 tys. ofiar. Maoiści weszli do polityki, a zamieszkane w większości przez wyznawców hinduizmu górskie państwo stało się świecką republiką.

Dynastie zamiast demokracji

Zrodzone wówczas nadzieje na poprawę losu Nepalczyków pozostały niespełnione. W ciągu minionych 17 lat kraj miał 14 rządów, a polityka zaczęła przypominać

o wojskowym przejęciu władzy nie ma mowy.

Armia Nepalu ma za sobą 500-letnią historię i nieposzlakowaną reputację, szczególnie odkąd w XVIII w. brytyjscy kolonizatorzy rekrutowali spośród nepalskich żołnierzy całe oddziały i włączali je do swoich wojsk. W armii Wielkiej Brytanii wciąż istnieją prestiżowe jednostki Gurhków. Słyną z odwagi, doskonałego wyszkolenia i szczególnej etyki. Mimo to fakt, że to właśnie wojskowi stali się nagle panami sytuacji w młodej republice, budzi niepokój.

Przed rokiem podobną rolę odegrała armia podczas protestów w Bangladeszu, gdzie masowe demonstracje zdominowane przez studentów, z podobnymi postulatami zakończenia korupcji i zabetonowanego układu politycznego, doprowadziły do obalenia rządów Sheikh Hasiny, która uciekła z kraju.

Tam także armia była stabilizatorem i negocjatorem, z jej pomocą protestujący wskazali Muhammada Yunusa, ekonomistę i pokojowego noblistę, na tymczasowego premiera. Do dziś de facto pełni on tę funkcję, choć nazywany jest głównym doradcą. Jego pozycja staje się coraz trudniejsza, nie udaje się dojść do porozumienia z wojskowymi, kiedy przeprowadzić wybory. Armia do dziś nie zniknęła całkiem z ulic Bangladeszu.

Rok przed przewrotem w Bangladeszu młodzi z pokolenia Z wyszli na ulice Sri Lanki. Tam protestowali przeciw władzom, które nieudolnością i korupcją doprowadziły do niewypłacalności państwa, z powodu zapaści ekonomicznej kraju, całodniowych przerw w dostawach prądu, wielokilometrowych kolejek po paliwo, inflacji sięgającej 50 proc. Młodzi urządzali siedzące protesty w centrum Kolombo. Wreszcie zaatakowali rezydencję prezydenta, który uciekł z kraju, potem odbyły się nowe wybory.

Platformy rewolucji

Każdy z tych protestów miał własną specyfikę, inne okoliczności. Ale łączy je kilka czynników. Po pierwsze, wszystkie te kraje mają liczną młodą populację. Stąd też luźna, oddolna struktura i forma organizacji protestów, brak wyraźnych liderów czy zaplecza instytucjonalnego. Po drugie, protesty miały głębokie przyczyny: długo nierozwiązywane problemy społeczno-ekonomiczne, które dotkliwie utrudniają życie, a są nierozumiane i ignorowane przez polityczne elity żyjące w oderwaniu od realiów.

Po trzecie w końcu, kluczowe znaczenie miał zaawansowany wiek przywódców. Obaleni w Sri Lance, Bangladeszu i Nepalu rządzący byli po siedemdziesiątce. Młodzi odczuwali rażący dysonans między własnym doświadczeniem a starymi figurami poruszającymi się po wyizolowanej orbicie. Wszędzie też protestujący mieli podobne aspiracje i oczekiwania. Wreszcie połączyło ich to, że umieją wykorzystywać platformy społecznościowe jako skuteczne narzędzia polityczne. Internet jest ich agorą, na której łączą się w siłę i manifestują niezgodę na to, by syte elity okradały ich z przyszłości.

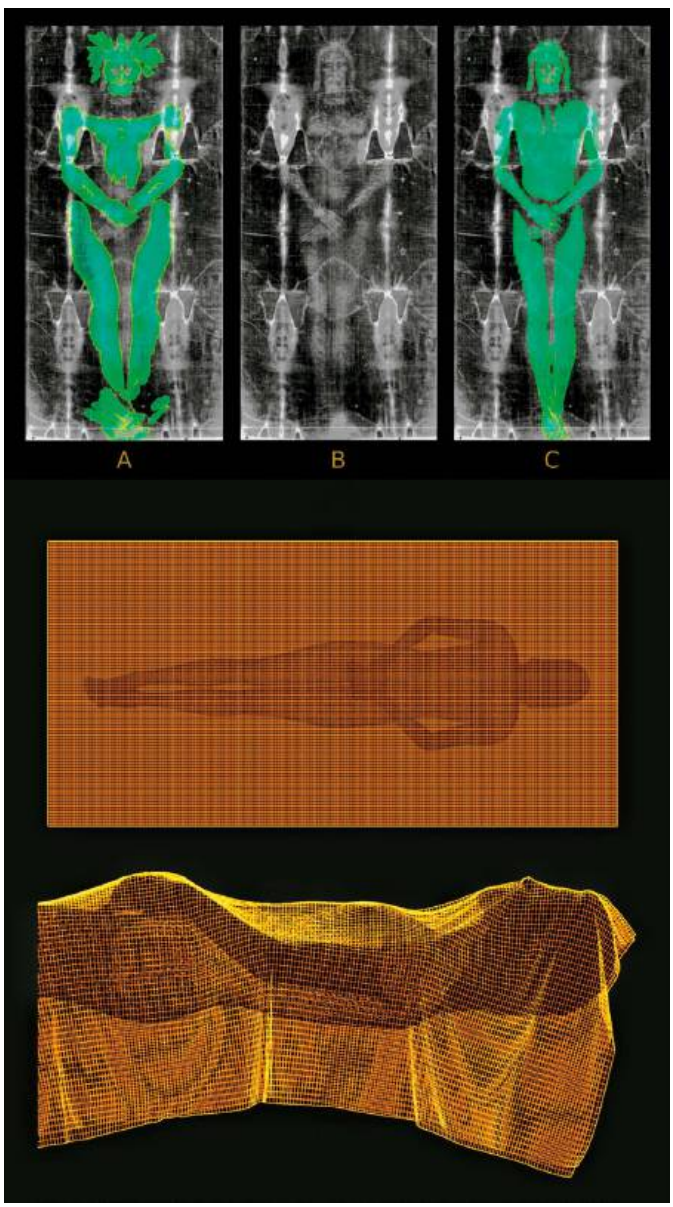
PAULINA WILK

© LUIS TATO/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6f22740c7b

Boski odcisk w ludzkich rękach

Od wielu dekad niektórzy naukowcy próbują uwiarygadniać legendę Całunu Turyńskiego, inni chcą poznać jego prawdziwą historię. Ostatnio jedni i drudzy wykorzystują w tym celu – jakżeby inaczej – sztuczną inteligencję.



© CICERO MORAES (2)

Cicero Moraes twierdzi, że ślad na całunie (B) **to nie odcisk ciała** (A), **lecz płaskorzeźby** (C)**.** Poniżej: **ułożenie tkaniny na matrycy imitującej zwłoki.**

MARCIN ROTKIEWICZ

13 października 1988 r. naprzeciwko tłumu dziennikarzy zgromadzonego w sali londyńskiego British Museum usiadło trzech elegancko ubranych mężczyzn. Byli to prof. Edward Hall i dr Robert Hedges z University of Oxford oraz dr Michael Tite z British Museum. Za nimi stanęła tablica z enigmatycznym napisem kredą: „1260–1390!".

Węgiel silniejszy niż serce

Na ten dzień z zapartym tchem czekały świat nauki, Kościół katolicki i rzesze osób zainteresowanych zagadką Całunu Turyńskiego – płótna, w które miało być zawinięte zdjęte z krzyża ciało Jezusa z Nazaretu. Po dekadach spekulacji i analiz prowadzonych głównie przez zwolenników autentyczności słynnej relikwii głos zabrała fizyka. Do badań wykorzystano metodę datowania opartą na analizie ilości promieniotwórczego izotopu węgla ^{14}C. Działa ona jak swego rodzaju „atomowy zegar", gdyż m.in. rośliny, w tym len użyty do produkcji całunu, przez całe życie pobierają z atmosfery niewielkie ilości ^{14}C. Po śmierci organizmu proces ten ustaje, a zgromadzony radioaktywny węgiel zaczyna naturalnie rozpadać się w stałym tempie. Mierząc, ile pozostało go w próbce materiału, naukowcy są w stanie dość precyzyjnie obliczyć, jak dawno temu powstał. W połowie lat 80. XX w. metoda ta stała się regularnie stosowanym sposobem datowania artefaktów archeologicznych. Zgoda Kościoła na jej wykorzystanie w przypadku Całunu Turyńskiego była zaś decyzją przełomową, gdyż wiązała się z niewielkim uszkodzeniem relikwii.

Procedurę przygotowano tak, by uniknąć jakichkolwiek zarzutów o nierzetelność. 21 kwietnia 1988 r., pod okiem ponad 30 obserwatorów od płótna odcięto niewielki fragment. Następnie próbkę podzielono i przekazano trzem przodującym ▶

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ w dziedzinie datowania radiowęglowego laboratoriom – przy University of Arizona w Tucson, University of Oxford i politechnice w Zurychu. Każde niezależnie miało określić wiek materiału.

Ogłoszone pół roku później i opublikowane w „Nature" wyniki były jednoznaczne. Na podstawie 12 pomiarów z 95-procentową pewnością ustalono, że całun powstał między 1260 a 1390 r. Datowanie wpisywało się zatem idealnie w moment pojawienia się go we Francji (ok. 1355 r.). Co znamienne, ówczesny „strażnik całunu" z ramienia Kościoła katolickiego, kard. Anastasio Ballestrero, zaakceptował werdykt, stwierdzając, że nie byłoby odpowiedzialne poddawanie wyników cenzurze tylko dlatego, że być może nie są zgodne z „argumentami serca". Wydawało się, że zagadka pochodzenia relikwii została ostatecznie rozwiązana.

Promienie lepsze niż łaty

Nic bardziej mylnego. Wiara okazała się silniejsza niż „szkiełko i oko". Szczególnie w przypadku przedstawicieli tzw. syndologii (od greckiego słowa *sindon*, oznaczającego cienką, najczęściej lnianą tkaninę). Choć ona sama prezentuje się jako interdyscyplinarna nauka zajmująca się obiektywnym badaniem Całunu Turyńskiego, to bardzo szybko zaczęła dryfować w kierunku pseudonauki, podciągając wszystko pod z góry założoną tezę: relikwia jest autentyczna i liczy sobie 2 tys. lat. Robi to na tyle skutecznie, m.in. podważając wiarygodność badania radiowęglowego, że w przestrzeni medialnej tajemnica całunu do dziś uchodzi za – co najmniej – nierozstrzygniętą.

Jednym z argumentów syndologów jest tzw. hipoteza zanieczyszczenia. Przez setki lat płótno miało wchłonąć „nowszy" radioaktywny węgiel z otoczenia, co zaburzyło „zegar atomowy", doprowadzając do błędnego datowania. Lista potencjalnych zanieczyszczeń była długa i obejmowała niemal wszystko, z czym relikwia mogła mieć kontakt: pyłki roślinne, dym ze świec, pot z rąk wiernych i kapłanów, wodę użytą do gaszenia pożaru w 1532 r. (w kaplicy Sainte-Chapelle kolegiaty w Chambéry we Francji, gdzie przechowywano wówczas relikwię), a nawet smog. Z naukowego punktu widzenia argument ten był nie do obrony. Aby przesunąć datę aż o 1,3 tys. lat, masa zanieczyszczeń musiałaby kilkakrotnie przewyższać masę oryginalnego lnu, a to fizyczny nonsens. Co więcej, standardową procedurą laboratoriów jest chemiczne czyszczenie próbek przed analizą. Zrobiono to również w 1988 r.

Pojawiła się więc hipoteza „niewidzialnej łaty". Sugerowała, że naukowcy pobrali fragment, który w przeszłości został skrupulatnie zacerowany nowszymi nićmi. To jednak również było skrajnie nieprawdopodobne. Oznaczałoby bowiem, że dwóch światowej klasy ekspertów od tekstyliów, którzy przez wiele godzin badali płótno, nie zauważyło miejsca naprawy. Ponadto, aby tak znacząco wpłynąć na wynik, użyte w badanej próbce nici musiałyby być liczniejsze niż oryginalne włókna.

Powstały też hipotezy zahaczające o zjawiska nadprzyrodzone, ale ubierane w naukowo brzmiący język. Jedna z nich, rozpowszechniana jeszcze pod koniec lat 70. XX w., głosiła, że obraz na płótnie był rezultatem tajemniczego „napromieniowania". Promowali ją niektórzy członkowie amerykańskiej grupy badawczej Shroud of Turin Research Project (STURP), która w 1978 r. uzyskała zgodę na serię bezpośrednich oględzin relikwii. Kłopot w tym, że część jej członków była związana z katolicką organizacją Holy Shroud Guild. Założył ją w 1951 r. w ramach zakonu redemptorystów w USA ks. Adam Otterbein, by upowszechniać pogląd, że Całun Turyński jest autentyczną relikwią sprzed dwóch tysiącleci.

Pokrewna hipoteza pojawiła się jako próba podważenia wyników datowania z 1988 r. Niemiecki chemik Eberhard Lindner twierdził, że zmartwychwstanie Chrystusa spowodowało „emisję neutronów". Ten potężny impuls miał wzbogacić płótno w radioaktywny izotop węgla ^{14}C, co doprowadziło do błędnego, znacznie późniejszego wyniku datowania. Tego typu „cudowne" wyjaśnienia są jednak z definicji niemożliwe do naukowej weryfikacji i należą do sfery wiary.

Spryt ważniejszy niż rozum

Mimo to często przebijają się do goniących za sensacją mediów. Przykładem jest tegoroczna publikacja emerytowanego profesora inżynierii chemicznej Thomasa McAvoya z University of Maryland, która ukazała się latem w „International Journal of Archaeology". Posłużył się on sztuczną inteligencją do analiz zdjęć całunu, z nich zaś miało wynikać, że struktura płótna jest niejednolita, a różnic tych nie da się wyjaśnić jedynie zabrudzeniami czy śladami po pożarze. Musiały powstać w wyniku zmian w samym materiale – i to na poziomie molekularnym. A ponieważ podobne modyfikacje w strukturze lnu może wywołać krótkotrwałe, intensywne promieniowanie, takie jak UV, gamma czy pewnego typu wyładowania elektryczne (koronowe), to wizerunek na całunie powstał właśnie wskutek gwałtownej emisji energii. Dlatego każda teoria próbująca wyjaśnić zagadkę relikwii musi tłumaczyć nie tylko sam obraz, ale i te niezwykłe zmiany płótna.

Na tę publikację dała się nabrać „Gazeta Wyborcza", pisząc, że wprawdzie badania Mcavoya nie dają ostatecznej odpowiedzi na pytanie o pochodzenie całunu, ale „pokazują jednak coś zasadniczego: obraz powstał w sposób, którego nie da się wyjaśnić działaniem człowieka ani znaną technologią".

Problem z wiarygodnością polega jednak m.in. na tym, że „International Journal of Archaeology" od lat znajduje się na niechlubnej liście tzw. drapieżnych czasopism, czyli szemranych periodyków publikujących za sowitą opłatą właściwie wszystko, co zostanie im przysłane przez naukowców. Wydawca ma wprawdzie adres w Nowym Jorku, ale faktycznie działa z Pakistanu. Teksty nie przechodzą tu procesu niezależnych recenzji ekspertów z danej dziedziny, co jest standardem w porządnych czasopismach. Świadczy o tym błyskawiczna akceptacja tekstu McAvoya – redakcji zajęła zaledwie 11 dni, choć powinna trwać miesiące. Najprawdopodobniej więc amerykański chemik, nie mogąc umieścić swojego artykułu w żadnym rzetelnym czasopiśmie, wykupił sobie miejsce tam, gdzie nikt nie weryfikował jego sensacyjnych hipotez. Często odwołujących się zresztą do tendencyjnych badań wspomnianej grupy STURP z końcówki lat 70.

Przypadek sprawił, że w sierpniu ukazała się – w cenionym periodyku „Archaeometry" – publikacja przecząca tajemniczej „emisji energii". Jej autorem jest brazylijski badacz Cicero Moraes, specjalizujący się w cyfrowej grafice 3D i historycznych rekonstrukcjach twarzy. Za pomocą algorytmów komputerowych przeprowadził symulację tego, jaki odcisk zostawiłoby na płótnie prawdziwe ciało. Okazuje się, że twarz i sylwetka zostałyby mocno zniekształcone – stałyby się „pękate" i nie przypominałyby eleganckiego wizerunku z całunu. Ślad niemal identyczny jak na płótnie z Turynu pozostawiłaby zaś płaskorzeźba.

Publikacja Moraesa nie spotkała się z powszechnym entuzjazmem ekspertów – nie dlatego, że jego wnioski są błędne.

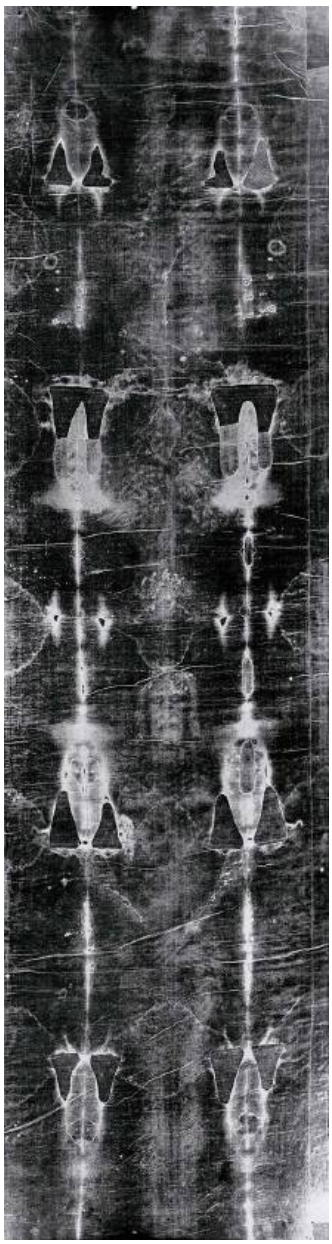
eprasa.pl 6f22740c7b

Andrea Nicolotti, profesor historii chrześcijaństwa na Università degli Studi di Torino i jeden z najlepszych ekspertów od Całunu, stwierdził bowiem, że nie widzi w niej niczego przełomowego. Jego zdaniem to, że wizerunek na turyńskim płótnie przypomina prostopadły rzut na płaszczyznę i nie mógł powstać w wyniku bezpośredniego kontaktu z trójwymiarowym ciałem, wiadomo od co najmniej czterech stuleci (rzut prostopadły to idealnie płaskie, dwuwymiarowe odwzorowanie obiektu, pozbawione zniekształceń wynikających z perspektywy).

Bez zaskoczenia przyjęta została także inna tegoroczna praca, która ukazała się w prestiżowym „Journal of Medieval History". Belgijski historyk Nicolas Sarzeaud pisze o odnalezieniu najstarszego (datowanego na lata 1370–80) tekstu, w którym całun zostaje uznany za oszustwo. Jego autorem jest XIV-wieczny duchowny, filozof i uczony Mikołaj z Oresme. Jego opinia nie była zresztą wówczas odosobniona – w 1389 r. bp Pierre d'Arcis z francuskiego Troyes wysłał do papieża list opisujący całun jako fałszerstwo. Oskarżył w nim kanoników z kościoła w Lirey (gdzie wystawiono płótno) o świadome działanie – z chciwości i wykorzystując łatwowierność ludzi, mieli zlecić „zręcznemu artyście" namalowanie wizerunku na płótnie. W odpowiedzi papież zezwolił wprawdzie na dalsze wystawianie relikwii, ale pod jednym warunkiem – kanonicy musieli publicznie oświadczać, że jest to tylko „figura lub wyobrażenie" prawdziwego całunu Chrystusa, a nie oryginał.

Tarcie skuteczniejsze niż cuda

Jak zatem, według aktualnej wiedzy, powstał Całun Turyński i skąd się w ogóle wziął? Najbardziej chyba wyczerpującą odpowiedź przynosi książka wspomnianego prof. Nicolottiego „Sindone" (Całun). Wyjaśnia w niej, że płótno z Turynu nie jest ani najstarszą, ani jedyną tego typu relikwią. Pojawił się bowiem w okresie ogromnego popytu na ten rodzaj obiektów kultu, o czym świadczą takie osobliwości, jak kołyska i pieluszki małego Jezusa, jego zęby mleczne, pępowina, a nawet napletek pozostały po obrzezaniu. Ponadto różne miasta, takie jak Akwizgran, Rzym czy Arles i Cadouin (Francja), szczyciły się posiadaniem własnych całunów.



Jedno z wczesnych zdjęć całunu. Negatyw wygląda jak pozytyw i uwydatnia szczegóły postaci.

Płótno z Turynu, o wymiarach ok. 4,4 na 1,1 m, wyróżniało się jednak monochromatycznym wizerunkiem całej postaci. Po raz pierwszy zostało wystawione na widok publiczny ok. 1355 r. w małym kościele w Lirey. Ważny rozdział jego historii rozpoczął się po 1453 r., kiedy przeszło na własność dynastii rządzącej księstwami Sabaudii i Piemontu. Nadworni kronikarze stworzyli fałszywą historię całunu, celowo ignorując średniowieczne dokumenty podważające jego autentyczność. Miał bowiem stać się narzędziem legitymizacji polityczno-religijnej władzy Sabaudów. Po przeniesieniu do Turynu w 1578 r. jego sława była ugruntowywana m.in. przez wysyłanie malowanych kopii na dwory w całej Europie (co najmniej 50 zachowało się do dziś).

Nowa fala zainteresowania całunem wezbrała po 1898 r., gdy po raz pierwszy wykonano jego fotografię. Odkrycie, że obraz na kliszy negatywowej wygląda jak pozytyw i uwydatnia szczegóły postaci, uznano za dowód niemożliwego do podrobienia, nadprzyrodzonego pochodzenia wizerunku. Takie płótno można jednak stworzyć stosunkowo prostymi średniowiecznymi technikami. Najprawdopodobniejsza hipoteza zakłada, że wizerunek człowieka to efekt wykonania odcisku, a konkretnie zastosowania artystycznej techniki frotażu, czyli pocierania (jak odbijanie wizerunku monety na kartce za pomocą ołówka).

Jak wykonać w ten sposób całun, pokazały eksperymenty przeprowadzone w latach 80. przez Joego Nickella, amerykańskiego sceptyka i demaskatora zjawisk paranormalnych, a 30 lat później udoskonalone przez włoskiego naukowca Luigiego Garlaschellego. Należy przygotować płaskorzeźbę służącą jako forma lub matryca, a następnie rozłożyć na niej płótno i pocierać narzędziem z bawełnianą tkaniną nasączoną pigmentem (np. czerwoną ochrą). Taki wizerunek ma cechy negatywu fotograficznego, jest pozbawiony zniekształceń typowych dla owinięcia trójwymiarowego ciała i zawiera zakodowaną informację przestrzenną, którą komputery mogą przetworzyć na obraz 3D.

Również inne rzekome dowody autentyczności nie wytrzymują krytyki. Na przykład słynne „plamy krwi" na całunie to w rzeczywistości artystyczne pigmenty – wspomniana czerwona ochra oraz cynober (choć syndolodzy ze STURP twierdzą, że składają się one z hemoglobiny i dają pozytywny wynik w testach na albuminę, główne białko osocza). Ponadto ich rozmieszczenie jest artystycznie wystylizowane – „krew" na turyńskim płótnie nie spływa naturalnie po ciele, a rany po biczowaniu przypominają te zadawane średniowiecznymi narzędziami, a nie rzymskimi. Również mity o rzekomych monetach z czasów Poncjusza Piłata na oczach postaci czy ukrytych inskrypcjach okazały się jedynie skutkiem pareidolii (skłonności ludzkiego mózgu do porządkowania i nadawania znaczenia losowym wzorom). Niektórzy badacze cyfrowo manipulowali starymi fotografiami, by osiągać oczekiwane efekty.

Wszystkie zebrane do tej pory rzetelne dowody i przesłanki wskazują, że Całun Turyński nie jest płótnem z czasów Chrystusa, lecz wyrafinowanym dziełem średniowiecznego artysty. Jednak spór nigdy się nie zakończy, gdyż jego oś przebiega daleko poza laboratoriami i archiwami. Wkracza bowiem w sferę, w której materialne dowody ustępują miejsca potrzebie wiary, a prawdziwe dzieje przedmiotu stają się mniej istotne niż jego symboliczno-religijna siła.

MARCIN ROTKIEWICZ

© SCIENCE PHOTO LIBRARY

eprasa.pl 6f22740c7b



© GETTY IMAGES

Miasta przyszłości z czystą energią

Innowacyjne projekty ORLEN przyczyniają się do rozwoju polskich miast i efektywnie wspierają je w transformacji energetycznej

Chociaż obszary miejskie zajmują tylko kilka procent powierzchni lądów, na ich terenie mieszka ponad połowa ludzkości. I to właśnie miasta odpowiadają za ponad 70 proc. antropogenicznej – czyli wywołanej przez człowieka – emisji dwutlenku węgla. Równocześnie zużywają coraz większe ilości wody i wytwarzają więcej odpadów niż gminy wiejskie. Miasta, stawiając na ścieżkę zrównoważonego rozwoju, mogą przyczynić się do walki ze zmianą klimatu. Sto lat temu ośrodki miejskie miały niespełna 200 mln mieszkańców, podczas gdy na całym świecie żyło ok. 2 mld ludzi. Dziś jest nas już ponad 8 mld, z czego, jak wynika z danych ONZ, aż 4,5 mld to mieszkańcy miast. Ten trend się nie zmieni, bo to przecież miasta są motorami rozwoju – to tam koncentrują się miejsca pracy, nowoczesne szkoły i uczelnie. Tam też jest dużo łatwiejszy dostęp do wyspecjalizowanych usług. Eksperci i ekspertki Organizacji Narodów Zjednoczonych prognozują, że w 2030 r. w miastach będzie mieszkało 5 mld ludzi, a do końca stulecia ta liczba wzrośnie do 8 mld. Nawet jeśli w XXI wieku eksplozja demograficzna dobiegnie końca, proces urbanizacji będzie postępował za sprawą masowego przenoszenia się ze wsi do miast.

Szybki rozwój obszarów miejskich wywołuje złożone wyzwania wpływające na życie ich mieszkańców. Zarządzanie miastami w sposób zrównoważony, czyli z myślą o przyszłych pokoleniach, nabiera coraz większego znaczenia. Chcemy żyć w zielonych, bezpiecznych przestrzeniach, w których oddycha się czystym powietrzem. Wiele miast na świecie widzi potrzebę transformacji. Coraz częściej stawiają na działania związane z adaptacją do zmiany klimatu, bo przekłada się to na jakość życia mieszkańców. Liderzy zmian są na tyle atrakcyjni, że przyciągają do siebie nowych mieszkańców. Ci, którzy zostają w tyle, zaczynają się wyludniać. Na znaczeniu zyskują zwłaszcza inicjatywy dotyczące tworzenia nowych przestrzeni zielonych, rozwoju transportu zbiorowego, poprawy efektywności energetycznej budynków czy modernizowania systemów ciepłowniczych. Realizacja takich projektów ilustruje społeczne znaczenie mądrej i skutecznie wdrażanej transformacji energetycznej. Przemyślane i ambitne strategie to szansa na zwiększenie odporności, jakości życia i zdrowia.

Aby lepiej przygotować się na przyszłość, miasta decydują się na współpracę z doświadczonymi partnerami po stronie biznesu, w tym z firmami z sektora energetycznego. Taka pomoc jest potrzebna, gdyż miasta mają problemy w znalezieniu wyspecjalizowanych kadr, a biznes oferuje wsparcie eksperckie i sprawdzone rozwiązania.

Także w polskich miastach (mieszka w nich ok. 60 proc. ludności naszego kraju) realizowanych jest coraz więcej innowacyjnych projektów na rzecz środowiska i zrównoważonego rozwoju. Warszawa ma największą w Unii Europejskiej sieć ciepłowniczą, liczącą ok. 1,9 tys. km. Pokrywa ona w czterech piątych potrzeby stolicy. W „Zielonej Wizji Warszawy" – dokumencie programowym z 2023 r. – władze miasta zadeklarowały zredukowanie emisji gazów cieplarnianych o 40 proc. do 2030 r. (w porównaniu z 2007 r.) oraz osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r.

Jedno z kluczowych działań polega na dekarbonizacji miejskiej sieci ciepłowniczej, obecnie opartej głównie na węglu kamiennym oraz gazie ziemnym. W tym celu trzeba zredukować straty energii cieplnej podczas jej dystrybucji i konsumpcji, a równocześnie zmodernizować (pozwalając na odejście od używania węgla) warszawskie elektrociepłownie

eprasa.pl 6f22740c7b



© MATERIAŁ PRASOWY ORLEN (2)

i ciepłownie, których właścicielem jest spółka ORLEN Termika, należąca do Grupy ORLEN. Od 2035 r. produkcja całego ciepła systemowego, dostarczanego mieszkańcom Warszawy, będzie odbywać się z wykorzystaniem gazu ziemnego (67 proc.), biomasy (25 proc.) oraz odzysku ciepła odpadowego ze ścieków miejskich, spalin i systemów chłodzących.

W ubiegłym roku ORLEN Termika podpisała z Miejskim Przedsiębiorstwem Wodociągów i Kanalizacji w Warszawie umowy, w ramach których powstaną jedne z największych instalacji pomp ciepła na ściekach w Unii Europejskiej. Takie urządzenia działają na podobnej zasadzie jak inne typy pomp ciepła, ale wykorzystują ciepło zawarte w ściekach, które ma wyższą temperaturę niż otoczenie, jako źródło energii. Idea odzysku ciepła ze ścieków spełnia założenia gospodarki o obiegu zamkniętym, w której odpad jest traktowany jako surowiec. Pompy w Elektrociepłowni Siekierki, Oczyszczalni Ścieków Pruszków i w Przepompowni Ścieków Surowych Żerań mają być uruchomione w 2029 r. Rok później zostaną oddane do użytku pompy ciepła w Oczyszczalni Ścieków Czajka. Projekty te są kluczowymi inwestycjami w ORLEN Termika, gdyż Grupa ORLEN zamierza odejść do 2035 r. od wykorzystywania węgla w aktywach ciepłowniczych.

Ograniczenie emisji dwutlenku węgla może iść w parze z redukcją kosztów utrzymania infrastruktury. Służy temu na przykład realizowana przez spółkę Energa Oświetlenie (z Grupy ORLEN) w gminach północnej i centralnej Polski instalacja energooszczędnego



oświetlenia LED z czujnikami zmierzchu, dzięki którym lampy włączają się automatycznie po zmroku. Liczy się każdy zaoszczędzony kilowat i każda niewyemitowana do atmosfery tona dwutlenku węgla, podobnie jak poprawa bezpieczeństwa oraz tworzenie estetycznego otoczenia miejskiego. Inteligentne lampy zmniejszają negatywne zjawisko zanieczyszczenia światłem, a przy tym zabezpieczają przed utratą energii.

Transport jest odpowiedzialny za wysoką emisję dwutlenku węgla i zanieczyszczenie powietrza w miastach. Dlatego duże znaczenie mają innowacyjne rozwiązania w zakresie komunikacji zbiorowej. Ta oparta była do niedawna głównie na autobusach spalinowych. Obserwujemy jednak pozytywny trend – w szybkim tempie przybywa pojazdów nisko- i zeroemisyjnych. Przykładem rewolucji elektromobilności jest Warszawa. Po stolicy jeździ już około dwieście autobusów zasilanych energią elektryczną, która jest magazynowana w bateriach. Już od przyszłego roku miasta w Polsce powyżej 100 tys. mieszkańców, modernizując swoją flotę pojazdów, będą miały obowiązek kupować wyłącznie autobusy zeroemisyjne. Do tej kategorii zaliczają się autobusy elektryczne bateryjne i wodorowe. To jednak właśnie wodór według części ekspertów może stać się dominującą technologią zeroemisyjną w przypadku autobusów miejskich. Pozwala on na wygodne tankowanie (znacznie szybsze od ładowania baterii), które wystarcza do jazdy przez cały dzień. Docelowo powinien to być odnawialny wodór, czyli taki, do produkcji którego wykorzystuje się energię pochodzącą ze źródeł odnawialnych.

Coraz więcej miast sięga po wodorową alternatywę w transporcie. W Polsce jednym z pionierów był Poznań, gdzie ORLEN uruchomił pierwszą w kraju, ogólnodostępną i całodobową stację wodorową, umożliwiającą tankowanie samochodów osobowych, ciężarowych oraz autobusów. Obecnie projekt „Clean Cities – Hydrogen mobility in Poland" wszedł w kolejną fazę rozwoju. W jego ramach funkcjonują już cztery stacje wodorowe – oprócz stolicy Wielkopolski są to Katowice, Wałbrzych i Włocławek. W kolejnych latach sukcesywnie oddawane będą do użytku nowe obiekty w Bielsku-Białej, Gorzowie Wielkopolskim, Krakowie, Gdyni, Pile i Warszawie. Do 2030 roku Grupa ORLEN zamierza stworzyć sieć ponad 24 stacji tankowania wodoru w polskich miastach. Przykład wodoru pokazuje, jak dzięki współpracy z partnerami miasta mogą szukać nowych rozwiązań, lepiej planować inwestycje i wdrażać innowacje. Sam proces transformacji to nie tylko zmiany technologiczne, ale też nowy sposób myślenia o ludziach i ich potrzebach.

Partnerem publikacji jest ORLEN ART&SCIENCE

ART& SCIENCE

eprasa.pl 6f22740c7b

Gady jak ptaki

Kulisy pracy nad drugą odsłoną legendarnego serialu „Wędrówki z dinozaurami" odkrywają producentka i paleoartystka Jay Balamurugan oraz dr Nizar Ibrahim, paleontolog i jeden z głównych konsultantów naukowych tej produkcji.

JOLANTA IWAŃCZUK: **– Serial „Wędrówki z dinozaurami" emitowany w Polsce w 1999 r. był sensacją. Nic dziwnego, że BBC wraca do tego projektu. Dlaczego jednak właśnie teraz?**

JAY BALAMURUGAN: – 25 lat temu pierwszy raz pokazano dinozaury nie jako filmowe potwory, lecz jako zwierzęta w naturalnym środowisku. Od tamtej pory nasza wiedza o nich wzrosła skokowo. Co roku opisujemy nowe gatunki, a ostatnie lata przyniosły prawdziwą rewolucję: wiemy dużo o piórach, barwach czy złożonych zachowaniach społecznych. Dlatego uznaliśmy, że to właściwy moment, by powrócić do tematu, ale od innej strony. Chcieliśmy także pokazać ludzi stojących za odkryciami.

NIZAR IBRAHIM: – W 1999 r. głównym impulsem do powstania serialu była technologia. Niedługo po sukcesie filmów „Park Jurajski" (1993) i „Zaginiony świat: Jurassic Park" (1997) pojawiło się pytanie, czy komputerowe efekty specjalne można wykorzystać w dokumencie przyrodniczym. Dziś dysponujemy jeszcze bardziej zaawansowanymi narzędziami do „ożywiania" prehistorycznych zwierząt, ale to nauka wyznacza tempo opowieści. Liczba nowych znalezisk jest tak ogromna, że coraz częściej mówi się o „złotym wieku" paleontologii. Chcieliśmy uchwycić ten wyjątkowy moment i pokazać, że historia dinozaurów wciąż pisze się na naszych oczach.

Produkcja trwała trzy lata. Które kwestie były dla was najtrudniejsze: naukowe, techniczne czy te związane z narracją?

J.B.: – Wszystkie. Obrazy generowane komputerowo (CGI) były ogromnym przedsięwzięciem – każdy dinozaur musiał być zarówno naukowo wiarygodny, jak i wystarczająco „filmowy", by widzowie w niego uwierzyli. To oznaczało setki godzin pracy nad modelami, animacją i odwzorowaniem ruchu. Do tego dochodziły zdjęcia w ekstremalnych lokalizacjach: na Saharze, na kanadyjskich pustkowiach, stromych stanowiskach w Portugalii czy pustyniach USA. Myślę, że najbardziej skomplikowane było jednak połączenie wszystkich elementów w spójną całość. Mieliśmy dwa światy – pracę paleontologów w terenie i cyfrowe rekonstrukcje. Zależało nam, by przenikały się nawzajem, tworząc jedną opowieść.

N.I.: – Jako paleontolog na co dzień opisuję kości i porównuję je z innymi okazami – i na tym zazwyczaj kończy się publikacja. Tutaj musiałem współtworzyć rekonstrukcję całych zwierząt: jak chodziły, pływały i oddychały oraz jak wyglądały ich interakcje. To wymagało zupełnie innego sposobu myślenia. Dodatkowym wyzwaniem były trudne warunki pracy. Choćby Sahara. To jedno z najbardziej nieprzyjaznych miejsc na Ziemi: 49 st. C w cieniu i brak infrastruktury, za to dziesiątki skrzyń i tony sprzętu, który ogromna ekipa filmowa musiała wnosić na strome stanowiska. Codzienność oznaczała walkę z upałem, logistyką i kruchością znalezisk. A jednak mimo szalonego tempa zdjęć udało nam się dokonać czegoś wyjątkowego – podczas jednej z wypraw do Maroka odkopaliśmy piękną kość stopy spinozaura.

Krążą pogłoski, że używaliście techniki *motion capture*, czyli rejestrowaliście ruchy aktorów, by je później odwzorować w animacji.

J.B.: – To mit. Wykorzystywaliśmy za to płytki *backplates* na kartach graficznych, ale głównie do tła w postaci krajobrazów. Czasami ktoś w niebieskim stroju lub z makietą pomagał ustawić kadr i ostrość, ale ruchy dinozaurów powstawały osobno, w studiu: dzięki pracy animatorów, biomechaników i paleontologów. Tworzyliśmy złożone modele szkieletowo-mięśniowe, odwzorowując ciężar, napięcia, sprężystość ruchu. Raz zdarzyło mi się, dla żartu i wygody operatora, „grać" kartonowym młodym triceratopsem, ale to był tylko praktyczny trik.

Jak w swojej opowieści odróżniacie fakty od spekulacji, które przecież i naukowcom się zdarzają?

J.B.: – Przy rekonstrukcjach nie da się uniknąć pewnej interpretacji. Od początku chcieliśmy jednak wyraźnie zaznaczać źródła. Jeśli wykorzystane przez nas dane wynikały bezpośrednio ze skamieniałości (kształt i układu kości czy odcisk piór), mówimy to wprost. Gdy opieramy się na porównaniach ze współczesnymi zwierzętami, np. przy odtwarzaniu zachowań czy barw,



© BBC (3)

również to sygnalizujemy. Spekulacja nigdy nie jest czystą fantazją – opiera się na dowodach, porównaniach i konsultacjach z ekspertami. Dzięki temu pozostajemy w obszarze dokumentu, a nie science fiction.

N.I.: – Nauka to proces. W XIX w. rekonstrukcje iguanodona były groteskowe – róg na czole po latach badań okazał się kciukiem. Dzięki nowszym danym obraz się zmienia. Spinozaur, którego szczątki badam, wciąż budzi kontrowersje: mamy tylko jeden w miarę kompletny szkielet, dlatego każda nowa kość – czy to stopa, ogon czy fragment czaszki – może całkowicie zmienić dotychczasowe wyobrażenia. Kiedyś widziano w nim „tyranozaura z żaglem", dziś wiemy, że pływał i miał unikatową sylwetkę. Nowe odkrycia zmuszają nas do ciągłego korygowania wcześniejszych założeń.

Wspominaliście też o kolorach i piórach.

J.B.: – Utahraptora wyobrażano sobie ćwierć wieku temu jako „gadzią", łuskowatą bestię. Dziś wiemy, że wiele teropodów miało pióra. Dlatego pokazujemy go jako dynamiczne, podobne do ptaka zwierzę. Zmieniliśmy nie tylko fakturę jego skóry



Jay Balamurugan – paleoartystka, ożywia dawne światy, łącząc naukowe ustalenia z emocjonalnym zaangażowaniem.



Dr **Nizar Ibrahim** – wykładowca paleontologii na University of Portsmouth, współpracownik Carnegie Museum of Natural History. Szczególnie interesuje się pterozaurami, dinozaurami i krokodylomorfami.

i sposób poruszania się – teraz w jego spojrzeniu widać inteligencję i czujność. To zupełnie nowa jakość, która zmienia odbiór tego gatunku.

N.I.: – W przedstawianiu ubarwienia dokonał się naprawdę ogromny postęp. W niektórych skamieniałościach zachowały się melanosomy – struktury pozwalające odtworzyć dawne pigmenty. Dzięki temu wiemy, że *Sinornithosaurus* miał pomarańczowo-biały, pasiasty ogon. U dużych gatunków rekonstrukcja kolorów jest jednak trudniejsza, bo pigmenty rzadko się zachowują. Pośrednią wskazówką jest fakt, że dinozaury miały doskonały wzrok i – podobnie jak dzisiejsze ptaki – wykorzystywały barwy w pokazach godowych. Lusotytan jest więc u nas imponująco barwnym kolosem. Odchodzimy od wizji dinozaurów jako monotonnych, oliwkowych gadów, przywracając im różnorodność, jaką dziś widzimy u ptaków, ich najbliższych krewnych.

Jak wybieraliście bohaterów odcinków?

J.B.: – Punktem wyjścia był spinozaur badany przez Nizara. Następnie zaczęliśmy tworzyć „mapę" serii, konsultując się z ponad 200 paleontologami. Zależało nam na pokazaniu pełnego przekroju gatunków, od ikonicznych, jak triceratops czy tyranozaur, po te niemal nieobecne w kulturze popularnej, jak lusotytan – największy zauropod Europy. Widzowie będą mogli zobaczyć kolczastego roślinożercę z Utah oraz stado pachyrynozaurów z Kanady, ich zachowania społeczne i strategie przeżycia.

Oryginalny serial był melancholijny. Nowy podobnie?

J.B.: – Tamta seria była piękna i poważna, niczym pożegnanie ze światem, którego już nie ma. Ta bardziej skupia się na indywidualnych historiach z klasyczną dramaturgią. Każdy odcinek to opowieść o konkretnym zwierzęciu – często nazwanym, by widz łatwiej się z nim utożsamił. Mamy Clover, młodą samicę triceratopsa, której życie śledzimy przez cały epizod, i Sobeka, spinozaura, nad którego rekonstrukcją Nizar pracował latami. Zamiast encyklopedycznego katalogu gatunków dostajemy bohaterów, którym można kibicować.

Wasza produkcja jest przeznaczona także – a może przede wszystkim – dla młodszej publiczności. Czy nadawanie imion dinozaurom nie jest jednak trochę infantylne?

J.B.: – To standard w filmach przyrodniczych. BBC stosuje go od lat, choćby ▶



▶ w „Dynastiach”, gdzie śledziliśmy konkretne szympansy czy hieny, ponazywane przez zespoły terenowe. Widz musi wiedzieć, kogo śledzi, zwłaszcza gdy na ekranie pojawia się stado podobnych zwierząt. W „Wędrówkach z dinozaurami” część imion pochodzi od badaczy (Clover, czyli konik polny), inne to wynik wspólnych ustaleń (Sobek nawiązuje do egipskiego boga krokodyli). To nadaje historii przejrzystość i dodatkowy kontekst.

N.I.: – Kiedy Jane Goodall nazwała swoje szympansy, oskarżano ją o brak obiektywizmu. Dziś to norma. Imiona są narzędziem – ułatwiają naukę w terenie i czynią opowieść czytelną. To ludzkie: nadajemy miana temu, co jest nam bliskie. Zamiast kolejnego „młodego triceratopsa” śledzimy losy Clover. Opowieść staje się osobista i bardziej zapada w pamięć.

Czy chcieliście, by nowa seria stała się także komentarzem do współczesnej roli nauki w debacie publicznej?

J.B.: – Zależało nam, by widzowie zobaczyli nie tylko same rekonstrukcje zwierząt sprzed milionów lat, ale także ludzi, którzy je odsłaniają i próbują zrozumieć. Chcieliśmy pokazać naukę w działaniu: pełną pytań, niepewności i dyskusji, ale równocześnie opartą na rzetelnej pracy i dowodach. Dziś, gdy autorytet nauki bywa podważany, chcieliśmy, by widzowie właśnie taką ją dostrzegli.

N.I.: – Dla mnie fakt, że paleontolodzy są tu pełnoprawnymi bohaterami, jest szczególnie ważny. Pracujemy jak detektywi, próbując rozwikłać jedną z najstarszych zagadek Ziemi. Serial oddaje cały ten proces: od mozolnej pracy w terenie, w błocie i pyle, przez chwile zwątpienia, aż po euforię, gdy z piachu wyłania się coś niezwykłego. Nauka nie jest zbiorem gotowych odpowiedzi, lecz podróżą pełną prób, błędów i ciągłych korekt.

Dinozaury są idealnym przykładem, jak nauka łączy pasję z wyobraźnią. Każdy z nas jako dziecko miał swój pierwszy kontakt z T. rexem czy diplodokiem i nagle otwierały się drzwi do dawno wymarłego świata. Z dziecięcej ciekawości rodzi się później naukowa pasja i rzetelna wiedza. Uczymy się przy tym cierpliwości, krytycznego myślenia i pojmujemy, że wiedza nigdy nie jest skończona. Nauka o dinozaurach to także lekcja pokory wobec przeszłości i wobec natury – przypomnienie, że prawda rzadko jest prosta i jednoznaczna.

ROZMAWIAŁA JOLANTA IWAŃCZUK



Jakiej płci jest Sue?

T. rex to celebryta wśród dinozaurów, ale do 1990 r. wiedzieliśmy o nim niewiele. Prawdziwe poznawanie tego gigantycznego drapieżcy zaczęło się od przypadkowego odkrycia na pustkowiach amerykańskiego Środkowego Zachodu.

ANDRZEJ HOŁDYS

Aby spotkać Sue, trzeba się wybrać do Field Museum w Chicago. Przejść przez Genius Hall of Dinosaurs i skręcić w prawo zaraz za triceratopsem. Właśnie tam, w galerii Griffin Halls of Evolving Planet, stoi ona: najsłynniejszy *Tyrannosaurus rex*, jakiego kiedykolwiek odnaleziono. Ta jedna skamieniałość, odkryta dokładnie 35 lat temu, zrewolucjonizowała wiedzę o całym gatunku. Jej historia to opowieść złożona. O naukowych przełomach oczywiście. Również jednak o dramatycznych bataliach prawnych oraz o aukcjach, podczas których cenne znaleziska paleontologiczne osiągają astronomiczne sumy. I o uczonych niemających pewności, czy będą mogli badać sprzedane okazy.

Owocne cięcie

Sue nie jest zwykłą skamieniałością. W Field Museum stoi potężny szkielet – o długości ponad 12 m i wysokości 4 m. Masywna czaszka waży ok. 270 kg. Spoczywa w specjalnej gablocie – jest zbyt ciężka, by można ją zawiesić na końcu szyjnego odcinka kręgosłupa, dlatego zastąpiono ją gipsowym odlewem. Poza tym naukowcy chcieli mieć łatwy dostęp do oryginału, bo wciąż pojawiają się nowe techniki i metody, dzięki którym można jeszcze szerzej uchylić okno do przeszłości – tej sprzed 67 mln lat, tuż przed dramatycznym końcem ery mezozoicznej, której kres położył najprawdopodobniej upadek wielkiego meteorytu.

Sue to największy dotychczas odkryty okaz należący do tego gatunku. I najbardziej kompletny, bo zachowany w 90 proc. i składający się z ponad 250 kości (na ok. 380 znanych). Wcześniej badacze rekonstruowali wygląd i inne cechy gatunku T. rex na podstawie fragmentów wielu różnych osobników. Kiedy tylko Sue stanęła w Field Museum, pojawił się tam Greg Erickson, obecnie profesor Florida State University. W szkielecie zauważył linie wzrostu, na podstawie których można ustalić wiek osobnika. Zapytał dyrekcję placówki, czy będzie mógł przeciąć na pół kość bezcennego dinozaura. Po długich naradach otrzymał zgodę.

Dinozaury wykluwały się z jaj – zadziwiająco małych, jak na późniejsze rozmiary dorosłych osobników. Jeśli zaczynasz jako malec, ale kończysz jako olbrzym, to musisz albo bardzo długo żyć, albo bardzo szybko rosnąć. Ericksona ta zagadka fascynowała. Przecinając kość Sue i licząc zachowane w niej pierścienie, wykazał, że błyskawicznie przeobrażała się z noworodka o masie paru kilogramów w dorosłą bestię o masie sześciu ton. Przestała rosnąć dopiero po osiągnięciu 20. roku życia, przy czym kulminacja wzrostu następowała w wieku 14–18 lat – wtedy mogła przybierać na wadze nawet pół tony w ciągu roku. Zmarła około trzydziestki, co czyni ją jednym z najdłużej żyjących znanych tyranozaurów.

Inni naukowcy liczyli na to, że dzięki Sue dowiedzą się, jak poruszały się te wielkie drapieżniki. Z jaką prędkością biegały, jak szybko się rozpędzały, czy

© JOHN WEINSTEIN/FIELD MUSEUM

eprasa.pl 6f22740c7b

były zwinne i zręczne, jaką postawę przyjmowały podczas biegu czy też wtedy, kiedy stały? To dość szczegółowe pytania, na które nie ma jeszcze dokładnej odpowiedzi. Niemniej eksperci od biomechaniki, tacy jak John Hutchinson, profesor Royal Veterinary College, przez wiele tygodni mierzyli proporcje ciała Sue, dokładnie przyglądając się każdemu śladowi po przyczepie mięśni na jej kościach, oglądając jej stawy. Takie informacje można wykorzystać do oszacowania siły muskulatury całej kończyny czy też sposobu poruszania się zwierzęcia.

Wszystko to Hutchinson starał się uwzględnić w swoich modelach komputerowych, a z tych wynikało, że T. rex raczej nie biegał, lecz poruszał się z prędkością nie większą niż 15–25 km/godz., a niewykluczone, że dwa razy mniejszą. Sadził czterometrowe susy, zawsze jednak jedna z nóg dotykała ziemi. Czy tak rzeczywiście było? Różne modele biomechaniczne sugerują różne wartości, a zagadka nie jest jeszcze do końca rozwiązana. W każdym razie pod wpływem takich badań rekonstrukcja szkieletu Sue była modyfikowana. Zmieniano ułożenie głowy, bioder i maleńkich rąk, by były zgodne z wynikami analiz biomechanicznych.

Wyjątkowe pęknięcie

Dziesiątki razy mierzono także czaszkę, by ocenić jej elastyczność umożliwiającą pochłanianie gigantycznych porcji mięsa oraz wyliczyć siłę szczęk. Emily Rayfield wykazała, że ta siła była skoncentrowana z przodu paszczy, co może sugerować, że Sue zabijała ofiarę potężnym kłapnięciem szczęk, a następnie wyrywała z niej kawały mięsa, odciągając głowę do tyłu.

Kości Sue opowiedziały też badaczom dramatyczną historię jej życia wypełnionego walką o przetrwanie. Zrośnięte po złamaniach żebra, naderwane ścięgna, uszkodzona łopatka i zapalenie stawów świadczyły o urazach, które musiały utrudniać codzienne życie. W żuchwie odkryto ślady pasożytniczej infekcji. Mogła powodować bolesne obrzęki i problemy z jedzeniem, co groziło śmiercią głodową. Z powodu infekcji w nodze jedna z kości była dwukrotnie powiększona. Jakim cudem zwierzę w takim stanie przeżyło tak długo? Odpowiedź, choć niepewna, doprowadziła badaczy do rewolucyjnego wniosku: być może T. rex nie był samotnym łowcą, lecz zwierzęciem zdolnym do życia w grupie, a nawet do opieki nad rannymi.

Odkrycie tego najsłynniejszego tyranozaura było dziełem przypadku. W samochodzie terenowym, którym ekipa poszukiwaczy skamieniałości podróżowała 12 sierpnia 1990 r. po bezdrożach zachodniej części amerykańskiego stanu Dakota Południowa, pękła opona. Podczas gdy inni uczestnicy eskapady zajmowali się jej wymianą, Sue Hendrickson wybrała się na samotną wędrówkę po okolicy. W pewnym momencie jej wzrok przykuły trzy ogromne kości wystające z kilkunastometrowego klifu. Serce zabiło jej szybciej. Natychmiast zgłosiła znalezisko swojemu pracodawcy Peterowi Larsonowi, prezesowi Black Hills Institute of Geological Research.

Następnego dnia zaczęło się żmudne wydobywanie szkieletu. Sześć osób zajmowało się tym od świtu do zmierzchu przez 17 dni. A kiedy praca dobiegła końca, paleontolodzy amatorzy zrozumieli, że trzymają w rękach coś wyjątkowego. Znalezisko nazwano Sue, na cześć odkrywczyni, choć płci zwierzęcia nie udało się ustalić do dziś. Badacze używają zaimka „ono".

Szybko pojawiły się wątpliwości, do kogo należy znalezisko. Instytut Black Hills zapłacił 5 tys. dol. właścicielowi terenu, którym był Maurice Williams z plemienia Cheyenne River Sioux. Władze transakcję jednak zakwestionowały, twierdząc, że ziemia w teorii należąca do Williamsa została powierzona państwu, a zatem skamieniałość jest dobrem publicznym. Do instytutu wkroczyli agenci FBI i skonfiskowali Sue. Rozpoczął się wieloletni spór prawny oraz polityczny thriller. Ostatecznie sąd uznał, że Sue jest własnością Williamsa, a ten błyskawicznie wystawił znalezisko na aukcję w Sotheby's. Odbyła się ona w 1997 r., trwała osiem minut i zakończyła wylicytowaniem rekordowej wówczas kwoty 8,36 mln dol. Nabywcą było Field Museum, które zdobyło środki dzięki sponsorom, m.in. takim jak Disney i McDonald's.

Sue – skatalogowana jako okaz FMNH PR 2081 – znalazła bezpieczny dom w instytucji publicznej. W maju 2020 r. po dokładnym oczyszczeniu i zmontowaniu wszystkich kości – co 12-osobowemu zespołowi zajęło trzy lata – została zaprezentowana publicznie. Paleontologom towarzyszyła jednak obawa. „Co by się stało, gdyby Sue trafiła do prywatnego kolekcjonera? Dziś moglibyśmy oglądać ją tylko na zdjęciach z katalogu aukcyjnego. Nauka straciłaby dostęp do bezcennego źródła wiedzy" – ostrzegała Rayfield, która przez długi czas pełniła funkcję prezeski Society of Vertebrate Paleontology, organizacji zrzeszającej ponad 2 tys. badaczy skamieniałości kręgowców, w tym dinozaurów. Stowarzyszenie to wielokrotnie protestowało przeciwko sprzedawaniu cennych okazów paleontologicznych na aukcjach.

Szczęśliwe zakończenia

Tak było również w przypadku transakcji, której bohaterem został T. rex znany jako Stan. Jest o pół metra krótszy i o 30 cm niższy od Sue, a także mniej kompletny. Za to jego czaszka zachowała się w stanie niemal idealnym. Przez ćwierć wieku przebywał w Black Hills Institute, gdzie paleontolodzy mieli do niego stały dostęp, co zaowocowało lawiną publikacji naukowych. I oto niespodziewanie w październiku 2020 r. trafił na aukcję w Christie's, gdzie w ciągu paru minut został wylicytowany za zawrotną kwotę 31,8 mln dol. Tyle zapłacił anonimowy nabywca. „To katastrofa dla nauki" – stwierdziła wówczas Lindsay Zanno, ekspertka od tyranozaurów z North Carolina Museum of Natural Sciences, która poświęciła Stanowi wiele publikacji.

Miesiąc później jej placówka odkupiła od prywatnego znalazcy inną niezwykłą skamieniałość – The Dueling Dinosaurs, składającą się ze szkieletów dwóch wielkich gadów. T. rex i triceratops prawdopodobnie zwarły się w boju, który dla obu okazał się ostatnim. Znalezisko jest w doskonałym stanie. Tyranozaur, ochrzczony Bloody Mary, choć płci nie ustalono, prawdopodobnie zachował się w 98 proc., co oznaczałoby, że jest bardziej kompletny niż Sue. Ten skarb, za który zapłacono 6 mln dol. dzięki publicznej zbiórce, wcześniej przez kilkanaście lat pokrywał się kurzem w magazynie, a naukowcy nie mieli do niego dostępu. „To okropne, gdy takie wspaniałe okazy znikają w prywatnych kolekcjach" – podkreślała Zanno, inicjatorka tej transakcji.

Na szczęście Stan odnalazł się dwa lata później. Do jego posiadania przyznało się Muzeum Historii Naturalnej w Abu Zabi, stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Organizująca się dopiero placówka od kilku lat kompletuje swoją kolekcję, skupuje cenne eksponaty na całym świecie, nie szczędząc funduszy. Ma zostać otwarta dla publiczności pod koniec tego roku. Dla Stana przygotowano w niej specjalną salę. Paleontolodzy odetchnęli z ulgą. Wygląda na to, że znów będą mogli go badać. Podobnie jak Sue. ■

eprasa.pl 6f22740c7b

Reportaż z piekła

50 lat temu zmarł Kazimierz Moczarski. Jego reportaż z więzienia po raz pierwszy opublikowała POLITYKA, nadając mu tytuł „Rozmowy z katem”.

MARCIN ZAREMBA

Kiedy po 11 latach odsiadki Kazimierz Moczarski wyszedł na wolność w 1956 r., odtworzył swoje rozmowy z Jürgenem Stroopem, zbrodniarzem, z którym dzielił celę więzienia na warszawskim Mokotowie. Ich reporterski zapis udało mu się opublikować dopiero po wielu zabiegach w latach 70. Przedtem jednak spotkał się w redakcji POLITYKI z Marianem Turskim. Redaktor działu historycznego tygodnika, Żyd ocalały z Holokaustu, wiedział, jaki ciężar gatunkowy mają więzienne opowieści kata warszawskiego getta. Wspólne przeglądanie notatek zaowocowało publikacją w czerwcu 1968 r. fragmentu wspomnień Moczarskiego z tytułem zaproponowanym przez Turskiego.

Wydrukowane wiele lat później w całości „Rozmowy z katem” są jedną z najważniejszych książek, jakie wyszły w PRL.



Jürgen Stroop obserwujący płonące getto warszawskie

eprasa.pl 6f22740c7b

Miejsce: więzienie

Wchodzę do celi, w której Kazimierz Moczarski siedział z Jürgenem von Stroopem – nr 11 w Pawilonie XI więzienia na warszawskim Mokotowie. Wiem, że miała 400 cm długości i ok. 135 cm szerokości. Klaustrofobiczna klitka. Trudno to sobie wyobrazić, bo później wyburzono ściany dzielące ją z dwiema innymi i stworzono celę bardziej „dla ludzi". Wydzielono toaletę, bo po wojnie więźniowie korzystali z kubła, do którego załatwiali się na oczach innych.

Pracownicy muzeum, które powstało w dawnym więzieniu przy ul. Rakowieckiej, odsłonili w kilku miejscach kolejne pokłady farby. Na przełomie lat 1945 i 1946 na Rakowieckiej wybuchła epidemia tyfusu, prawdopodobnie wówczas odmalowano mury na kolor brudnozielony. Ze ściany po jednej stronie zwisała rozkładana jednoosobowa prycza, na drugiej przymocowano miniaturowy stolik, który można było złożyć. Do tego jeden stołek i wisząca szafka na przybory. Więźniowie zwykle spali na siennikach. Latem dokuczał im zaduch, zimą chłód.

Osadzono w tym więzieniu żołnierzy AK i poakowskich organizacji antykomunistycznych, Polaków oskarżonych o kolaborację, kryminalistów, żołnierzy Ukraińskiej Powstańczej Armii, wreszcie Niemców i Austriaków. W tej ostatniej grupie także zbrodniarzy wojennych.

Dla wielu Niemców ulica Rakowiecka była ich ostatnim adresem w życiu. Tu wykonywano na nich egzekucje przez powieszenie.

Osoby: skazany Niemiec

31 maja 1947 r. Amerykanie na lotnisku Tempelhof w Berlinie przekazali oficerom Polskiej Misji Wojskowej m.in. Jürgena von Stroopa. Miał już wyrok śmierci zasądzony przez Amerykański Trybunał Wojenny za mord na jeńcach, lotnikach alianckich. W Warszawie sądzono go za zbrodnie na ludności polskiej i żydowskiej. Odpowiadał za likwidację getta warszawskiego. Wyrok skazujący zapadł w 1951 r.

Z „opisu osoby więźnia", sporządzonego wkrótce po jego przybyciu na Rakowiecką, dowiadujemy się, że miał 51 lat, mierzył 182 cm, oceniono go jako tęgiego, o włosach ciemnych i rzadkich, odstających uszach. Usta miał szerokie, brakowało mu jednego zęba.

Na Mokotowie miał warunki najlepsze z możliwych: dostawał korespondencję od rodziny, książki z więziennej biblioteki, podwójną porcję posiłków, zgodę na przechadzki na spacerniaku. „Widywałam na spacerze – napisała we wspomnieniach Anna Rószkiewicz-Litwinowiczowa – Jürgena Stroopa (...), był zawsze w czerwonej wiatrówce od Amerykanów po wyroku śmierci (...). Był opalony, przylizane włosy, bardzo wyprostowany".

Budził duże zainteresowanie. Rozmawiał z nim m.in. prokurator Stanisław Piotrowski, członek polskiej delegacji na procesie norymberskim, podczas którego przedstawił materiał dowodowy przeciwko hitlerowskim zbrodniarzom wojennym. Piotrowski był pionierem polskich badań nad Zagładą. W 1948 r. opublikował słynne „Sprawozdanie Jürgena Stroopa: o zniszczeniu getta warszawskiego".


ROZMOWY
Z KATEM

Tygodnik POLITYKA z 23 czerwca 1968 r.

Osoby: skazany Polak

Więzień Kazimierz Moczarski miał za sobą bogatą przeszłość wojenną, „dzięki" której znalazł się w komunistycznym więzieniu. W styczniu 1940 r. rozpoczął działalność konspiracyjną, by dwa lata później związać się z Wydziałem Informacji Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Został jego szefem. Praca w konspiracji nauczyła go uważności, pisania skrótowych notatek, pogłębiła jego umiejętności analityczne. W Wydziale Informacji, który był konspiracyjnym biurem studiów, zajmował się białym wywiadem.

11 sierpnia 1945 r. został aresztowany i osadzony w więzieniu mokotowskim. Później opisał 49 rodzajów tortur, jakim go poddawano, m.in. bicie i kopanie po całym ciele, przypalanie papierosem, wyrywanie włosów, wielogodzinny karcer nago, przysiady aż do omdlenia. Osadzenie w jednej celi z niemieckim zbrodniarzem miało być prawdopodobnie kolejną szykaną.

Do celi nr 11 w Pawilonie XI skierowano go 2 marca 1949 r. Spędził w niej razem z generałem SS dziewięć miesięcy. Uświadomił sobie, że nadarza się jedyna w swoim rodzaju okazja zrozumienia motywów i poznania psychiki niemieckiego zbrodniarza.

W celi nie siedzieli sami. Trzecim współwięźniem był Gustaw Schilke, przedwojenny policjant z Hanoweru, w czasie wojny w SS. W tych rozmowach odgrywał on rolę trochę Sancho Pansy, trochę chóru z greckiej tragedii, bywało, że złośliwie komentował opinie Stroopa, namawiał go też do zwierzeń. A tym sprzyjało życie na bardzo ograniczonej przestrzeni, intymna sytuacja: wspólne jedzenie, spanie (Moczarski spał pośrodku), specyficzna więź, jaka często wytwarza się między więźniami będącymi w poniekąd naturalnej opozycji do opresyjnych strażników.

Stroop mógł odczuwać potrzebę wygadania się, a nawet quasi-spowiedzi, choć bez wyznania winy. Moczarski zresztą odwzajemniał się ciekawym tego Niemcom opowieściami o pracy w konspiracji, powstaniu warszawskim. Spędzili 255 dni, rozmawiając. Żaden z amerykańskich psychologów nie miał szans na zbudowanie podobnych relacji z niemieckimi zbrodniarzami sądzonymi wcześniej w Norymberdze i tym samym na tak pogłębioną wiwisekcję ich osobowości.

Moczarski szansę wykorzystał. Dobrze znał niemiecki. Zaprocentowało przedwojenne wykształcenie prawnicze, ćwiczące pamięć, uczące szacunku dla faktów. Miał „dziennikarski nos" – talent do szukania tematów, umiejętność budowania szerszych narracji. Doszła wiedza zdobyta dzięki lekturze meldunków wywiadu AK. „Pan jest niebezpieczny – powiedział mu Stroop. –Pan za dużo wie lub odgaduje".

W sercu machiny zbrodni

Powstało dzieło niezwykłe. Wyjątkowy w swoim rodzaju reportaż historyczny – chciałoby się powiedzieć – z piekła rodem, choć Stroop nie miał w sobie nic demonicznego. Przeciwnie – był banalnie zwyczajny. ▶

© ARCHIWUM ELŻBIETY MOCZARSKIEJ/FOTONOVA, UIP GETTY IMAGES, ARCHIWUM POLITYKI

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ Śledzimy jego historię od najwcześniejszego dzieciństwa, biografie rodziców, poznajemy środowisko, które go kształtowało, losy podczas pierwszej wojny światowej i po jej zakończeniu, gdy stał się wyznawcą kultu walki i siły. Rodzina, dzieci, praca. Choć do NSDAP zapisał się względnie późno, nazistowski bakcyl trafił na podatny charakterologicznie grunt. Poznajemy jego antypatie: nie znosił nowoczesności z jej wyzwoleniem, brakiem reguł, a estetycznie – modernizmu. Był do szpiku kości antysemitą.

Podążamy za kolejnymi szczeblami jego hitlerowskiej kariery. W tle przewijają się najwięksi naziści na czele z Heinrichem Himmlerem i gauleiterem Kraju Warty Arthurem Greislerem, z dowódcami SS i Wehrmachtu. Dowiadujemy się mnóstwa historycznych szczegółów i faktów, które bez opowieści Stroopa trudno byłoby odtworzyć. Działał on bowiem w samym sercu hitlerowskiej machiny zbrodni.

Himmler przeniósł go jesienią 1939 r. do okupowanego Poznania na stanowisko dowódcy tamtejszego Selbstschutzu – jednostki paramilitarnej składającej się z przedstawicieli niemieckiej mniejszości, która odpowiadała za mordy na Polakach w Wielkopolsce. Po wybuchu wojny z ZSRR zajmował się głównie policyjno-eksterminacyjnym zabezpieczeniem tyłów. Będąc komendantem policji w dystrykcie Galicja, uczestniczył w organizacji masowej zagłady Żydów. Jednak za swoje największe osiągnięcie uważał likwidację warszawskiego getta, w tym stłumienie w nim powstania. Osobiście wysadził w powietrze Wielką Synagogę.

Interpretacje

Moczarski dzieli się z czytelnikiem swoimi opiniami i ocenami, choć stara się nie stawiać Stroopa pod pręgierzem. Zależało mu na przedstawieniu materiału w sprawie, nie wchodził w rolę sędziego. Najbardziej skłaniał się w stronę kulturowej interpretacji genezy zbrodniczego wymiaru hitleryzmu i motywów jego katów, takich jak Stroop. Przed drugą wojną światową ruchy faszystowskie silne były w wielu państwach: we Włoszech, w Rumunii, na Węgrzech, ale tylko w III Rzeszy udało się stworzyć machinę do tego stopnia totalitarną i zbrodniczą zarazem. Jednak dziś ostrożnie szermujemy kulturowymi wyjaśnieniami, jakoby historia i kultura Niemiec „wszystko" tłumaczyły. Wskazuje się także na czynniki sytuacyjne, rolę przypadku w historii. Wiele na temat psychospołecznych korzeni masowych zbrodni mają do powiedzenia psychologia i psychologia społeczna.

Opowiadanie „Mario i czarodziej" Tomasz Mann, laureat Literackiej Nagrody Nobla, napisał w 1930 r., czyli wtedy, gdy Stroop nasiąkał nazizmem. Narrator spędza letnie wakacje we włoskiej nadmorskiej miejscowości, którą odwiedza Cipolla, czarodziej i hipnotyzer „o małym, napomadowanym wąsiku". Jest oczywiście metaforą dyktatora, który potrafi opanować umysły ludzi, skłonić ich do posłuszeństwa. Mann pokazuje, jak łatwo jest stracić wolną wolę i niezależność myślenia pod wpływem manipulacji i propagandy. Stroop nie czytał książek, nie miał pamięci do języków, jednak o każdej porze dnia i nocy potrafił wyrecytować instrukcje SS.

Historia Stroopa i opowiadanie Manna pokazują, jak łatwo zaczadzić się ideologią, uwierzyć propagandzie. Także dzisiaj, gdy wielu z nas żyje w bańkach informacyjnych oddziałujących na emocje. Hipnotyczne instrumentarium zostało bardzo dobrze rozpoznane. Wystarczy odwołać się do obrazów już utrwalonych w naszych głowach: do sentymentów i resentymentów, wskazać zagrożenie, wywołując strach, zamachać narodową flagą, głosić godnościowe frazesy o wstawaniu z kolan, obiecać, że naród znów będzie wielki jak tysiącletnia Rzesza.

W 1950 r., gdy Stroop siedział jeszcze w celi śmierci, w USA ukazała się książka „The Authoritarian Personality". Jej autorzy – z Theodore'em W. Adorno na czele – opisali kompleks przekonań, które sprzyjają podatności na antydemokratyczną propagandę. Osobowość autorytarna charakteryzuje się silnym posłuszeństwem wobec autorytetów, sztywnością myślenia i tendencją do uprzedzeń. Bezgraniczne podporządkowanie się stojącym wyżej w hierarchii, bezkrytyczne przyjmowanie ich decyzji to postawa Stroopa wielokrotnie manifestowana na stronach „Rozmów z katem". Zaproponował na przykład Moczarskiemu, żeby spał na pryczy jako przedstawiciel narodu „rządzącego i zwycięskiego, a więc narodu panów". Jedną z cech opisywanego syndromu jest bowiem postrzeganie stosunków społecznych w kategoriach dominacji.

Osoby te cechuje również konwencjonalizm, agresja wobec odmienności i nietolerancja wobec grup uważanych za obce. Zwykle mają problem ze zrozumieniem złożoności świata i perspektywy innych ludzi. Stroop był niezdolny do empatii. W latach 50. XX w. dowodzono, że osobowość autorytarna silnie koresponduje z kulturą mieszczańską, w domyśle: niemiecką. Dziś wiemy, że to nieprawda. Obojętność wobec cierpień uchodźców, hasła budowy murów na granicach, kult silnych i sprawczych polityków to postawy, które diagnozujemy także dziś. Nieprzypadkowo były więzień Auschwitz Marian Turski powiedział z okazji 80. rocznicy wyzwolenia obozu, że potrzebujemy jedenastego przykazania: „Nie bądź obojętny!".

Dlaczego Auschwitz było możliwe? W poszukiwaniach odpowiedzi głos zabrała filozofka polityki Hannah Arendt w książce „Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła". Moczarski napisał reportaż z więzienia, Arendt z sali sądowej. Jako reporterka „The New Yorker" obserwowała proces Adolfa Eichmanna w 1961 r. w Jerozolimie. Stroop przypominał Eichmanna, głównego koordynatora i wykonawcę planu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Obaj byli przerażająco przeciętni, wręcz – pisze Arendt – infantylni. Obu cechowała płytkość i powierzchowność myślenia, skoncentrowanie wyłącznie na własnej karierze w połączeniu ze skłonnością do patetycznych wypowiedzi.

Obaj dostali wyroki śmierci. Moczarski po wyjściu z więzienia starał się dowiedzieć, jak przebiegła egzekucja Stroopa. Został powieszony 6 marca 1951 r. w więzieniu na Mokotowie. Pracownicy muzeum odnaleźli to pomieszczenie, było wygłuszone i bez okien. Do zapadni wrzucono pozostałości szubienicy. Z dokumentów wynika, że ciało Stroopa trafiło do Zakładu Anatomicznego Uniwersytetu Warszawskiego.

MARCIN ZAREMBA

Autor wykorzystał w artykule swój wstęp do najnowszego wydania „Rozmów z katem".



KUP TERAZ

Więcej o stalinowskich represjach w Polsce przeczytasz w Pomocniku Historycznym **„STALINIZM PO POLSKU"**.
Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 6f22740c7b



Fizyk ryzyk

Przeżył wielki terror w państwie Stalina, getto krakowskie, więzienia gestapo. Był ryzykantem i hazardzistą obdarzonym talentem do zarabiania pieniędzy – mówi Irena Grudzińska-Gross, autorka książki „Wielka karuzela. Życie Aleksandra Weissberga-Cybulskiego".

ARTUR DOMOSŁAWSKI: **– Kim był Aleksander Weissberg-Cybulski i z czego jest znany?**

IRENA GRUDZIŃSKA-GROSS: – Przede wszystkim z książki „Wielka czystka", którą napisał w czasach zimnej wojny, w 1951 r. Opisał w niej swoje aresztowanie i pobyt w więzieniach w Związku Radzieckim w latach 1937–39.

Był rówieśnikiem XX w.; urodził się w 1901 r. w rodzinie żydowskiej, kupieckiej, niemieckojęzycznej. Pochodził z Krakowa, ale wychował się w Wiedniu, dokąd przenieśli się rodzice. Tam skończył studia i został inżynierem fizykiem.

Był także komunistą i dlatego w obawie przed aresztowaniem musiał opuścić Austrię. Przeniósł się do Niemiec, a stamtąd został wezwany przez partię do Związku Radzieckiego. Miał zorganizować instytut fizyki w Charkowie, a konkretnie – Eksperymentalną Stację Niskich Temperatur.

Czy fizyka i komunizm miały w tamtym czasie ze sobą coś wspólnego?

Zdecydowanie. Projekt komunistyczny miał wówczas podobną energię w obszarze idei, co fizyka w świecie nauki. Światu lewicy wydawało się, że fizyka i komunizm są najwyższym spełnieniem potencjału ludzkiego i uzupełniającymi się nawzajem drogami modernizacji społeczeństwa. Okazało się to prawdą w odniesieniu do fizyki, lecz nie do komunizmu.

Weissberg przyjechał do ZSRR w 1931 r., organizował w Charkowie instytut fizyki mający służyć rewolucji. I dość szybko – już rok po przyjeździe – był świadkiem wielkiego głodu na Ukrainie. Jak na niego zareagował?

Widział w nim skutek błędów kolektywizacji. Uważał, że została wprowadzona zbyt wcześnie, zbyt szybko, zbyt brutalnie. I nie chodziło tylko o brutalność fizyczną; także o nieliczenie się z koniecznością dostosowania tego działania do procesów historycznych, gotowości społecznej. Sądził też, że głód był wynikiem oporu części chłopstwa, które nie chciało się zgodzić na kolektywizację. Jego umysł nie zaprzeczał temu, co widziały oczy, a zarazem szukał ideologicznie spójnych wyjaśnień.

Pisze pani, że np. słowo „kułak", czyli wróg klasowy, ktoś opierający się kolektywizacji, znieczulało wrażliwych ▶

© ZBIORY JÓZEFA CZAPSKIEGO

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ w końcu ideowców na dziejące się okropności. Bo gdyby powiedzieć „chłop" lub „człowiek", nie dałoby się tego znieść, prawda?

Tak, klasowe wytłumaczenie głodu znieczulało zarówno komunistów w ZSRR, jak i zagranicznych towarzyszy, którzy odwiedzali państwo Stalina.

W 1937 r. Weissberg sam padł ofiarą systemu – został fałszywie oskarżony o działania na rzecz kontrrewolucji. Przeszedł śledztwo, tortury. Jakie było racjonalne jądro wielkiego terroru?

Spośród kilkunastu teorii na ten temat za najtrafniejszą uważam tę, którą nazwano „Izraelitami na pustyni". Chodziło o kompletną wymianę społecznych elit. Część Izraelitów idących przez pustynię do Ziemi Obiecanej nie dożyła końca wędrówki. Ci, którzy doszli, urodzili się już w jej trakcie, byli ludźmi bez przeszłości. Ludzie nowych elit mieli nie pamiętać, jak było kiedyś. Można powiedzieć, że chodziło o stworzenie nowego człowieka. Czy Stalin był zdolny do aż tak diabelskiego planu? Tego nie wiem, niemniej w wyniku społecznego eksperymentu pod jego rządami unicestwiono miliony.

Weissberg doznał rozczarowania, ale nie stał się wojującym antykomunistą jak jego znajomy, sławny pisarz i intelektualista Artur Koestler. Pozostał socjalistą. Dlaczego?

Już w chwili przyjazdu do ZSRR Weissberg był antystalinowcem. Rozgraniczał ideały komunizmu od praktyki stalinizmu. Okrucieństwa systemu były dla niego błędami i winą Stalina. Nie musiał wykonywać żadnej wolty. Swój komunizm po wojnie „rozcieńczył" – nie przyłączył się do antykomunistycznej krucjaty, został antystalinowskim socjalistą.

Na przełomie 1939 i 1940 r. wraz z ponad 350 uwięzionymi – komunistami i Żydami – Weissberg został „podarowany" przez Stalina hitlerowcom. Jakim cudem Żyd i komunista przekazany gestapo przeżył okupację?

Był bardzo odważny i był ryzykantem. Początkowo moja książka miała mieć tytuł „Ryzyk fizyk", bo przeżyć pomogły mu ryzykanctwo i nieprawdopodobny wręcz talent do robienia pieniędzy. Umiał zjednywać sobie ludzi, także hitlerowców, których korumpował. Pieniądze, które zarabiał na różnych interesach – m.in. sprowadzaniu z Rumunii słomy ryżowej do wyrabiania pędzli czy sprzedawaniu nieistniejącej papy dachowej – pomogły przeżyć i jemu, i wielu innym ludziom.

Był też zapalonym hazardzistą – przegrywał fortuny, by za chwilę mieć kolejne. Zarobienie dużej sumy pieniędzy nie sprawiało mu trudności. Umiał wykorzystać chaos okupacji, w tym skorumpowanie hitlerowskiej administracji.

Nie podejrzewano go o kolaborację?

Owszem. Borykał się z tymi oskarżeniami, a przede wszystkim podejrzliwością ze strony nawet najbliższych przyjaciół. No ale nie tylko jego po wojnie pytano: „Jak przeżyłeś, skoro inni nie przeżyli?".

Czy właśnie dlatego Weissberg tak mało opowiadał o okupacji hitlerowskiej, a tak dużo napisał o systemie radzieckim?

Obawiał się oskarżeń o kolaborację. Pieniądze zarabiał niewątpliwie na różnych machlojkach z Niemcami, a przede wszystkim Austriakami w służbie Hitlera.

Korupcja czy jakieś machloje w warunkach okupacji, które służyły ratowaniu siebie czy innych, to przecież samo dobro.

Jego przyjaciółka, opowiadając o różnych „przygodach" Weissberga w czasie okupacji, mówiła, że on po prostu odebrał hitlerowcom trochę dóbr, które im się i tak nie należały. Sam Weissberg zawsze powtarzał, że potrzebował pieniędzy, żeby przeżyć – i przeżył w sposób nietypowy. Nigdy nie ukrywał się w żadnej szafie, nie opłacał się szmalcownikom. Dzięki pieniądzom i swoim talentom zdołał uniknąć potwornych upokorzeń. No i sprzyjał mu los, bez tego by się nie uratował.



Irena Grudzińska-Gross, historyczka literatury, uczestniczka studenckich protestów 1968 r. na Uniwersytecie Warszawskim, represjonowana. Emerytowana profesorka Uniwersytetu Princeton i PAN. Autorka książek, m.in. „Miłosz i długi cień wojny", „Miłosz i Brodski. Pole magnetyczne", „Piętno rewolucji. Custine, Tocqueville, Mickiewicz i wyobraźnia romantyczna", a także „Złotych żniw" (wspólnie z Janem Tomaszem Grossem).

Dodajmy jeszcze, że pieniądze, które umiał szybko zarobić, służyły m.in. przerzucaniu Żydów do Szwajcarii i na Węgry. W pewnym momencie Weissberga aresztowało gestapo i znowu, trochę cudem, a trochę dzięki osobistej magii, zjednał sobie jakiegoś biurokratę, Austriaka, dzięki czemu zdołał uciec z Pawiaka. Brawurowy wyczyn, wydający się niemożliwy, prawda?

Absolutnie. Wielokrotnie uratował go chyba jego piękny wiedeński akcent.

Rysy osobowości, które pozwoliły mu przeżyć okupację, dały o sobie znać w interesach powojennych. Sugeruje pani, że był w nim także rys cynizmu, a przykładem – sprzedawanie silników samolotowych Hiszpanii pod rządami gen. Franco.

To była jedyna rzecz, której naprawdę się wstydził – napisał o tym wprost, w liście do Koestlera.

Da się pogodzić sprzeczności, z jakich się składał? Idealista a zarazem… nie chcę używać słów brzmiących jak osądy.

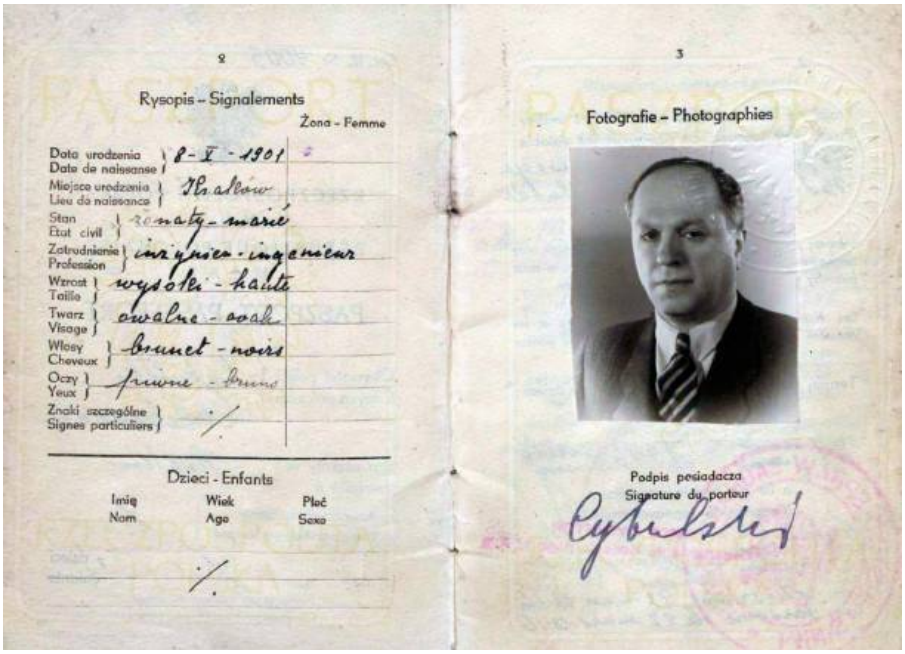
Był to człowiek wielkich sprzeczności i talentów – a najprawdziwszy był ten do zarabiania pieniędzy. Był synem kupca winnego, a wykształcenie inżyniera fizyka miało mu zapewnić przejście do innej kategorii społecznej. Do tego doszedł komunizm. Droga, jaką wybrał, pozostawała w konflikcie z jego umiejętnościami. Talent przedsiębiorcy był w jego młodości, jak sam mówił, ograniczany przez ideały, w które wierzył.

A zarazem bez tego talentu nie przetrwałby nie tylko pod okupacją hitlerowską, ale i wcześniej, w Związku Radzieckim. W Charkowie, gdzie brakowało podstawowych towarów, gdzie trudno było nawet o jedzenie, zorganizował wielkie laboratorium fizyki.

W jakimś stopniu odczuwał niechęć do czynności służących zarabianiu pieniędzy. Darzył estymą drogę życiową człowieka nauki, intelektualisty. Jednak od momentu, w którym znalazł się w stalinowskim więzieniu, przestał być fizykiem i nigdy do fizyki nie wrócił.

W książce pojawiają się zastępy ludzi, którzy przewinęli się w życiu Weissberga, także przyszłe sławy. Wymienię trzech: pisarza Artura Koestlera, twórcę bomby jądrowej Roberta Oppenheimera i przyszłego kanclerza Austrii Bruna Kreisky'ego.

eprasa.pl 6f22740c7b



Polski paszport wydany Aleksandrowi Weissbergowi w 1946 r.

W jaki sposób Weissberg odwiódł Oppenheimera od komunizmu?

Weissberg sprowadził do swojego laboratorium w Charkowie wielu wybitnych fizyków. Szybko wyjechali, przeraził ich wielki terror. Podczas wojny jeden z nich pracował z Oppenheimerem przy Projekcie Manhattan, który doprowadził do skonstruowania pierwszej bomby jądrowej. Ale jeszcze w 1938 r. ów fizyk spotkał się z Oppenheimerem i opowiedział mu o losach Weissberga, który – jak się wtedy zdawało – został już pochłonięty przez wielką czystkę. Po zapoznaniu się z losami oskarżonego wówczas Weissberga Oppenheimer porzucił zamiar wstąpienia do partii komunistycznej. Gdyby wstąpił, być może historia świata potoczyłaby się inaczej.

Kreśli też pani dziesiątki mikrobiografii, sylwetek, portretów zarówno ofiar wielkiego terroru, jak i oprawców – wielu z nich stało się również ofiarami machiny, której byli trybikami. To samo dotyczy ludzi mających styczność z Weissbergiem pod okupacją hitlerowską, których pochłonęła Zagłada, wojna. Zazwyczaj są to postaci nieodgrywające historycznej roli. Widzę w tym pewną metodę, a może nawet misję – ocalenia okruchów, świadectw o ludziach, których pochłonęła hekatomba.

Zależało mi na pokazaniu życia mojego bohatera, a także tła, środowiska, którego był częścią – lewicowej środkowo-europejskiej inteligencji, często żydowskiej – i jej wyborów historycznych.

Sporo miejsca poświęca pani m.in. oficerom śledczym NKWD, którzy przesłuchiwali Weissberga.

Bo to byli w pewnym sensie ludzie podobni do niego, w jego wieku, także z żydowskich rodzin. Wielu pochodziło z tzw. strefy osiedlenia, okolic m.in. Białegostoku, gdzie w latach pierwszej wojny światowej i po niej dochodziło do dziesiątków pogromów. Ci ludzie asymilowali się i modernizowali przez rewolucję, przez komunizm – podobnie jak Weissberg. Być może gdyby przesłuchujący go oficer urodził się w Wiedniu, a Weissberg w Białymstoku, spotkaliby się w sali przesłuchań w odwróconych rolach.

Weissberg przeżył powstanie warszawskie. Tuż po wojnie ożenił się z Zofią Cybulską, eksmałżonką znanego przedwojennego aktora Mieczysława Cybulskiego, która pomagała mu się ukrywać w czasie okupacji. Ale nie zdecydował się zostać w Polsce. Mimo że urodzony w Krakowie, nie czuł związku z tym krajem?

Postanowił zostać w Polsce na kilka lat, żeby zrobić pieniądze.

Wrócił do kupiectwa?

Tak. W powojennej Polsce rządził chaos, a Weissberg wiedział, że w chaosie zarabia się najlepiej. Nie przyjął proponowanego mu stanowiska w handlu zagranicznym – i zaczął zarabiać na imporcie kory drzewa korkowego. Ale jego firma Hanzag rozprowadzała korek z naruszeniem przepisów i po innej cenie niż zgłoszona oficjalnie. Weissberga oskarżono o oszustwo, szczęśliwie przebywał w Szwecji i już do Polski nie wrócił – groziło mu więzienie. Nie sądzę jednak, by miał zamiar zostać w Polsce, nawet gdyby nie musiał uciekać przed prawem. Marzył o powrocie do Wiednia.

Czy „Wielka czystka", którą wydał w 1951 r. i która przyniosła mu później sławę – stawiano ją obok m.in. dzieła Sołżenicyna – była sukcesem wydawniczym?

Prestiżowym – tak, komercyjnym – nie. Książka nie trafiła w dobry czas, było już w obiegu parę innych prac o wielkim terrorze. Najsłynniejsza wówczas była powieść Koestlera „Ciemność w południe". Koestler bardzo zresztą nalegał na Weissberga, żeby spisał swoją opowieść, a gdy Weissberg już pisał – męczył go, żeby dzieło ukończył.

Na czym polega wyjątkowość bądź odmienność „Wielkiej czystki"?

Większość książek o wielkim terrorze została napisana przez narratorów „czujących". Dzieło Weissberga było napisane przez człowieka o umyśle naukowca i o nieprawdopodobnie wręcz drobiazgowej pamięci. Dał precyzyjną, chłodną analizę.

Skąd tytuł książki o nim „Wielka karuzela"?

Jest aluzją do tytułu „Wielka czystka". I metaforą niestabilności, płynności w życiu Weissberga. Obecne jest tu też skojarzenie z karuzelą przy murze płonącego getta, o której pisał Czesław Miłosz w wierszu „Campo di Fiori". Postaci Weissberga towarzyszy światłocień: był to z jednej strony ktoś bardzo odważny, kto pomógł wielu ludziom, a jednocześnie ktoś, kto miał swoją ciemną stronę.

Po wojnie nie umiał znaleźć sobie miejsca. Mieszkał w Polsce, Szwecji, Anglii, w końcu we Francji, gdzie przyjaźnił się z ludźmi „Kultury". Zmarł w Paryżu w 1964 r. Cały powojenny czas ciągle podróżował. Ostatni rozdział nosi tytuł „Niezadomowienie". A może – tak jak dla Róży Luxemburg – jego domem był cały świat?

Bardzo bym chciała coś takiego o nim powiedzieć. Ale Weissberg nie miał domu. Zamierzał wrócić do Wiednia, co roku jeździł do Austrii na wakacje. Po wojnie to już nie było to samo miasto. Nie było nikogo, z kim dorastał, nie było nikogo, z kim się w młodości przyjaźnił. Nie miał dokąd wrócić. Jego życiowa wędrówka była odyseją bez Itaki.

ROZMAWIAŁ ARTUR DOMOSŁAWSKI

© BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, DP

eprasa.pl 6f22740c7b

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)



film

Rewolucja nie odpuszcza 5/6

Jedna bitwa po drugiej (One Battle After Another), reż. Paul Thomas Anderson, prod. USA, 161 min, w kinach od 26 września

Nowe dzieło Paula Thomasa Andersona („Aż poleje się krew", „Magnolia", „Mistrz") to absurdalna satyra. Przynosi równie bezkompromisowy komentarz na temat polaryzacji, napięć i dezorientacji amerykańskiego społeczeństwa co wyświetlany w kinach „Eddington". Oba te pozornie chaotyczne i zrealizowane z rozmachem widowiska są odpowiedzią na wzmożenie rasistowskich nastrojów. Ponurymi wizjami zmierzającej ku prawicowej dyktaturze demokracji, ocierającymi się o szaleństwo nie tylko z racji trawionych paranoją bohaterów. Są wysokobudżetowymi filmami (jeden to pastisz westernu, drugi – kina akcji), ale nakręconymi jakby w psychodelicznym amoku.

W „Jednej bitwie po drugiej" na pierwszym planie wybija się gwiazdorski duet – **Leonardo DiCaprio** w roli średnio rozgarniętego członka lewackiej bojówki stającej w obronie meksykańskich imigrantów oraz Sean Penn jako pułkownik rasista – główna rozgrywka toczy się wokół dwóch pokoleń kobiet. Czarnoskórej liderki realizującej idee wolności pod sztandarem „cipka to pierdolona broń" i porzuconej przez nią córki wychowywanej w duchu równości i emancypacji przez przybranego ojca. Ku Klux Klan kryje się u Andersona pod groteskowym hasłem Klub Gwiazdkowych Awanturników, a na walczącą o prawa czarnej mniejszości Partię Czarnych Panter mówi się French 75. Co jest o tyle usprawiedliwione, że „Jedna bitwa po drugiej" stanowi luźną ekranizację wydanej w 1990 r. powieści Thomasa Pynchona „Vineland" rozliczającej buntowniczą epokę dzieci kwiatów. W filmie pokłosie tamtej rewolty zostaje rozciągnięte na kilka pokoleń naprzód – tak, aby została objęta również współczesność, zgodnie z wypowiadaną w filmie dewizą: „Czas nie istnieje, ale i tak ma na nas decydujący wpływ". Zamiast nostalgii za przeszłością film staje się wnikliwą analizą ciągłości pewnych amerykańskich problemów, dowodząc, że niestabilność i degeneracja, które Pynchon opisywał, są nadal obecne.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Dom bardzo zły 4/6

Zamach na papieża, reż. Władysław Pasikowski, prod. Polska, 116 min, w kinach od 26 września



film

Polska kinematografia może być dumna, że ma kogoś takiego jak Władysław Pasikowski. Jako jeden z niewielu potrafi sensownie dostosować formułę hollywoodzkiego kina sensacyjnego do krajowych realiów i nie zgubić prawdy w gąszczu możliwych atrakcji. „Zamach na papieża" też ma formułę rasowego thrillera i podobnie jak „Psy", „Pokłosie" czy „Jack Strong" niesie prowokacyjną odpowiedź na głęboko dzielące Polaków sprawy dotyczące postaw i wartości. Już sam życiorys Konstantego Brusickiego zwanego „Bruno", w którego wcielił się **Bogusław Linda**, wydaje się dowodem na to, jak płytko jest postrzegany u nas temat uwikłania w peerelowskie służby, nie mówiąc o naiwnym stosunku do kleru i nierozliczaniu pedofilów w sutannach. Chociaż fabuła kręci się wokół organizacji zamachu na papieża, kto wie, czy nie bardziej mrożą krew w żyłach stopniowe odsłony przeszłości „Bruno" i jej dramatycznych konsekwencji: dzieciństwo naznaczone tragedią, niejasna rola w wojnie sześciodniowej, ucieczka żony i córki w 1968 r., bycie cynglem na usługach generałów. To uświadamia, jak złożone i pozornie niemoralne mogą być wybory człowieka skrzywdzonego, oszukanego przez system, szantażowanego przez przełożonych. Nostalgiczno-brutalna rozrywka z całą gamą niesamowitych kreacji aktorskich (także w drugim tle, gdzie błyszczą m.in. Adam Woronowicz, Zbigniew Zamachowski i Karolina Gruszka), w której mistrzowski duet Linda–Pasikowski zawsze potrafi zaskakiwać. JW

© ALAMY/BE&W, MATERIAŁY PRASOWE (2), KAROLINA JÓŹWIAK, PATMIC

eprasa.pl 6f22740c7b

film

W pułapce 4/6

Exit 8, reż. Genki Kawamura, prod. Japonia, 95 min, w kinach od 26 września

Bezimienny bohater „Exit 8" (**Kazunari Ninomiya**) trafił do miejsca rodem z koszmarnego snu. Przemierza wciąż te same korytarze metra, szukając wyjścia numer 8, lecz nieustannie wraca do punktu zero. Szybko się orientuje, że podziemnym światem rządzi jedna zasada – mężczyzna musi szukać anomalii. Gdy wszystko jest w porządku, idzie dalej. Jeśli coś jest nie tak – a to może być dowolne zaburzenie rzeczywistości, od klamki umieszczonej w złym miejscu po nagły atak zmutowanych szczurów – musi zawrócić. Tylko tak znajdzie drogę do wyjścia. Ten bezczelnie prosty pomysł najpierw był scenariuszem popularnej gry wideo, ale sprawdził się również na ekranie. Genki Kawamura z powodzeniem skopiował klaustrofobiczny klimat gry, budując napięcie za pomocą dźwięków, umiejętnie wykorzystanych liminalnych przestrzeni, narastającego poczucia zagrożenia, które udziela się także widzom. Dopisany w filmowym scenariuszu wątek psychologiczny – bohater właśnie się dowiedział, że jego była partnerka spodziewa się ich dziecka – zamienia na dodatek „Exit 8" w metaforę poczucia winy i odpowiedzialności. Chwilami zbyt dosłowną i przyciężkawą, bo i bez niej ta fabuła sprawdziłaby się jako złowieszcze odbicie absurdów codzienności i rutyny. W każdym razie po seansie stacje metra i dworce kolejowe nie będą się wydawać takie same.

JAKUB DEMIAŃCZUK



scena



Krzyżacka zawierucha 4/6

Henryk Sienkiewicz, **Krzyżacy**, reż. Jan Klata, Teatr im. Jaracza w Olsztynie

Na pustej scenie grupka w srebrnych błyszczących puchówkach i takichż czapo-hełmach podryguje w rytm kreskówkowej melodii. Po chwili przebija się przez nią dźwięk syreny – godzina W wybiła i pocieszni rycerze rekonstruktorzy, przywołujący skojarzenie z niedawnymi samozwańczymi obrońcami naszej zachodniej granicy, będą musieli się zmierzyć z prawdziwą wojną. Pierwsza scena olsztyńskich „Krzyżaków" ustawia całość. Jan Klata jak zwykle jest ironiczny: bitwa pod Grunwaldem przypomina kibolską ustawkę, aktorzy wcielający się w krzyżackich rycerzy mówią po polsku z niemieckim akcentem, a Zbyszko z Bogdańca (Maciej Cymorek) rwie się do wojny z krzyżakami, gdy akurat trwa najazd ze wschodu (Tatarów). Jednak trzon opowieści traktuje z powagą – znów jesteśmy w „okresie przedwojennym", prószący stale śnieg może być nawiązaniem do zwiastującego wojnę i czasy ostateczne „Winter is Coming" z „Gry o tron". Krzyżacy z klasycznego dzieła Sienkiewicza „ku pokrzepieniu serc" są symbolem niemieckiej agresji przez wieki: polscy rycerze śpiewają „Rotę", na projekcjach wideo Wehrmacht forsuje granicę w 1939 r. Pokazując, jak silnie funkcjonuje w naszej zbiorowej pamięci utożsamienie krzyżaka/Niemca z wrogiem, twórcy wydają się zwracać uwagę na brak równie mocnych obrazów i symboli w przypadku wroga ze wschodu. Dziś skutkiem jest rozlewanie się antyukraińskiej propagandy, a w przyszłości?

ANETA KYZIOŁ

scena

Kij, drążek, dildo 4/6

TEACH ME NOT!, koncepcja i choreografia Wojciech Grudziński, Nowy Teatr w Warszawie

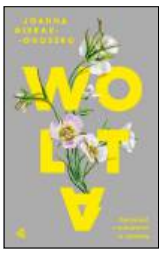
Performerzy **Wojciech Grudziński** i Maria Magdalena Kozłowska, nadzy w różowych maskach przypominających Plastusia, plastelinowego stworka ulepionego przez pierwszoklasistkę Tosię z książek Marii Kownackiej, tworzą spektakl o systemie edukacji. O rozwijaniu się i stawaniu sobą, z pomocą nauczyciela i w kontrze do niego. Punkt wyjścia, jak zwykle w twórczości Grudzińskiego, jest autobiograficzny. Ubiegłoroczny laureat Paszportu POLITYKI, podobnie jak w transowym „Threesome / Trzy", sięga do czasów swojej edukacji, tym razem – studiów w Rotterdamie. Dekadę po ich ukończeniu zaprosił swojego ówczesnego nauczyciela do projektu, w którym chciał zbadać ich relację. Spotkał się z odmową i „TEACH ME NOT!" jest jej efektem, jednak nie jest to akt zemsty ani historia o ojcobójstwie. Raczej namysł nad narodzinami osoby twórczej, zdolnej do samodzielnego aktu kreatywnego, rozpisany na dwa ciała



w maskach (z czasem gumowe, plastyczne zmienią się w drewniane, twarde) i trzy pary drążków w różnych rozmiarach, które stają się kijami do bicia, dildo – symbolizującymi zarówno patriarchalną przemoc, jak i przyjemność – oraz baletowymi drążkami. Mimo prostej formy i silnego obnażającego światła, nic tu nie jest jednoznaczne. Ostatecznie kobieta i mężczyzna, którzy symbolizują też górną i dolną połowę ciała – powiedzmy, intelekt i pożądanie – stapiają się w jedno ciało: myślące, czujące, empatyczne i queerowe.

AK

eprasa.pl 6f22740c7b



Zebry i poniewierki 4/6

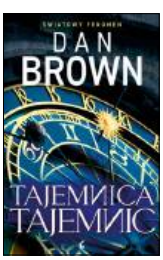
Joanna Gierak-Onoszko, **Wolta. Opowieść o kobietach w zmianie**, W.A.B., Warszawa 2025, s. 320

W tym wypadku teza o testującej umiejętności pisarskie drugiej książce chyba nie znajduje zastosowania. Joanna Gierak-Onoszko opublikowała przed laty wstrząsający reportaż rodem z Kanady, a „Wolta" to już zupełnie inna opowieść. Na poły reporterska, na poły filozoficzna, wyrosła z mocnej potrzeby nagłośnienia zebranych historii, wzmocnienia ich bohaterek i czytelniczek. Wszystkie te kobiety, autorki nie wyłączając, mają silny imperatyw działania, przetrwania na przekór wypadkom losu i rozmaitym „poniewierkom", jak jedna z nich eufemistycznie nazywa dramatyczne przeciwności i wyzwania. Natalia Wodyńska-Stosik, znana jako TriMama, po fatalnej diagnozie zdecydowała się ukończyć triathlon i nakłaniać innych do wstawania z kanapy. Kornelia



Westergaard porzuciła wielki biznes na rzecz przyrody, świętego spokoju i kuchni pięciu przemian. Nadzieja, córka Doroty Groyeckiej, długo czekała na właściwe rozpoznanie, rodzi się z dysforiami, choć w skali Apgar otrzymała 10/10 pkt. Jak objaśnia jedna z wypowiadających się w książce specjalistek, kiedy lekarz słyszy tętent, spodziewa się konia, a nie zebry – w tej książce jest wiele zebr. Bohaterek, które „wyszarpują" z życia, ile mogą. To też opowieść o systemie, który przeocza czasem istotne sygnały (mityczne „taka pani uroda" słyszane w gabinetach) albo premiuje mężczyzn. Ale i o wsparciu, które nadchodzi z niespodziewanych stron. Gierak-Onoszko ciągle szuka, niczym Rebecca Solnit, „nadziei w mroku". Ten reportaż momentami boli, ale ostatecznie krzepi.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

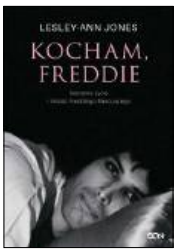


Nawrócony sceptyk 4/6

Dan Brown, **Tajemnica tajemnic**, Wydawnictwo Sonia Draga, Warszawa 2025, s. 712

Po kilkuletniej przerwie (autor tyle zarabia na swoich bestsellerach, że nie spieszy się z kolejnymi) powraca na rynek profesor Robert Langdon, ale odmieniony. Zaprzysięgły kawaler jest tym razem naprawdę zakochany, i to w kobiecie, która towarzyszyła mu już w innej książce („Zaginiony symbol"), profesor Katherine Salomon. Wcześniej był sceptykiem i materialistą, stopniowo poddaje się wpływowi ukochanej, która zajmuje się noetyką, a dokładniej możliwościami ludzkiego mózgu oraz świadomością, ze szczególnym uwzględnieniem „świadomości nielokalnej". Co to dokładnie znaczy i dlaczego książka, którą Katherine przygotowuje do wydania, zostaje wykradziona z wydawnictwa oraz co ma do tego CIA, dowiemy się z tej opowieści, która – jak zwykle u Browna – stanowi istny rollercoaster pędzący tym razem przez piękną Pragę. A jak Praga, to oczywiście jest też Golem. I sama nazwa miasta jest znacząca, bo prowadzona tu tajemnicza i gigantyczna operacja amerykańskich służb nosi kryptonim Próg. To źródłosłów nazwy Praga, ale symbolizuje też całkiem coś innego. Brown twierdzi, że to jego najambitniejsza książka; trudno się zgodzić, widząc naiwność głoszonych tu teorii, w które najwyraźniej sam uwierzył. Ale może mówi tak dla reklamy? W każdym razie już wiadomo, że Netflix nakręci na tej podstawie serial.

DOROTA SZWARCMAN



Pachnie skandalem 2/6

Lesley-Ann Jones, **Kocham, Freddie. Sekretne życie i miłość Freddiego Mercury'ego**, przeł. Robert Filipowski, SQN, Kraków 2025, s. 368

O sensacyjnej książce o życiu Freddiego Mercury'ego, ujawniającej jego tajne, pisane latami dzienniki i utrzymaną w sekrecie córkę, słychać było od dawna. A części niedowiarków zamykał usta fakt, że napisała ją szanowana autorka biografii Lesley-Ann Jones. Są tu jednak problemy, i to piętrowe. Najpierw zdajemy sobie sprawę, że istnienie „B" (tak opisywana jest córka, rzekomo urodzona w 1977 r. z przelotnego związku) nie zostało potwierdzone ani nawet uprawdopodobnione przez bliskich Freddiemu żyjących ludzi (w tym Mary Austin, jego wieloletnią partnerkę, oraz Briana Maya). Po drugie, Jones nie daje dowodów na istnienie dzienników: ich treść jest tu tylko relacjonowana przez córkę, której rzekomo zostały powierzone, nie ma reprodukcji stron ani nieznanych zdjęć z archiwum „B". Możemy tylko wierzyć na słowo biografce, która twierdzi, że dzienniki widziała. Po trzecie, córka zdaje się dodawać coś od siebie: wyraźnie wchodzi w głowę nieżyjącego od lat ojca, bywa, że przeczy sama sobie – gdy np. opisuje rodziców Freddiego, niby nieświadomych, że był nieszczęśliwy i gwałcony w szkole św. Piotra, a potem mających wyrzuty sumienia za to, jaką edukację mu zgotowali. Muzyka schodzi na dalszy plan – dla „B" najistotniejsze jest życie prywatne: to, że frontman Queen był bi-, a nie homoseksualistą, dobrym ojcem, a z Mary Austin pozostał w nieformalnym związku do końca itd. Autorka przekazuje te wyznania bezkrytycznie, nie konfrontując ich z aktualnymi komentarzami żyjących. W najgorszym razie jest to zatem książka kompletnie niewiarygodna, a w najlepszym – jednostronna.

BARTEK CHACIŃSKI

© MATERIAŁY PRASOWE (6), MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, MARCO BORGGREVE

eprasa.pl 6f22740c7b

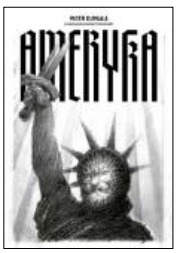
komiks

Sypnęło arcydziełami

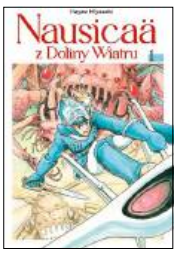
Sport, przyjaźń, nudna codzienność małego miasteczka na początku nowego wieku: w **„Sezonie spadających gwiazd” (Kultura Gniewu, 6/6) Marcin Podolec** zbudował z tych elementów historię o marzeniach, ambicjach i porażkach czasu dorastania. I to uniwersalną, ponadpokoleniową, nieprzeznaczoną wyłącznie dla tych, którzy zarywali noce, czekając na transmisje meczów NBA w telewizji. Krótkie, jednostronicowe epizody z życia szkolnej drużyny koszykówki układają się w całość mądrą, zabawną, a przede wszystkim wzruszającą: Podolec po raz kolejny udowodnił, że jest artystą o wielkiej wrażliwości – także wizualnej, tu świadomie nawiązuje m.in. do estetyki „Fistaszków” Charlesa Schulza. Za lekką i z pozoru prostą formułą kryje się jeden z najlepszych polskich komiksów ostatnich lat.



W **„Ameryce” (Nagle Comics, 5/6) Piotr Dumała** po raz kolejny mierzy się z twórczością Franza Kafki, któremu przed laty poświęcił znakomitą, krótkometrażową animację. Zresztą adaptacja niedokończonej powieści też miała być filmem, ostatecznie jednak scenariusz i przygotowane na jego podstawie storyboardy artysta – z pomocą Krzysztofa Ostrowskiego – zamienił w komiksowy album. Śladem literackiego oryginału prowadzi swojego bohatera, 16-letniego Karla Rossmanna, przez świat pełen groteskowych postaci i niebezpieczeństw. „Ameryka” ma duszną, oniryczną atmosferę mrocznej fantazji. Teksty Kafki były wielokrotnie przekładane na język komiksu, jednak album Dumały to jedna z najciekawszych prób w tym zakresie.



To była jedna z największych zaległości na polskim rynku komiksowym. **„Nausicaä z Doliny Wiatru” (przeł. Paulina Ślusarczyk-Bryła, Studio JG, 6/6)**, legendarna manga Hayao Miyazakiego, powstała na początku lat 80., gdy autor był już uznanym animatorem, lecz jeszcze przed największymi sukcesami. Historia tytułowej księżniczki żyjącej w świecie spustoszonym przez katastrofę ekologiczną była w równej mierze inspirowana japońską mitologią, klasyką fantastyki (od Asimova po Le Guin), jak i komiksami Moebiusa, a zarazem ugruntowała pozycję Miyazakiego jako twórcy wybitnego. A zrealizowana przez niego samego ekranizacja komiksu okazała się wstępem do narodzin studia Ghibli i otworzyła nowy rozdział w historii światowej popkultury. W Polsce ukazały się na razie dwa z siedmiu tomów. Całość jest godna najwyższej uwagi.



JAKUB DEMIAŃCZUK

galeria

Tropem duszy 4/6

Marta Nadolle, mam(Y) kompleksy, Galeria LETO, Warszawa, do 31 października

Zdecydowana większość z blisko 50 wystaw z okazji Warsaw Gallery Weekend potrwa znacznie dłużej niż weekend. Warto więc zajrzeć do programu, tym bardziej że aż puchnie od nazwisk herosów polskiej sztuki, jak Magdalena Abakanowicz, Alina Szapocznikow, Wojciech Fangor czy Stefan Gierowski. Ze sporej grupy prezentowanych na WGW laureatów Paszportów POLITYKI (m.in. Mirosław Bałka, Leon Tarasewicz, Agata Słowak) wybrałem wystawę **Marty Nadolle**. Swój zmysł obserwacji socjologicznej i psychologicznej artystka wykorzystała tym razem do opowieści o jej (naszych) kompleksach, traumach, lękach, ale i nadziejach. Czasami zbyt bliskich, by je dostrzec i nazwać. Wyniesionych z dzieciństwa, ale też tych utrwalonych w dorosłości w relacjach z zewnętrznym światem. Blokujących, ale i motywujących. Jest w tych pracach – jak zwykle u niej – przenikliwość, lapidarność, autoironia, a nawet odwaga. Jest też nowa forma. Tradycyjnie nieduże formaty wyraźnie urosły, a nawet nabrały trzeciego wymiaru w malarskich instalacjach czy doklejanych do płócien elementach z papieru. Jest i ciekawostka, której nie mogę pominąć: obraz, którego tematem jest otrzymany przez artystkę Paszport. „Syntetyzuje codzienność tak, by okazała się uniwersalna” – napisała o jej najnowszych pracach Katarzyna Kasia. Nic dodać.



PIOTR SARZYŃSKI

festiwal

Dźwięki wielkomiejskie

15. Szalone Dni Muzyki, Warszawa, Teatr Wielki - Opera Narodowa, 26–28 września

W tym roku festiwal Szalone Dni Muzyki odbiera „Wibracje miast”. Wybierzemy się do Paryża czasów międzywojnia (Ravel, jazz), do Londynu, gdzie w XVIII w. powstała nowoczesna forma koncertu, do Wenecji Vivaldiego, ale też Monteverdiego i… Mikołaja Zieleńskiego, który inspirował się muzyką chóralną z katedry św. Marka; do Wiednia, Pragi, Nowego Jorku, a nawet Aleppo. Także do polskich miast, jak Kraków i Katowice. Pojawią się pianiści **Momo Kodama** (jurorka w najbliższym Konkursie Chopinowskim), Jean-Frédéric Neuburger i Martín García García (III nagroda na ostatnim Konkursie Chopinowskim), wybitny klawesynista Pierre Hantaï, flecistka Ania Karpowicz (laureatka Paszportu POLITYKI). Poza Sinfonią Varsovią, Orkiestrą Teatru Wielkiego – Opery Narodowej i orkiestrą Filharmonii Narodowej wystąpi dziewięć zespołów symfonicznych z krajowych szkół muzycznych. Muzykę dawną reprezentują Capella Cracoviensis i Arte dei Suonatori, a jazz – m.in. Chopin University Big Band. Będzie też dużo świetnej kameralistyki, no i oczywiście jeden z najważniejszych wątków – Smykofonia i koncerty familijne dla różnych grup wiekowych.



DOROTA SZWARCMAN

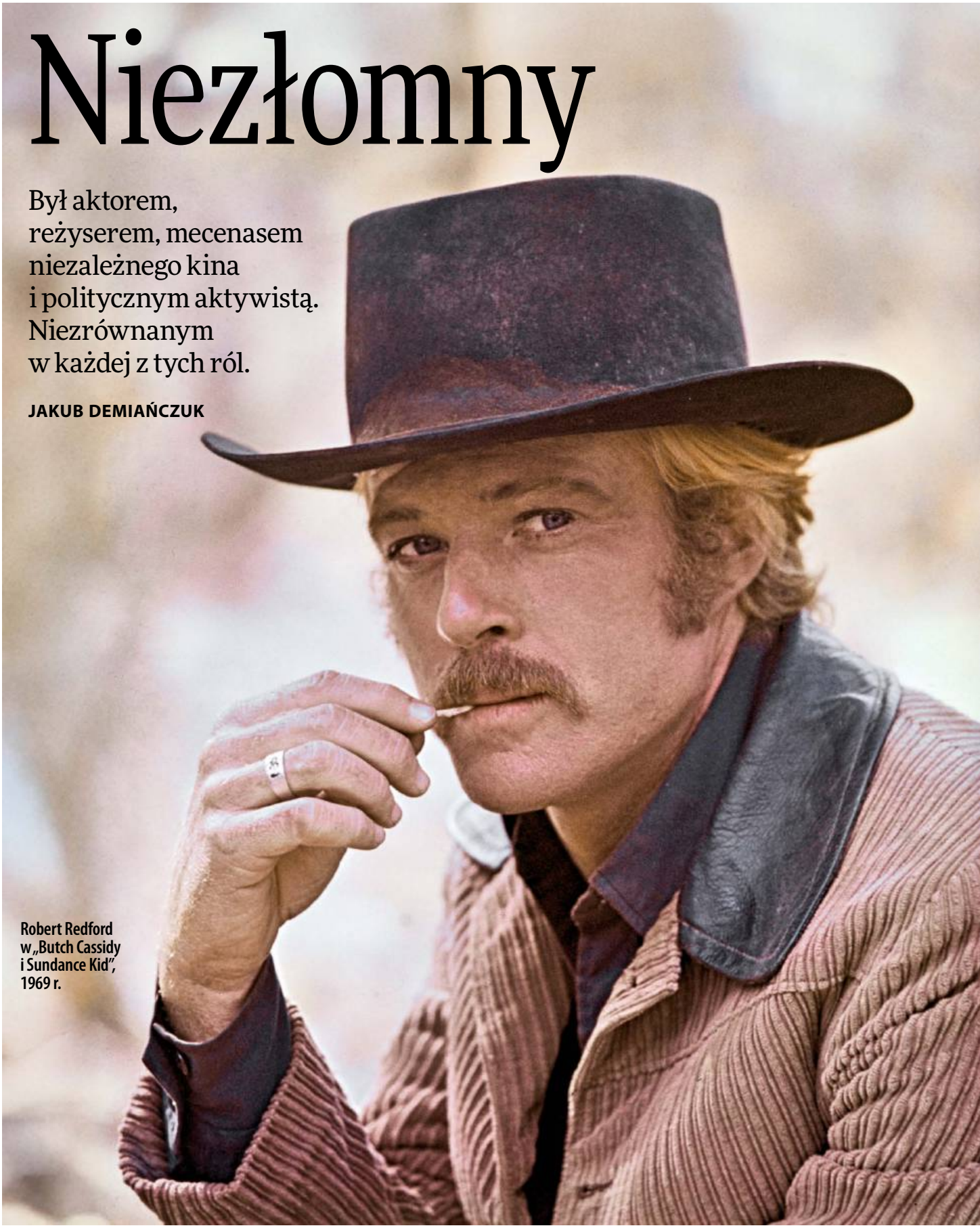
Szczegóły: szalonednimuzyki.pl

eprasa.pl 6f22740c7b

Niezłomny

Był aktorem, reżyserem, mecenasem niezależnego kina i politycznym aktywistą. Niezrównanym w każdej z tych ról.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Robert Redford w „Butch Cassidy i Sundance Kid", 1969 r.

eprasa.pl 6f22740c7b

Robert Redford zostawił po sobie coś więcej niż aktorski i reżyserski dorobek. Owszem, nagradzanych ról i niezapomnianych filmów w jego karierze nie brakowało. Mamy w pamięci jego nieprzemijający chłopięcy wdzięk, wspaniałe ekranowe duety z Paulem Newmanem, Barbrą Streisand, Meryl Streep, olbrzymi wachlarz aktorskich możliwości: od komedii romantycznych, poprzez dramaty polityczne, po kino czysto rozrywkowe, do którego zawsze wnosił specyficzną mieszankę powagi i ironii.

Jednak Redford był nie tylko jednym z czołowych hollywoodzkich gwiazdorów, lecz również człowiekiem, który odmienił amerykańskie kino. Na stworzonym przez niego festiwalu Sundance, odbywającym się co roku w styczniu największym święcie niezależnych filmowców, pierwsze sukcesy odnosili tacy artyści jak Jim Jarmusch, Quentin Tarantino czy Paul Thomas Anderson. Był zaangażowanym aktywistą, takim, który nie tylko mówił o ideach, lecz także wprowadzał je w czyn.

Nawrócony na kino

„To najbardziej nieugięty aktor, jakiego znam. Jest wierny swoim zasadom, nawet gdy wszyscy wokół rezygnują z własnych. Nie można go kupić sławą. Prędzej umrze z głodu, niż ulegnie presji", mówiła Natalie Wood, z którą zaprzyjaźnił się na planie dramatu „Ciemna strona sławy" (1965 r.). Od młodzieńczych lat Redford niechętnie naginał się do narzucanych mu reguł. Nie znosił szkolnej dyscypliny, kwestionował dogmaty narzucane przez religię (bliską jego rodzinie, której przodkowie przybyli do Stanów Zjednoczonych z Irlandii i Szkocji), nie miał w sobie zgody na tradycyjne społeczne podziały. „Instynktownie czułem, że ważny jest człowiek, a nie to, co ma na sobie. Nie dbałem o pozory. Za to doceniałem w ludziach poczucie humoru i wszelkie inne przejawy oryginalności" – wspominał w biografii spisanej przez Michaela Callana.

Jako młody człowiek nie potrafił znaleźć sobie miejsca, zmieniał szkoły, na jakiś czas wyjechał do Europy, gdzie jeszcze mocniej wykuwały się jego polityczne poglądy (brał m.in. udział w protestach studentów przeciwko inwazji Sowietów na Węgry w 1956 r., za co został pobity przez paryską policję). Wreszcie trafił do nowojorskiej American Academy of Dramatic Arts. „Nie mógł wybrać dla siebie gorszej szkoły teatralnej" – notuje biograf aktora. Placówka kształciła bowiem w bardzo tradycyjnym, ostentacyjnie nienowoczesnym stylu, choć były to już czasy, w których Marlon Brando i James Dean wywracali koturnowe aktorstwo na nice.

Ale wtedy Redford jeszcze nie widział siebie w rolach filmowych. W rzeczywistości wcale nie chciał być aktorem, a jeśli już, to raczej w teatrze niż przed kamerą. Choć w dzieciństwie był zafascynowany kinem, później nie robiło już na nim większego wrażenia, wydawało mu się przesiąknięte fałszem. Dzięki studiom miłość jednak wróciła, w szczególności klasyczny już wówczas „Skarb Sierra Madre", z wybitną rolą Humphreya Bogarta, przekonał go, że film to kierunek, w którym należało podążać. Po drodze grał sporo na deskach teatralnych, występował w produkcjach telewizyjnych, wreszcie zadebiutował w dramacie „Wojenne polowanie", gdzie zagrał m.in. u boku Sydneya Pollacka, później wybitnego reżysera, z którym współpracował i przyjaźnił się przez długie lata.

Publiczność widziała w Redfordzie amanta i idola – jego popularność w latach 70. była tak olbrzymia, że budziła zazdrość kolegów po fachu. Podobno Warren Beatty nie zgodził się, by jego ówczesna partnerka Diane Keaton zagrała w „Elektrycznym jeźdźcu", bo nie chciał, by przed kamerą całowała się z Redfordem. On sam jednak nie był zainteresowany rolami, które jednoznacznie szufladkowałyby go jako ekranowego przystojniaka. „Nigdy nie uważałem siebie samego za faceta z klasą. Ten wizerunek pojawił się nagle. Może być prawdziwym utrudnieniem. To bzdura" – deklarował w rozmowie z dziennikiem „New York Times".

Jedyny słuszny wybór

Nieustająco szukał zadań, które wymagały od niego czegoś więcej. Już jako młodziutki aktor potrafił odrzucać nawet intratne propozycje, jeśli nie znajdował w nich nic dla siebie. Za rolę w serialu „Breaking Point", realizowanym na początku lat 60., oferowano mu 10 tys. dol. tygodniowo – prawie trzy razy więcej, niż zarabiali wtedy serialowi aktorzy. Choć z żoną tonęli



Z Dustinem Hoffmanem we „Wszystkich ludziach prezydenta", 1976 r.

w długach i marzyli o wybudowaniu domu w stanie Utah, odmówił, bo uznał, że jest za młody, by grać cenionego psychiatrę. Ekranowa prawda była dla niego ważniejsza niż pieniądze, chciał też zachować niezależność od stacji telewizyjnych.

Najlepiej czuł się w rolach ludzi niejednoznacznych, czasem złamanych, czasem zbuntowanych przeciwko społecznym normom, choć nawet gdy grywał wyjętych spod prawa, zachowywał na ekranie swój chłopięcy wdzięki i charyzmę: Sundance Kid w „Butchu Cassidym i Sundance Kidzie", Johnny Hooker w „Żądle" (w obu filmach partnerował mu fenomenalnie Paul Newman), traper Jeremiah Johnson, Sonny z „Elektrycznego jeźdźca": każdy na swój sposób rzucał wyzwanie obowiązującym hierarchiom i zasadom, każdy wierzył, że świat powinien – i może – być lepszy. Ta wiara znalazła także swoje odbicie w zaangażowanym kinie politycznym: w latach 70. Redford miał się stać jedną z jego najważniejszych twarzy. Role w „Trzech dniach kondora", dramacie „Tacy byliśmy", „Kandydacie" i – najważniejsza z nich wszystkich – we „Wszystkich ludziach prezydenta", gdzie zagrał Boba Woodwarda, dziennikarza „Washington Post", który wraz z Carlem Bernsteinem (Dustin Hoffman) rozpracowywał aferę Watergate. W pewnym sensie Redford przypomina charakterem swojego bohatera: człowieka, który nie bał się rzucić na głęboką wodę, bo wiedział, że robi to nie tylko dla sławy, lecz przede wszystkim dlatego, ▶

© MICHAEL OCHS ARCHIVES/GETTY IMAGES, BE&W

eprasa.pl 6f22740c7b

▶ że to jedyny słuszny wybór. Po latach mówił: „Zaskoczyło mnie, jak bardzo ten film jest wciąż aktualny, jak niewiele się zmieniło. Nie mamy już Nixona, ale mamy Trumpa".

Monarchia w przebraniu

„Podziwiałem go – za jego przyjaźń, żarliwą niezależność i sposób, w jaki wykorzystywał każdą dostępną mu platformę, aby uczynić świat lepszym i sprawiedliwszym dla innych", napisał Woodward po śmierci aktora. Dziennikarz przyznawał, że Redford odegrał istotną rolę w uświadamianiu Amerykanów na temat Watergate – to on był jedną z osób, które namawiały Woodwarda i Bernsteina do napisania reporterskiej książki o aferze (pierwsze wydanie „Wszystkich ludzi prezydenta" ukazało się jeszcze przed rezygnacją Nixona), a później kupił prawa do jej ekranizacji.

Redford zawsze był zaangażowanym aktywistą, zabierał głos w sprawach, które uważał za ważne, ale od słów często przechodził do czynów. Gdy zaczynał karierę, Stany Zjednoczone przechodziły przez burzliwy okres walki o prawa obywatelskie, punktowany szokującymi zabójstwami politycznymi: braci Kennedych, Martina Luthera Kinga, Malcolma X. Redford uważał, że to był czas, kiedy kraj zaczął na dobre pękać. Podczas pracy nad „Wszystkimi ludźmi prezydenta" usłyszał od jednej z waszyngtońskich lobbystek: „Masz sławę, a to znaczy, że masz władzę". Uwierzył wtedy, że może wykorzystać swoją popularność, zaczął rozmawiać z czołowymi senatorami, jednak jego kampania – protest przeciwko znanemu zwolennikowi gospodarki rabunkowej w górnictwie, który miał wejść w skład administracji prezydenta Forda – okazała się klęską. Redford na własnej skórze przekonał się, że polityka to gra pozorów, bardzo często oparta na kłamstwach. „Nie przypuszczałem, że tam jest aż tyle obłudy", wspominał. „Człowiek uświadamiał sobie, jaki ten system jest zawodny, ilu wymaga zabezpieczeń". Zraził się do polityki, ale zdobyte doświadczenia wykorzystał zarówno w pracy, m.in. na planie „Więźnia Brubakera", gdzie zagrał naczelnika próbującego zreformować owiane złą sławą więzienie, jak i w działalności aktywistycznej.

Bo Redford nie zamierzał spoczywać na laurach. Angażował się walkę o ocalenie spuścizny amerykańskich Indian, wspierał ruchy LGBT, a przede wszystkim niemal całe życie walczył o ochronę przyrody. Blisko współpracował z agencjami rządowymi, m.in. Funduszem Ochrony Środowiska, angażował się w kampanie edukacyjne, prowadził protesty, m.in. przeciwko budowie elektrowni w Utah, świadomy, że naraża się mieszkańcom potrzebującym nowych miejsc pracy. „Jesteśmy opiekunami Ziemi", mówił. Ale jego proekologiczna działalność nie zawsze szła w parze z praktyką. Bywał krytykowany za ciągłą rozbudowę swojej posiadłości w Utah – nazwał ją Sundance, na cześć jednej ze swoich najsłynniejszych ról – choć zazwyczaj starał się stosować rozwiązania przyjazne środowisku. Mimo że przez lata szukał ucieczki od miejskiego zgiełku, jego przedsięwzięcia zaczęły zmieniać spokojną okolicę w małe miasteczko, co budziło zrozumiałe oburzenie lokalnej społeczności.





W „Dżentelmenie z rewolwerem", 2018 r.
Powyżej: **z Meryl Streep w „Pożegnaniu z Afryką", 1985 r.**

Nawet gdy już pożegnał się z aktorstwem, pozostał aktywnym komentatorem politycznym. Gościnnie napisał kilka felietonów dla NBC News wymierzonych w politykę administracji Donalda Trumpa. Było to dla niego szczególnie istotne, bo kilka lat wcześniej Trump, wówczas kandydat na prezydenta, przechwalał się kilkoma ciepłymi zdaniami, jakie pod jego adresem skierował Redford (jak się później okazało, wyjętymi z kontekstu, jednak to Trumpowi nigdy specjalnie nie przeszkadzało). „To, co się dziś dzieje, jest tak niepokojące, że zamiast Stanów Zjednoczonych Ameryki możemy się definiować jako Podzielone Stany Ameryki. Przywódcom obu stron brakuje podstawowej odwagi, aby przekroczyć podziały polityczne w imię dobra Amerykanów", pisał w 2019 r. Redford, nazywając rządy Trumpa „monarchią w przebraniu". Krytykował sposób, w jaki administracja Trumpa reagowała na pandemię, oraz fakt, że USA wycofały się z Porozumienia paryskiego i zanegowały światową politykę klimatyczną.

Fantazja a rzeczywistość

Pod koniec lat 70. Redford poczuł, że aktorstwo przestało mu wystarczać. Postanowił stanąć za kamerą i już jego reżyserski debiut okazał się wielkim sukcesem: obyczajowy dramat „Zwyczajni ludzie" (1980 r.), opowieść o powolnym rozkładzie więzi rodzinnych, przyniósł mu jedynego Oscara w karierze (w 2002 r. dostał jeszcze statuetkę honorową). Ten triumf – choć Redford wspominał, że przyjął go dość obojętnie – zbiegł się w czasie z głęboką przemianą jego podejścia do kina. Wciąż grywał znakomite role: w „Urodzonym sportowcu", „Pożegnaniu z Afryką" czy komediowych „Orłach Temidy", lecz filmy z jego udziałem pojawiały się na ekranach rzadziej.

Chciał robić więcej. Nie tylko reżyserować, lecz także budować filmową społeczność. Jeszcze pod koniec lat 70. współtworzył Utah Film Festival, pierwowzór dzisiejszego festiwalu Sundance (oficjalnie nazwa została zmieniona w 1991 r.), jednej z najważniejszych imprez filmowych na świecie. Był współzałożycielem Sundance Institute, organizacji non profit wspierającej niezależnych amerykańskich filmowców. Na początku lat 80. w rozmowie

eprasa.pl 6f22740c7b

z legendarnym krytykiem filmowym Rogerem Ebertem Redford mówił: „Zaczynaliśmy bez żadnych konkretnych oczekiwań. Nie mam pojęcia, jak to się skończy. Wiem tylko, że coraz trudniej jest zapewnić filmowi dobrą dystrybucję w tym kraju, chyba że ma on potencjał, by zarobić miliony dolarów".

Sundance stał się synonimem amerykańskiego kina niezależnego: instytut wspierał początkujących filmowców, także dokumentalistów, a festiwal stał się miejscem, na którym swoje premiery miały takie filmy, jak „Wściekłe psy" Quentina Tarantino, „Przed wschodem słońca" Richarda Linklatera czy „Seks, kłamstwa i kasety wideo" Stevena Soderbergha. Redford okazał się nie tylko „niezłomnym aktorem" – jak niegdyś nazwała go Natalie Wood – lecz także niezłomnym mecenasem sztuki filmowej. I choć sam w ostatnich latach narzekał na komercjalizację festiwalu, Instytut Sundance wciąż trzyma się swojej założycielskiej idei pomocy w rozwoju artystów, którzy na innego rodzaju mecenat, zwłaszcza w dzisiejszych realiach, nie mieliby szans.

Ostatnie dekady jego kariery to pojedyncze celne strzały, a więcej filmów przeciętnych. Ale wciąż potrafił udźwignąć na swoich barkach film, czasami samodzielnie – w świetnym, niedocenionym thrillerze „Wszystko stracone" (2013 r.) o samotnym żeglarzu walczącym o przetrwanie jest jedynym aktorem, na dodatek wypowiada zaledwie kilkadziesiąt słów, a nie można oderwać od niego wzroku. W komiksowym „Kapitanie Ameryce: Zimowym żołnierzu" zagrał szpiega nazistowskiej organizacji Hydra, umiejętnie igrając ze swoim własnym wizerunkiem z thrillerów politycznych z lat 70. Nawet w komediach romantycznych nie udawał już amanta, lecz faceta pogodzonego z własną starością i perspektywą przemijania.

Ale krytykom to nie wystarczało, może dlatego, że – jak zauważył scenarzysta i dziennikarz Walter Kirn – „Bob już zawsze będzie nieskazitelnym trzydziestoletnim blondynem. Może czasem jakiś mądry krytyk zajrzy pod podszewkę, ale nawet ci najlepsi oczekują, że aktor dostosuje się do ideału. Oczekują ciągłości, bo nikt nie lubi, gdy fantazja przegrywa z rzeczywistością".

Wreszcie kilka lat temu Redford ogłosił aktorską emeryturę. Ostatnią główną rolę zagrał w komediodramacie „Dżentelmen z rewolwerem" (2018 r.) Davida Lowery'ego, opartej na faktach historii szarmanckiego kryminalisty, tak bliskiemu postaciom, które Redford grywał pół wieku wcześniej.

Po jego śmierci Jane Fonda, z którą wystąpił w kilku filmach, przyjaźnił się, lecz czasami także mocno spierał, napisała: „Bob robił różnicę w najlepszym znaczeniu. Reprezentował Amerykę, o której ocalenie musimy dziś walczyć. Zrewolucjonizował niezależne kino i sprawił, że zakochaliśmy się w tak wielu filmach". Jego odejście okazało się także symboliczną granicą dla stworzonego przez niego festiwalu: w przyszłym roku Sundance po raz ostatni odbędzie się w jego ukochanym stanie Utah, od 2027 r. impreza przenosi się do miasteczka Boulder w stanie Colorado.

Za jeden z najważniejszych filmów w swoim dorobku Redford uważał „Jeremiaha Johnsona", reklamowanego hasłem „Niektórzy mówią, że nie żyje... Inni mówią, że nigdy nie umrze". Próżno szukać lepszego zdania, które opisałoby pustkę po Redfordzie.

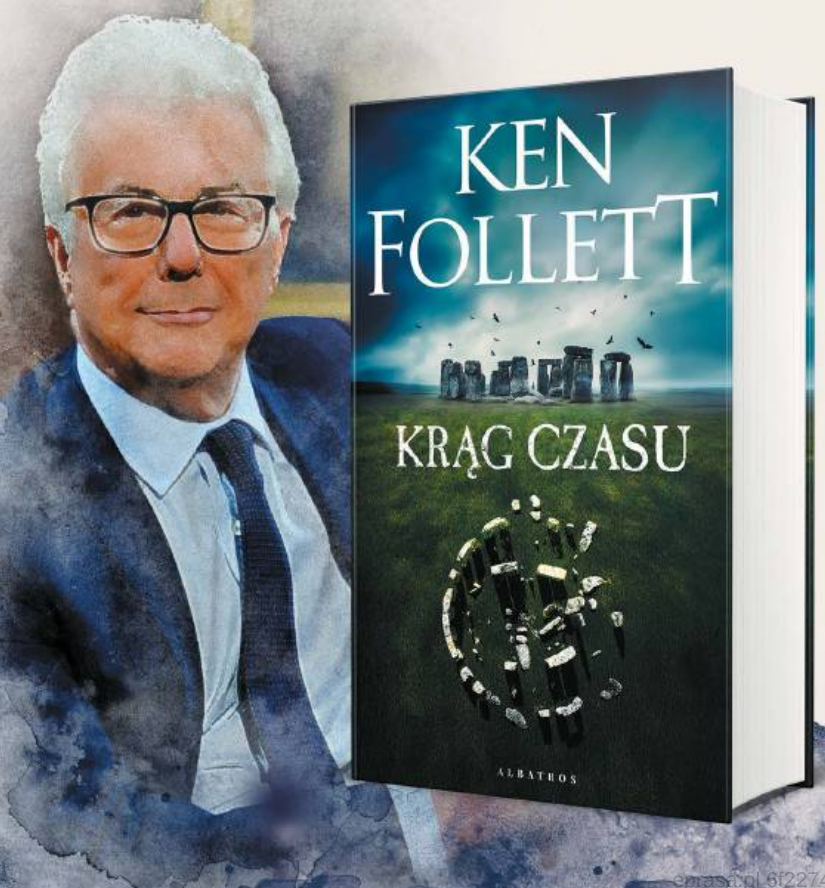
JAKUB DEMIAŃCZUK

Część wypowiedzi aktora pochodzi z książki „Robert Redford. Biografia" Michaela Feeneya Callana, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego w przekładzie Łukasza Witczaka.

© MARY EVANS/EAST NEWS, BE&W

REKLAMA

MISTRZ PROZY HISTORYCZNEJ POWRACA Z NOWĄ POWIEŚCIĄ!



KEN FOLLETT
ODKRYWA TAJEMNICE
STONEHENGE.

Skromny człowiek dążący do społecznego awansu.

Kapłanka, która wierzy w rzeczy niemożliwe.

Pomnik, który stanie się fundamentem nowej cywilizacji.

Autor bestsellerowych epickich cyklów „Filary Ziemi" i „Stulecie" rekonstruuje historię powstania jednej z najbardziej zagadkowych budowli na Ziemi – megalitycznego kręgu Stonehenge.

WYDAWNICTWO ALBATROS



Demony sukcesu

Gigantyczny sukces filmu animowanego „Kpop Demon Hunters" pokazuje, jak bardzo koreańska fala odmieniła globalną popkulturę. I jak bardzo Zachód patrzy w tej dziedzinie na Wschód.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

To dość prosta historia, która zawiera się w tytule filmu. W przekładzie brzmi on: „K-popowe łowczynie demonów". Oto trzy dziewczyny są gwiazdami koreańskiej muzyki popularnej (czyli K-popu), a do tego polują na zagrażające światu upiory. Na swój sukces łowczynie demonów pracowały całe wakacje. Film pojawił się na platformie Netflix 20 czerwca 2025 r. Po trzech miesiącach ogłoszono, że stał się nie tylko najbardziej popularnym filmem animowanym ostatnich miesięcy, ale też najpopularniejszym filmem Netflixa w historii. Obejrzano go ponad 236 mln razy.

Doskonale poradziła sobie – jak łatwo się domyślać – także ścieżka dźwiękowa. Cztery piosenki trafiły jednocześnie do pierwszej dziesiątki Billboard Hot 100, album dotarł na drugie miejsce listy „Billboardu", a globalna liczba streamów przekroczyła 3 mld. Fanki (i fani) z Ameryki, Kanady, Australii i Wielkiej Brytanii miały też okazję zobaczyć film na wielkim ekranie, w czasie specjalnych pokazów wersji karaoke. Według serwisu Box Office Mojo w Ameryce Północnej zajął w jednym z ostatnich tygodni sierpnia pierwsze miejsce i zarobił w ten sposób dodatkowe 18 mln dol.

Nie jest to przy tym kolejny sukces Korei Południowej – „Kpop Demon Hunters" to film amerykański, zrealizowany przez studio animacji należące do Sony – to samo, które stoi za dobrze przyjętą serią filmów animowanych o podróżującym przez multiwers Spider-Manie.

Zarazem nie ma tu jednak mowy o przywłaszczeniu kulturowym – to zarzut, który często się pojawia, gdy zachodni twórcy umieszczają akcję w innych krajach i kulturach (jak „Wyspa psów" Wesa Andersona). W tym przypadku nie ma problemu – i nie tylko dlatego, że reżyserka i pomysłodawczyni filmu Maggie Kang urodziła się w Seulu, z którego wyemigrowała wraz z rodziną w wieku pięciu lat do Kanady. „KDH" czerpie więc garściami z mitologii i popkultury Korei, ale robi to z szacunkiem – wręcz miłością – i dbałością o detale. Takie jak użycie lokalnej potrawy z makaronu błyskawicznego *ramyeon*, zamiast mylonego z nim

eprasa.pl 6f22740c7b



© NETFLIX

i znacznie popularniejszego japońskiego *ramen*. A chociaż oryginalne dialogi zostały nagrane po angielsku, to wszystkie role przypadły dwujęzycznym Koreańczykom i Amerykanom koreańskiego pochodzenia. Język miesza się za to w piosenkach – śpiewające wojowniczki płynnie przechodzą między angielskim i koreańskim, zupełnie jak w podbijających świat hitach.

Magiczny realizm

Streszczenie fabuły na pierwszy rzut oka przypomina odcinek japońskiego anime z nurtu „magical girls", takiego jak „Sailor Moon" („Czarodziejka z Księżyca", POLITYKA 23/21). Rumi, Mira i Zoey, trójka 20-latek z grupy Huntrix, to kolejne pokolenie wokalistek walczące z demonami. Magiczną moc ma także śpiew, pozwalający budować barierę między światem ludzi i demonów. W otwarciu oglądamy więc grupy z poprzednich dekad, dostając w pigułce historię koreańskich girlsbandów (więcej o nich z kolei w „Pomocniku Historycznym" 1/24). Tym razem demony postanowiły pokonać dziewczyny ich własną bronią i kraść dusze dzięki zespołowi złożonemu z arcyprzystojnych chłopaków.

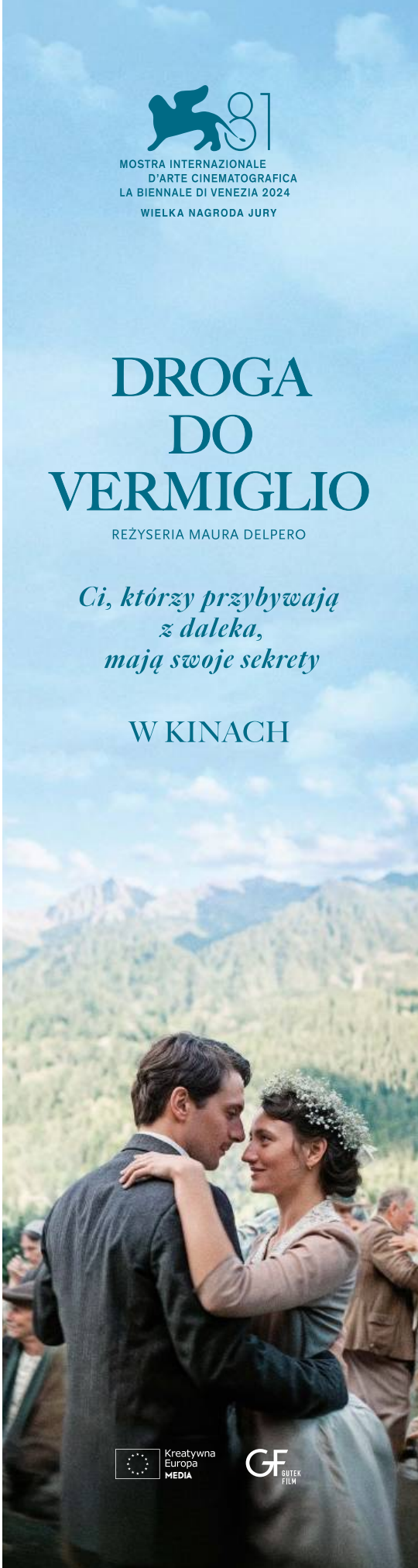
Ale film tylko z pozoru przypomina wymienione japońskie produkcje. Nurt opowieści „magical girls" mimo wątków fantastycznych i magicznych był zawsze mocno zakorzeniony w rzeczywistości: większość czasu młode czarodziejki spędzały, wiodąc normalne życie w szkole czy na podwórku. „KDH" praktycznie nie schodzi na ziemię – bohaterkami są przecież gwiazdy, których jedyny kontakt z rzeczywistością to okazjonalne spotkania z fanami. Ludzką stronę pokazują w czasie jedzenia (robią miny jak z anime, kolejny trop rodem z „Sailor Moon") i w chwilach zwątpienia ze swoimi problemami muszą sobie poradzić same. Stojąca w centrum grupy Rumi mierzy się ze swoim pochodzeniem (okazuje się półdemonem) i związanym z nim wstydem; pod jego ciężarem zaczyna tracić głos. Fantastyczna metafora wedle twórców może się odnosić do różnych spraw, z którymi borykają się młodzi ludzie – przełamanie wstydu jest jak wyjście z szafy. Wracają tu też echa konfliktów pokoleniowych azjatyckiej diaspory, obecne choćby w pixarowskim „Turning Red" („To nie wypanda"), wyreżyserowanym przez Domee Shi – również Kanadyjkę, tylko pochodzenia chińskiego.

Akcja „Kpop Demon Hunters" umieszczona jest nie tyle w Korei Południowej, ile w fantazji na jej temat. Takiej, jaką można obejrzeć w teledysku albo dramie, czyli serialu telewizyjnym. Narastające konflikty i osobiste demony egzorcyzmuje się piosenkami – i w tym magicznym k-popowym realizmie to działa, zupełnie jak pozytywne przekazy zawarte w klasycznych koreańskich piosenkach. Jest tu wiele smaczków dla fanów koreańskiej fali, np. pysznie sparodiowana scena z romantycznego serialu czy delikatna krytyka przemysłowego podejścia do tworzenia muzyki. Dziewczyny z Huntrix przedstawione są jako prawdziwe artystki, które w słowa piosenek wkładają duszę. Demoniczny boysband Saja Boys z muskularnymi pięknisiami o bujnych pastelowych fryzurach śpiewa hity prosto z fabryki. Skoczny i wiralowy „Soda Pop" posiada zaś płytki tekst, dosłownie mechaniczny – przy jego pisaniu pomógł ChatGPT.

Przeżyjmy to razem

Być może analogia między muzyką duszy Huntrix i produkcyjniakami Saja Boys przez przypadek opowiada też o czymś innym. Kinowy sukces „KDH" przyszedł mianowicie akurat, kiedy ▶

REKLAMA



eprasa.pl 6f22740c7b

▶ amerykańskiej animacji kinowej nie wiedzie się zbyt dobrze. Klapą okazał się film Pixara „Elio" w reżyserii wspomnianej Domee Shi, historia wyalienowanego chłopca, który przyjaciół znajduje wśród kosmitów. Film, który w ogóle nie zachęcał, żeby go obejrzeć – nijaki plakat przypominał laikom obrazki generowane przez sztuczną inteligencję. Skończyły się czasy, gdy rodzinne wyprawy do kina były stałym punktem weekendu – w Ameryce odpowiada za to nie tylko kryzys, ale



Girlsband Blackpink. Od lewej: **Rosé, Jennie Kim, Lisa i Jisoo. Rosé robi dziś światową karierę solową.**

też spadająca jakość kinowego doświadczenia. Wiele sal od lat nie było remontowanych, w sieci krążą opowieści o źle zachowującej się młodzieży (zwłaszcza po premierze „Minecrafta"); trzeba więc czegoś więcej, żeby wyciągnąć ludzi do kin.

Decyzja Sony, by sprzedać prawa do dystrybucji Netflixowi, w obliczu sukcesu wydaje się błędem, ale to nie musi być prawda. Sama firma jest zresztą zadowolona, bo platforma streamingowa zapewniła jej czysty zysk. Kinowe seanse odwiedzili już fani, ludzie, którzy znali film z Netflixa. Zadziałał ten sam mechanizm, który przed srebrne ekrany wyciągnął miłośniczki twórczości Taylor Swift: chęć przeżycia wspólnego wydarzenia. Seanse w Nowym Jorku były zresztą fanowską celebracją – dziewczynki robiły sobie zdjęcia z piosenkarkami przebranymi za postaci z filmu.

Rad Sechrist, mąż Maggie Kank (twórca serialu animowanego „Kipo i Dziwozwierze"), który pomagał przy „KDH", podzielił się na TikToku swoją hipotezą na temat sukcesów i porażek. Jego zdaniem problem polega na tym, że dzieciaki oglądają tylko te rzeczy, o których na YouTube mówią ludzie, którzy „mają zazwyczaj po dwadzieścia parę lat. To oznacza, że jeśli tworzysz film, to musisz myśleć najpierw o odbiorcach dwudziestoparoletnich. Dopiero wtedy dzieciaki w ogóle usłyszą o twoim projekcie". Za przykład podał anime (które umościły się w niszy i mają wiernych fanów) albo serial „Stranger Things".

Entuzjazm influencerów udziela się zatem młodym widzom, chociaż czasem chodzi o rzeczy niezbyt dla nich odpowiednie. Wystarczy wspomnieć panikę wśród dorosłych, gdy dzieci bawiły się w gry z makabrycznego świata serialu „Squid Game", który znały z youtube'owych i tiktokowych opowieści. „KDH" jest idealnie skrojony pod różne grupy wiekowe, bo – zupełnie jak koreański pop – pozostaje bardzo grzeczny. A czy rzeczony „Elio" miałby szansę u influencerów? Być może w swojej oryginalnej wersji, gdy miał opowiadać o doświadczeniach queerowego chłopca. W atmosferze skrętu Hollywood w prawo wątek wyleciał, a film został pozbawiony duszy, jak piosenki Saja Boys.

Fala wznosi wszystkie łodzie

Ale oczywiście najważniejszą przyczyną sukcesu „Kpop Demon Hunters" jest potężna baza fanowska K-popu i głośne sukcesy koreańskiej popkultury. Film ucieszył nie tylko koreańską (i ogólnie azjatycką) diasporę w USA, ale spodobał się też w samej Korei, zwłaszcza za sprawą nawiązań do detali tamtejszego życia codziennego. Cieszy też wpływ na turystykę i promocja Korei, a scena, w której Soja Boys i Huntrix kłaniają się sobie, trafiła do reklamy nowego składanego smartfona Samsunga.

Fani zwracali uwagę, że film przypomina teledysk „Pop/Stars" (2018 r.) K/DA, grupy wirtualnych koreańskich idolek promujących grę wideo „League of Legends". Wydaje się jednak, że amerykańscy twórcy nie tyle żerują na koreańskiej fali, ile zaakceptowali ją jako istotny element globalnej popkultury, tak jak wcześniej zaakceptowali japońskie anime. Widać też, że uczą się od azjatyckich twórców – gdy w filmie pojawia się para zwierząt (tygrys i ptak z klasycznej koreańskiej grafiki), to zamiast paplać jak osioł ze „Shreka", zwierzęta te zachowują się zupełnie jak Totoro i inne duszki z filmów Hayao Miyazakiego.

Przykładem tej globalizacji może być solowa kariera Rosé, wokalistki związanej z girlsbandem Blackpink. W zeszłym roku ukazał się jej singiel „Apt.", nagrany w duecie z Bruno Marsem, w tytule i skocznym refrenie nawiązujący do popularnej koreańskiej gry towarzyskiej. Stała się wielkim hitem (właśnie została piosenką roku nagród MTV Video Music Awards) i koreańskim memem, jak niegdyś piosenka „Gangnam Style" PSY. Innym symptomem koreańskiego wpływu jest amerykański girlsband KATSEYE, reklamowany jako „globalny", bo należą do niego dziewczyny wyłonione w castingach na całym świecie, ale z prezencją zakorzenioną w K-popie. Świat skurczył się dzięki internetowi i streamingowi – Netflix chętnie sięga po lokalne produkcje, a Apple TV czy HBO kręcą seriale w Azji („Sunny", „Pachinko", „Tokyo Vice"). Często rozgrywane są w nich stereotypy – i te jasne, i te mroczne. Jak cukierkowy K-Pop i filmy Bonga Joon-ho, reżysera oscarowego „Parasite", które zresztą też się zglobalizowały: „Mickey 17" opowiada o USA, ale wciąż zawiera rozpoznawalne autorskie – i koreańskie – elementy.

Przykład koreańskiej fali pokazuje, że odpowiednio wsparta kultura może mieć globalny wpływ. Jak zwykle Korea Południowa i jej sukces to dobry przykład do naśladowania dla Polski, ale ciekawe, czy potrafilibyśmy pokazać światu coś innego niż nasz memiczny już słowiański smutek?

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

© THE CHOSUNILBO JNS/IMAZIN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 6f22740c7b



The Beatles, 1963 r. Od lewej: Ringo Starr, George Harrison, Paul McCartney, John Lennon.

Molowe powietrze

W latach 50. czy 60. mieliśmy mnóstwo przebojów opowiadających o małżeństwie, teraz to się raczej nie zdarza, za to do muzyki pop wdarł się mrok – opowiada Chris Dalla Riva, analityk muzycznych danych.

MARIUSZ HERMA: **– Które piosenki należałoby uznać za absolutne przeboje wszech czasów?**

CHRIS DALLA RIVA: – Na pewno „The Twist" Chubby'ego Checkera oraz „I Want to Hold Your Hand" The Beatles. Ta druga tylko na singlu sprzedała się w ponad 10 mln egzemplarzy. ABBA do dziś króluje w popie za sprawą „Dancing Queen". Patrząc na liczby, wymieniłbym jeszcze „Macarenę" Los Del Rio, a z nowszych rzeczy „Blinding Lights" The Weeknd. Osobiście dorzuciłbym „I Want You Back" The Jackson 5 oraz „My Girl" The Temptations.

Na jakich danych opiera pan swoje obserwacje?

Przede wszystkim na liście Billboard Hot 100. Magazyn „Billboard" zaczął ją publikować w 1958 r., miała wskazywać najpopularniejsze piosenki w Stanach Zjednoczonych w danym tygodniu. Brała pod uwagę sprzedaż singli, radiowe playlisty oraz to, co puszczają szafy grające. W epoce cyfrowej doszła sprzedaż plików muzycznych, a obecnie kluczowe są dane z serwisów streamingowych. Metodologia się zatem zmienia, ale Billboard Hot 100 zachowuje pewien poziom spójności. Oprócz tego korzystam z rozmaitych baz danych o utworach muzycznych – o ich autorach, gatunkach, tekstach, pochodzeniu – które udostępniają serwisy streamingowe w rodzaju Spotify czy organizacje zbiorowego zarządzania prawami autorskimi. To pozwala mi zauważać trendy muzyczne także poza listami przebojów.

Jakie to trendy?

Lubię śledzić zmiany w demografii artystów podbijających Billboard Hot 100. Bo widać, jak szeroko rozumiana kultura wpływa na muzykę pop i na odwrót – jak gwiazdy zmieniają rzeczywistość. W latach 50. rzadko pojawiali się w tym rankingu czarni wykonawcy. Ale od lat 60. zaczęło się to zmieniać, co zbiega się z aktywnością ruchu praw obywatelskich. Zarazem, gdy w popkulturze pojawiły się gwiazdy Motown, dla wielu białych osób było to okazją do przełamania rasowych stereotypów, zbudowanych w oderwaniu od faktycznego kontaktu z czarnymi.



Chris Dalla Riva amerykański dziennikarz, autor popularnego newslettera „Can't Get Much Higher", w którym opowiada o muzyce przez pryzmat danych. Robi to także na TikToku, gdzie obserwuje go ponad 100 tys. osób. W listopadzie ukaże się jego książka temu poświęcona „Uncharted Territory: What Numbers Tell Us about the Biggest Hit Songs and Ourselves".

W tamtych pierwszych dekadach na liście niewiele też widać kobiet.

Już w latach 60. pojawiło się sporo przebojów o sile kobiet – za sprawą Nancy Sinatry, Arethy Franklin czy Jeannie C. Riley – ale aż do początku lat 80. niemal trzy czwarte największych przebojów wykonywali mężczyźni. Obecnie kobiety wręcz przeważają na liście „Billboardu". Dotyczy to jednak wyłącznie wykonawczyń. Gdy sprawdzimy, kto ich utwory skomponował i wyprodukował, to zazwyczaj będą tam biali faceci, często ze Szwecji.

Gdy patrzy się w te szerokie dane, jakie widać w nich momenty przełomowe w historii popu?

Na pewno przyjazd The Beatles do USA, od tego zaczęła się inwazja brytyjskich zespołów za oceanem. Beatlesi ▶

© FIONA ADAMS/REDFERNS/GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6f22740c7b



Rihanna podczas koncertu w Londynie, 2012 r. Na zdjęciu obok, od lewej: **Megan Thee Stallion i Cardi B występują na gali rozdania nagród Grammy w Los Angeles, 2021 r.**

▶ spopularyzowali również skład zespołu, który do dziś utożsamiamy z muzyką rockową: 4–5 członków, gitara lub dwie, bas, perkusja, wokal. Wcześniej to nie było takie oczywiste. Był to również moment, kiedy za „poważnych artystów" zaczęto uznawać tych, którzy sami piszą swoje piosenki. Wcześniej role wykonawców i kompozytorów były raczej rozdzielone. Beatlesi oczywiście nie byli w tym pierwsi, wpisali się w pewien trend. Ale razem chociażby z Bobem Dylanem upowszechnili przekonanie, że jeśli chcesz być traktowany serio, musisz tworzyć własny materiał.

Kolejne takie przełomy?

Druga połowa lat 70., epoka disco. Przejście od melodii do rytmu jako elementu wiodącego. Niektóre z przebojów disco miały rzecz jasna świetne melodie, ale ich siłę stanowił rytm. Z kolei w latach 80., wraz z rozpowszechnieniem się syntezatorów, na dobre skończyło się wiązanie tworzenia muzyki z grą na „prawdziwym" instrumencie. Odtąd można to było robić na czymś przypominającym klawiaturę komputera. I gdy dzisiaj patrzy się na faktycznych autorów przebojów, w większości opisani są jako „producenci". Nie ma ani słowa o tym, że grali na jakichś konkretnych instrumentach.

Kiedy mieliśmy ostatnią taką rewolucję w listach przebojów?

Na początku lat 90., kiedy do muzyki pop na dobre wdarł się hip-hop. I dokończył to, co rozpoczęło disco, czyli przejście od melodii do rytmu. Uosobieniem poprzedniej epoki w muzyce pop było „I Want to Hold Your Hand" The Beatles. Piękna piosenka, którą można sobie zanucić pod nosem na spacerze albo pod prysznicem. A jak tu zaśpiewać hity Eminema? Dominacja rytmu rozlała się także na inne gatunki, nawet w muzyce country spotykam utwory niby grane na gitarze, ale w moim odczuciu bliższe hip-hopowi niż klasyce gatunku.

A co z wpływem internetu, mediów społecznościowych?

Sporo mówi się teraz o tym, jak technologia zmienia muzykę, że wszyscy dopasowują się do TikToka i celują w krótkie wiralowe motywy. Ale od swojego zarania muzyka popularna ma zażyłą relację z innowacjami technologicznymi. Pojemność płyt gramofonowych długo decydowała, ile może trwać singiel, dopasowywano się więc do tych 3–4 minut. A gdy w latach 80. telewizję podbiło MTV, zaczęto tworzyć muzykę od razu z myślą o teledyskach, bo to one prowadziły do sukcesu. Gdy przyglądasz się muzyce dekada po dekadzie, wszędzie widzisz takie zależności pomiędzy muzyką a technologią.

Nowością wydaje się to, jak technologia obecnie zdemokratyzowała muzykę: jej nagrywanie i wydawanie.

Także w tej kwestii moglibyśmy się cofnąć do początku XX w., gdy pianina zaczęły się pojawiać w domach zwykłych ludzi. Ale rzeczywiście przez większość ubiegłego wieku muzyką pop władali fonograficzni decydenci. Marzyło ci się wydanie własnego albumu? Musiałeś wynająć bardzo drogie studio, wytłoczyć płyty, zorganizować dystrybucję, przebić się ze swoją piosenką do radia... Cały ten obieg kontrolowały potężne firmy. Warunkiem zrobienia kariery było dołączenie do prowadzonej przez nie gry.

Czyli podpisanie kontraktu z dużą wytwórnią – jeśli w ogóle się udało – co wiązało się często z rozmaitymi kompromisami.

To się zaczęło zmieniać w latach 90. wraz z ekspansją internetu. Nagle ludzie mogli publikować w sieci muzykę minimalnym kosztem i docierać do słuchaczy z pominięciem owych decydentów. A to szło w parze z rozpowszechnieniem się domowego sprzętu do nagrań. I coś tak kosztownego, jak zarejestrowanie i wydanie singla czy płyty, stało się banalnie proste i tanie. W tym sensie muzyka się rzeczywiście zdemokratyzowała.

Pytanie tylko, czy ktoś tego mojego singla posłucha?

Skoro tak łatwo wydawać muzykę, to rzecz jasna robi to więcej ludzi. Jeden z byłych dyrektorów Spotify powiedział mi, że w ciągu tygodnia do światowego obiegu fonograficznego trafia więcej muzyki niż kiedyś przez dekadę. Jak się przebić przez ten zgiełk?

A co w muzyce pop nie zmieniło się przez te wszystkie lata?

Piosenki o miłości. Ciągle kochamy słuchać o niej, o związkach. Choć charakter tych piosenek też ewoluował. W latach 50. czy 60. mieliśmy mnóstwo przebojów opowiadających o małżeństwie, teraz to się raczej nie zdarza. Pewnie dlatego, że ludzie pobierają się później, a muzykę popularną przeważnie tworzą relatywnie młodzi ludzie. Powszechniejsze stały się piosenki o rozstaniach. A w ostatniej dekadzie do muzyki pop wdarł się przejmujący mrok.

Smutku w muzyce chyba nigdy nie brakowało?

Ale teraz nawet na liście „Billboardu" spotykamy utwory o nastoletnich tragediach, cierpieniach psychicznych, o samobójstwie – przeboje przypominające rozmowę z psychoterapeutą! Głównie chodzi o emo rap, czyli odprysk hip-hopu zanurzony w takich depresyjnych tematach. A przecież muzykę pop zawsze utożsamialiśmy z radością, zabawą. I choć pogodnych przebojów wciąż nie brakuje, to jakby się rozrzedziły.

Może dlatego, że kiedyś to, co popularne, było grane publicznie: w radiu, telewizji, na imprezach. Teraz miliony osób streamują muzykę w swoich sypialniach czy w słuchawkach.

To prawda, tradycyjnie muzyka miała funkcję społeczną. 150 lat temu ludzie gromadzili się wokół pianina i śpiewali piosenki. Albo szli do kościoła i tam obcowali z muzyką. Jeszcze na początku XX w. muzyka miała bardzo publiczny charakter, ale wraz z rozwojem nagrań zaczęło się to powoli zmieniać. Teraz zakładasz słuchawki i puszczasz sobie, co chcesz, niezależnie od tego, gdzie się znajdujesz. Nikt się nie dowie, że w kółko słuchasz przeraźliwie ponurych piosenek.

© KEVIN WINTER/GETTY IMAGES; DAVE J HOGAN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 6f22740c7b



I swoimi odsłuchami windujemy je na szczyt rankingów.

Smutną muzykę zwykle kojarzymy z tonacją molową, potwierdzają to badania naukowe. No więc od początku notowań Billboard Hot 100 aż do końca XX w. zaledwie 25 proc. przebojów z samego szczytu listy miało tonację molową. Tymczasem po 2000 r. stanowiły ponad połowę! Dobrym przykładem takiego molowego smutku jest utwór „Diamonds" Rihanny z 2012 r. Zaczyna się niby pogodnym zdaniem: „Znajdź jasność w cudownym morzu/ Wybieram bycie szczęśliwą", ale całą piosenkę przenika szarość – bo jest utrzymana w tonacji b-moll.

Temu trendowi wydaje się opierać np. muzyka latynoska, w dużej mierze zachowała ten radosny pierwiastek.

I dlatego zrobiła ostatnio taką karierę nie tylko w USA, lecz globalnie. Więcej w niej tego radosnego, imprezowego klimatu, z którym zawsze kojarzył nam się pop. Znam ludzi, którzy z tego powodu przestawiają się właśnie na słuchanie muzyki latynoskiej.

Coś jeszcze pana martwi w obecnej muzyce?

Anonimizacja artystów. Miliony ludzi bez przerwy słuchają muzyki na TikToku, a nie mają pojęcia, kto za nią stoi. I gdy jakaś piosenka podbije TikToka i resztę internetu, przypisują ją autorowi filmiku, który tylko wykorzystał ten utwór. Ewentualnie utożsamiają ją z jakimś internetowym trendem – co samemu wykonawcy w żaden sposób nie pomaga w karierze.

Zwraca też pan uwagę na to, że w tekstach przebojów zaroiło się od wulgaryzmów.

Biorąc pod uwagę specyfikę każdej z muzycznych epok – co w danym czasie uznawano za wulgarne, a co nie – to zjawisko rzeczywiście dramatycznie się nasiliło. Choć już w latach 70. pojawiły się pierwsze przeboje zawierające takie słowa, jak „cholera", „suka" czy „dupa", a w latach 80. nawet „do diabła", to aż do lat 90. stanowiło to margines. Dopiero w połowie tej dekady mieliśmy pierwszy hit ze słowem „fuck" – konkretnie „Hit 'Em Up" rapera Tupaca – a kilka lat później już co trzeci przebój zawierał takie lub inne wulgaryzmy. Parę lat temu Cardi B oraz Megan podbiły listę „Billboardu" utworem „WAP", a to chyba najbardziej obsceniczny przebój w historii popu.

A dlaczego przeboje się tak skróciły? Standardem są 2–3 minuty, niektóre schodzą nawet poniżej 2 minut.

Mamy tu do czynienia z pewnym paradoksem: piosenki gwiazd się skróciły, ale albumy wydłużyły. Taki Drake potrafi wypuścić album zawierający 29 utworów i trwający prawie dwie godziny. Dawniej coś takiego mogło się zdarzyć tylko w wydaniu deluxe. Ale w streamingu artysta wynagradzany jest za każde odsłuchanie jego utworu. Fani Drake'a przesłuchają jego całą płytę przynajmniej raz. Lepiej więc dostać tantiemy za 29 krótszych utworów niż siedem długich.

Co jeszcze odróżnia współczesne przeboje od tych sprzed dekad?

Powracającym motywem, wprawdzie niezbyt wyszukanym, była przez dekady zmiana tonacji. Zazwyczaj w ostatnim refrenie pojawiał się moment, gdy podnoszono ją o półton czy ton dla efektu euforii. To taki zastrzyk energii, po którym wszyscy czują się trochę lepiej. W ten sposób kończyły się „I Will Always Love You" czy „I Want to Dance with Somebody" Whitney Houston albo „It's My Life" Bon Jovi. Ale w latach 2003–18 nie było ani jednego utworu ze zmianą tonacji, a ostatnio jakieś wyjątki.

I czym to wytłumaczyć?

Z jednej strony na listach króluje hip-hop, a umówmy się, to nie jest gatunek oparty na zmianach harmonicznych. Znaczenie ma także sposób, w jaki obecnie tworzy się muzykę: na komputerach, dodając, kopiując i przesuwając dźwięki niczym klocki, co też nie sprzyja zabawie z harmonią ani z rytmem, dlatego mamy dziś wyłącznie przeboje utrzymane w metrum 4/4.

Niemal zupełnie zaniknęło też intro: dość rozbudowany wstęp przed pojawieniem się zwrotki czy refrenu.

Bo na Spotify, YouTube czy TikToku musisz przyciągnąć uwagę natychmiast. I to kolejny przykład na to, jak technologia wpływa na muzykę pop. Swoją drogą nie spotyka się już również outro – kończenia przebojów stopniowym wyciszeniem. No i nie zdarzają się już przeboje instrumentalne, a w latach 50. i 60. mniej więcej co piąty nie miał wokalu, a wielką sławę jako liderzy zespołów zdobywali klarneciści czy saksofoniści. Później instrumentaliści zeszli jednak na drugi plan, nastała era wokalistów. I tak jest do dziś.

Czy stara muzyka wypiera nową? Największym przebojem tego lata na TikToku była piosenka „Hold My Hand" Jess Glynne z 2015 r., a w pierwszej dziesiątce znalazł się tylko jeden nowy utwór.

Kilka lat temu „Dreams" Fleetwood Mac z 1977 r. było nawet na tradycyjnych listach przebojów, bo na TikToku pojawił się filmik z gościem jadącym na deskorolce i popijającym sok z wielkiej butelki. W tle leciało właśnie „Dreams". Ale to nie zaczęło się od TikToka. Cyfrowa dystrybucja wszystko zmieniła. Każdy ma dostęp do pełnego archiwum muzyki, przeboje sprzed lat łatwo mogą się stać wiralami.

Tyle że to nie tylko pojedyncze wirale: ponad 70 proc. muzyki słuchanej w streamingu to wydawnictwa „stare", czyli mające ponad półtora roku.

Kiedyś listy przebojów śledziły sprzedaż. Jeśli raz kupiłeś dyskografię The Beatles, to nie musiałeś tego robić ponownie. Obecnie rankingi śledzą nawyki słuchaczy. To tak, jakby w 1990 r. lista „Billboardu" pokazywała, ile razy odtwarzałeś tę płytę CD, którą kupiłeś. Podejrzewam, że ludzie od zawsze słuchali głównie starszej muzyki, a streaming tylko to ujawnił.

A jak wsłuchiwanie się w te wszystkie przeboje i analizowanie ich – co zajęło kilka lat – wpłynęło na to, jak postrzega pan muzykę pop?

Uwolniło mnie to od uprzedzeń. Także wobec disco, którego wcześniej nie znosiłem, a odkryłem w nim sporo świetnych kawałków. Przesłuchanie tysięcy hitów z tych siedmiu dekad uświadomiło mi zresztą, że w każdej dekadzie i każdym gatunku grano zarówno świetną, jak i okropną muzykę. Bywały oczywiście szczególne momenty, np. w latach 1964–66 powstały klasyki The Beatles, The Beach Boys, artystów z wytwórni Motown... Ale też rzeczy, o których już nie pamiętamy. Wiele osób narzeka, że obecnie powstaje mnóstwo kiepskiej muzyki. Jednak o niej też zapomnimy, pozostaną z nami tylko te najlepsze przeboje.

ROZMAWIAŁ MARIUSZ HERMA

eprasa.pl 6f22740c7b

Śpiewanie nowych ulic

„Najlepsze miasto świata”, powstałe jako reportaż historyczny, przeobraziło się w operę o odbudowie Warszawy. Z jakim efektem?



DOROTA SZWARCMAN

Na scenie Opery Narodowej przypomniano straszny, lecz zarazem budujący (w sensie dosłownym) czas sprzed 80 lat: powstawanie nowej Warszawy. Bo to miasto zostało zbudowane na nowo, choć na co dzień o tym nie pamiętamy.

„Gdy tylko Warszawa została wyzwolona, ludzie zaczęli wracać pieszo lub wozami ze wszystkich stron. Szukali swoich domów i okazywało się, że ich nie ma; zostały tylko rozwalone mury i sterty gruzu. Kopali w piwnicach, aby wyciągnąć swój żałosny dobytek – połamane stoły, podarte poduszki, materace poplamione krwią. Stali na ulicach pogrążeni w żalu. Błąkali się, szukając starych, znajomych miejsc. Nic nie pozostało. Warszawa jako miasto przestała istnieć. Niemcy spędzili cztery miesiące na bardzo skutecznym wysadzaniu jej w powietrze. To, co kiedyś było jedną z najruchliwszych stolic Europy, było niemal niewiarygodną pustką, gorszą niż utracone Pompeje czy asyryjskie wykopaliska, ponieważ zachowane ludzkie szczątki były tak świeże”. To słowa amerykańskiej dziennikarki Anny Louise Strong, pochodzące z opublikowanej przez nią w 1946 r. książki „Widziałam nową Polskę”.

Strong przybyła tu z Armią Czerwoną jeszcze podczas powstania, oczywiście na praską stronę, nieogarniętą walkami. Choć urodziła się jako córka pastora, od dawna miała sympatie komunistyczne i entuzjastycznie pisała o ZSRR, przez pewien czas nawet tam mieszkała. To ona była prototypem jednej z postaci występujących w operze Cezarego Duchnowskiego „Najlepsze miasto świata” z librettem Beniamina M. Bukowskiego, inspirowanym motywami z książki Grzegorza Piątka pod tym samym tytułem.

W tym libretcie pod koniec Louise – bo pod takim imieniem tu występuje – popada w sceptycyzm co do „jedynie słusznego” ustroju.

Dwie herstorie

Prawdziwa Strong nigdy nie przestała być komunistką z przekonania, co więcej – zaraz po ukazaniu się jej książki o Polsce przeprowadziła wywiad z Mao i od tego czasu stała się entuzjastką Chin ludowych. Tam też spędziła ostatnie dwie dekady życia i zmarła w 1970 r.

Mimo to jej wynurzenia o tużpowojennej Polsce mają walor świadectwa epoki. Cytowany powyżej obraz miasta, które zginęło, dobitnie przypomina nam, z czego musiało się podnieść. Strong widziała ten upadek i początki zmartwychwstawania. Kibicowała nowej władzy nie tylko z powodów ideologicznych, ale też po prostu ludzkich. Przybywszy z innego świata, dzieliła trudności warszawiaków. W operze zostaje zrzucona ze spadochronem w białym futrze – reżyserka Barbara Wiśniewska miała potrzebę spektakularnego wejścia tej postaci, choć wydaje się to niepotrzebne.

eprasa.pl 6f22740c7b

Anna Louise Strong jest zacytowana w książce Piątka zaledwie parę razy. Częściej występuje w niej Helena Syrkus, pierwowzór drugiej bohaterki opery o Warszawie, architektki Heleny. Tu trzeba zauważyć, że „herstorie" będące osią opery są całkowicie anachroniczne. Realizatorzy nawet na trybunie honorowej pochodu pierwszomajowego umieścili kobiety, których tam z pewnością nie było. Patriarchat rządził także w Biurze Odbudowy Stolicy, które jest głównym zbiorowym bohaterem książki Piątka – tam możemy przeczytać, że kobiety w BOS służyły głównie do parzenia herbaty i protokołowania zebrań kolegów, mimo że były tak jak oni wykształcone.

Na początku lat 20. Helena, wówczas jeszcze Eliasberg, wywodząca się ze środowiska wokół Janusza Korczaka, studiowała architekturę, ale też filozofię, a przy tym działała jako tłumaczka z kilku języków. Jako architektka zaistniała jeszcze przed wojną w zespole z mężem Szymonem Syrkusem, z którym zakładała też awangardową grupę Praesens. Wśród architektów było więcej małżeństw, np. Barbara i Stanisław Brukalscy czy młodsi Halina i Zygmunt Skibniewscy.

Podczas wojny Syrkusowie założyli konspiracyjną Pracownię Architektoniczno-Urbanistyczną z myślą o przyszłej odbudowie i nowej urbanistyce Warszawy; Helena kontynuowała jej współprowadzenie po aresztowaniu męża i wywiezieniu go do Auschwitz (szczęśliwie przeżył). Ona się nie ukrywała, mając tzw. dobry wygląd, ale też miała później obozowe, na szczęście krótkie przejścia. Wróciła do Warszawy w maju 1945 r. Teoretycznie więc mogły spotkać się ze Strong, która 1 lipca była na inauguracji Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej na oczyszczonym z ruin placu Teatralnym. „Członkowie rządu w towarzystwie korespondentów i fotoreporterów wspięli się na balkon na drugim piętrze na wpół zburzonego gmachu Opery i przemówili do tłumów na placu" – relacjonowała dziennikarka. W ten sposób już wówczas ów gmach wziął udział w tej historii.

Syrkusowa w BOS nie pracowała jako architektka (studia formalnie ukończyła dopiero w 1948 r.), lecz w wydziale propagandy, gdzie również się sprawdziła dzięki swoim kontaktom politycznym i międzynarodowym. Przyjaźniła się z Le Corbusierem i Walterem Gropiusem; na tego pierwszego obraziła się, gdy zwąchawszy propagandowy cel, odmówił przyjazdu na Światowy Kongres Intelektualistów we Wrocławiu (który współorganizowała). Za to podejmowała uroczyście Pabla Picassa, który właśnie na budowanym wówczas osiedlu zaprojektowanym przez Syrkusów na Kole, narysował na ścianie słynną syrenkę, później niestety zamalowaną.

Gdy władze proklamowały w kraju socrealizm i potępiły modernistyczną twórczość Syrkusów, dokonali samokrytyki. Ale to właśnie Helena po latach (Szymon już nie żył), w 1980 r., podpisała „Apel 64", list otwarty intelektualistów do władz PRL domagający się podjęcia przez nie rozmów ze strajkującymi robotnikami.

Burzyć, by budować

W operze Helena jest wyrazicielką marzeń przedwojennych awangardowych architektów o zburzeniu części miasta pod nowe arterie komunikacyjne. W ówczesnej Warszawie nie miałby pola do popisu baron Haussmann, któremu dano wolną rękę w przebudowie Paryża. Tu rzecz się rozbijała o prawo własności. Wszędzie budowano bez ładu i składu kamienice bardzo różnej jakości; wbrew temu, co się sądzi, w całym mieście było wymieszanie warstw społecznych, bogactwo obok nędzy.

To Stefan Starzyński, ostatni przedwojenny prezydent Warszawy, marzył o jej przebudowie i to on zapowiadał (o czym czytamy również u Piątka), że miasto „przejdzie jeszcze okres burzenia". Ani się spodziewał – jak i architekci – w jak tragiczny sposób ta zapowiedź zostanie spełniona, zresztą całkowitego zburzenia lewostronnej Warszawy nie dożył. Ci, którzy dożyli, mieli – jak operowa Helena – wyrzuty sumienia, ale nie mogli nie skorzystać z nadarzającej się okazji, by zaprojektować „najlepsze miasto świata". Te plany też nie do końca się ziściły z różnych powodów, ale to im zawdzięczamy Trasę W-Z z tunelem, most Poniatowskiego, osiedla na Mokotowie, Muranowie, Młynowie czy Kole.

Rzadko się zdarza taki tryb powstawania opery. Zamawiający – miasto Warszawa, Sinfonia Varsovia, Opera Narodowa i Warszawska Jesień – na początku 2023 r. zwrócili się do kompozytorów z zaproszeniem do zamkniętego konkursu. Mieli napisać próbkę muzyki. Konkurs rozstrzygnięto w maju. Równolegle w lutym zaproszono librecistów, którzy też mieli zaprezentować szkic do pomysłu; wyboru dokonano w kwietniu. W czerwcu 2024 r. można było już rozpocząć pierwsze prace nad inscenizacją, choć muzyka jeszcze powstawała.

Muzyka wojny i budowy

Książka, która była tu inspiracją, ma charakter reportażu, opiera się na drobiazgowej kwerendzie i nie zawiera fabuły – jest freskiem historycznym. Opera również jest freskiem, choć innego rodzaju. Największe wrażenie robi tu muzyka obrazująca wojenne zniszczenia. „Dla mnie miasto to także dźwięk – echo kroków, huk maszyn, cisza ruin" – mówił przed premierą Cezary Duchnowski, który mieszka we Wrocławiu, a urodził się w Elblągu, ale nie przeszkodziło mu to wczuć się w temat (Elbląg i Wrocław również przecież padły ofiarą wojny). Orkiestra (Sinfonia Varsovia pod batutą Bassema Akiki) z elektroniką splecione są w sposób mistrzowski. Scena w Biurze Odbudowy Stolicy (pracujący architekci: „Jesteśmy jak orkiestra, śpiewamy nowe ulice") oraz kolejne, związane z wprowadzaniem nowego ustroju, łączą się już z muzyką bardziej przystępną, dynamiczną, o charakterze trochę filmowym, przywodzącą momentami na myśl opery Johna Adamsa. Znakomite są obie solistki (laureatki Paszportu POLITYKI): Agata Zubel (Architektka) i Joanna Freszel (Dziennikarka), ale kolejnymi bohaterami są tu chóry (dorosły – z TWON i dziecięcy – Artos), symbolizujące społeczeństwo Warszawy.

Libretto czerpie z języka ulicy, komunikatów, cytatów z partyjnej nowomowy; składa się ze zwrotów-haseł na wzór poezji Mirona Białoszewskiego, nawet z neologizmami („rwaność"). Powstało w ścisłej współpracy z kompozytorem, stąd też zapewne główne postaci kobiece – Duchnowski zna doskonale głosy obu śpiewaczek, zwłaszcza Agaty Zubel, z którą od lat tworzą duet ElettroVoce.

Inscenizacja też ma filmową dynamikę, wykorzystując w pełni przestrzeń i maszynerię sceniczną – to chyba pierwszy przypadek, kiedy ta ostatnia nie przeszkadza muzyce, wręcz odgłosy przez nią wydawane zostają wykorzystane. Zważywszy na wszelkie przeciwności losu, które spadły na realizatorów podczas przygotowywania spektaklu, można podziwiać, że udało się wszystko skleić; w efekcie powstało dzieło, które nie jest tylko okolicznościowe, lecz zasługuje na dalszą przyszłość. ■

© KRZYSZTOF BIELIŃSKI

eprasa.pl 6f22740c7b



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Krzysztof Gojdź i jego nowa twarz rozpływają się nad Martą Nawrocką: „Ikona stylu. Żywcem wyciągnięta z Hollywood". Wypowiedź, jak wszystko ostatnio u Krzysztofa, mocno naciągana.

●

Do mediów wyciekła data ślubu Kasi Cichopek i Macieja Kurzajewskiego. 25 października. To symboliczny termin dla radosnych wydarzeń. Tego dnia w 2015 PiS wygrało wybory do Sejmu i Senatu.

●

Autorski program Daniela Nawrockiego na antenie wPolsce24 stracił widzów, a co za tym idzie – dobry czas antenowy. Ojciec wyznał kiedyś, że zasypia z Pismem Świętym. Widownia ewidentnie zasypiała z synem.

●

Maja Hyży wyznała, że jednak nie jest w ciąży, a fanów wkręciła, że jest, bo lubi prowokować. Ten przypadek jest najlepszą ilustracją tezy, że historia szołbiznesu to często historia graczy rezerwowych.

●

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich uruchomiło zbiórkę 40 tys. zł dla Samuela Pereiry skazanego za zniesławienie Aleksandry Brejzy. Samuel. Ty przestań korzystać ze zrzutka.pl. A weź się za pracuj.pl.

●

W programie „Halo, tu Polsat" Michał Wiśniewski podzielił się szczegółami swojej wazektomii. Ja go rozumiem. Cykl jego życia jest regularny: żona, dziecko, bankructwo, koniec kariery, żona, dziecko.

●

Tomasz Kammel zabrał głos w temacie sporu pomiędzy Dorotą Wysocką-Schnepf a Krzysztofem Stanowskim i Robertem Mazurkiem. Prezenter nie szczędził krytycznych słów pod adresem TVP. Jak mawiał Dariusz Szpakowski: „Główkował, ale niecelnie".

●

Jan Urban wyznał, że w dniu, w którym brał ślub, rozegrał mecz w drużynie Zagłębia Sosnowiec, a gdy spóźniony przyjechał do kościoła, ksiądz zapytał go o wynik. Typowe. Ich interesują wyłącznie liczby.

●

„Katarzyna Cichopek przez parę dni nie była aktywna w mediach społecznościowych" – donoszą



Iwona Węgrowska wyznała na Instagramie, że każdego dnia modli się do Matki Boskiej oraz że bez różańca nie zaśnie. Po karierze Iwony widać wyraźnie, że w modlitwach nie porusza kwestii zawodowych.

przerażone portale. Jak 5 marca 1953 r. o godz. 21.50 zamilkł Stalin, ludzie też nie wiedzieli, co myśleć.

●

Producent muzyczny Robert Sadowski zarzucił Tomaszowi Karolakowi nieoddanie pożyczonych pieniędzy oraz wyrzucenie go z reklamy mebli. Menedżer Tomka zarzucił Sadowskiemu udział w grupie przestępczej. I to nie jest scenariusz ósmej części „Listów do M.".

●

Partner Marianny Schreiber będzie walczył w klatce. Piotr Korczarowski na gali PRIME zmierzy się z Dżagą, popularną drag queen. Jak widać, zdolność koalicyjna Konfederacji rośnie.

●

Małgorzata Rozenek poprowadzi nową edycję programu „Królowa przetrwania". Na Sri Lance. Gwiazdami edycji będą Ilona Felicjańska i Dominika Serowska. Gwiazdami. Sri Lanka też kiedyś nazywała się Cejlon.

●

Paparazzi uchwycili nocne spotkanie Pawła Wilczaka i Marii Niklińskiej w jednym ze stołecznych lokali. Patrząc na karierę filmową Pawła w ciągu ostatnich lat, to były jego najdłuższe zdjęcia.

●

Piotr Krysiak przeprosił Omenę Mensah za zniesławienie jej w książce „Dziewczyny z Dubaju 2". Napisali o tym wszyscy. Gratulacje. Teraz też chętnie przeczytam.

●

Marcin Bosak: „Cześć koleżanki i koledzy po fachu. Jak się macie z tym, że TVP nie zapłaciła w tym roku tantiem. Nawet odrobineczki". Marcin gra w „M jak miłość". Tantiemy przekazywane są na NFZ.

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 6f22740c7b



Spokojnie jak na wojnie

Moje pokolenie dorastało w cieniu wojny. Cień ów przybierał postać naładowanych emocjami obrazów walki i terroru z lat 1939–45. Nawet gdy starsi krewni nie dzielili się wspomnieniami, obrazy wojny i tak towarzyszyły nam w szkole, kinie czy na ulicy, gdzie miejsc „uświęconych krwią Polaków" było więcej niż kiosków Ruchu. Najperfidniej atakowały w koszmarach sennych, które uporczywie nawiedzały nas, urodzonych w latach 50., 60., 70. i 80., każąc nam raz po raz budzić się z krzykiem na chwilę przed rozstrzelaniem. Jeszcze na początku lat 2000. wyrażenia „w czasie wojny" czy „po wojnie" nie wymagały dookreśleń, bo wszyscy wiedzieliśmy, do której wojny się odnoszą. Międzypokoleniowa trauma drugiej wojny światowej stała się dla polskiej tożsamości wspólnym mianownikiem. Ukształtowała też nasze wyobrażenia o wojnie jako takiej.

Dzisiaj – nie po raz pierwszy – wyobrażenia te utrudniają nam rozeznanie w sytuacji. Umyka nam, że wojna nie wszędzie wyglądała tak jak u nas i że obecnie również nie musi tak wyglądać. W Wielkiej Brytanii – wyjąwszy bitwę o Anglię – koszmaru nie doświadczano bezpośrednio. Rozmaitych niedogodności i tam nie brakowało, ale wszystkie bledną przy naszych łapankach, egzekucjach i obozach zagłady. We francuskiej strefie Vichy nikt –prócz Żydów bez francuskiego paszportu i w pewnym momencie także rosyjskich emigrantów – nie zaznał terroru w skali zbliżonej do tego, co działo się w Europie Wschodniej.

> Czy będzie wojna? Nie. Ona już jest. Od aneksji Krymu toczy się codziennie, mimo że nie znajdujemy się pod okupacją i nikt do nas nie strzela.

To, że wojna oznacza dla nas wyłącznie blitzkrieg, szubienice na ulicach i komory gazowe, sprawia, że nie potrafimy jej rozpoznać, gdy prowadzona jest innymi środkami. Wydaje się nam, że dopóki stada rosyjskich dronów nie latają nad naszymi głowami, to jeszcze nie jest „to". Dopiero kiedy pojawia się rój Shahedów, zaczynamy pytać, czy „będzie wojna". Nawet minister Tomasz Siemoniak pozwolił sobie na komentarz, że atak dronów na Polskę to „koniec złudzeń co do Władimira Putina". Miejmy nadzieję, że tylko tak mu się powiedziało, ale nie wiadomo – może naprawdę miał jeszcze złudzenia.

Czy będzie wojna? Nie. Ona już jest. Od aneksji Krymu toczy się codziennie, mimo że nie znajdujemy się pod okupacją i nikt do nas dzisiaj nie strzela. Rosja zaatakowała Ukrainę, ale walczy nie tylko z nią. Wrogiem jest dla niej Zachód, ponieważ rosyjskie władze uważają, że to z winy Zachodu Ukraina zaczęła się Rosji wymykać. Dla Rosji Ukraińcy nie są podmiotem i nie mają prawa o sobie decydować. Zdecydowały za nich mocarstwa, które w latach 90. umówiły się, że Ukraina pozostanie w tzw. rosyjskiej strefie wpływów. Jednak Zachód nie dotrzymał umowy i zdradziecko przeciąga dawne republiki związkowe na swoją stronę. Zatem to on jest winien, że Litwa, Łotwa i Estonia wstąpiły do Unii Europejskiej i NATO, a Ukraina do tego aspiruje. I to z winy Zachodu w Polsce stacjonują żołnierze amerykańscy. Dla Rosji to jasne jak sobory na Kremlu.

Rosja wie, że jej seksapil jest nie tylko zerowy, ale wręcz ujemny. Wie, że brakuje jej atutów, by „miękko" do siebie przyciągać. Nigdy ich nie miała. Od czasów książąt moskiewskich woli stosować przemoc, której tradycyjnie wyrzeka się jedynie wtedy, gdy jest słaba – do czasu, aż odbuduje swój potencjał. Na sukcesy zachodniej *soft power* odpowiada w języku wojny, bo innego nie zna. Metody tej wojny to tylko kwestia techniczna. Mogą być „hybrydowe" albo klasycznie militarne – w zależności od tego, co w danym momencie uzna się za niezbędne i na ile pozwoli przeciwnik. Czy będzie to podpalenie hali targowej czy strzelanie Iskanderów nieopodal granicy, istota wrogich działań pozostaje ta sama. Rosja wyruszyła na wojnę z Zachodem i nie zakończy jej, choćby Ukraina padła. Działa zgodnie ze swoim odwiecznym modus operandi: „Pójdziemy najdalej, jak się da, a potem się zobaczy". Niechby i do Lizbony.

Żadnych złudzeń. Rosyjska wojna skończy się dopiero wtedy, kiedy agresor napotka wystarczająco silny opór. W praktyce – gdy zostanie pokonany gospodarczo lub militarnie. Wtedy też – po przetrąceniu kręgosłupa spadkobiercy głównego sojusznika hitlerowskich Niemiec – ostatecznie zakończy się druga wojna światowa. Bo ta, zawieszona w 1945 r. z powodu wyczerpania sił, pozostaje do dzisiaj nierozstrzygnięta. Czy konfrontacji z Rosją nie lepiej by było uniknąć? Lepiej. Tylko że jest już za późno. Nie po to Moskale przez ćwierć wieku szykowali się do wojny, żeby się teraz wycofać pod wpływem perswazji i uników.

Rosyjskie drony nad Polską wyrwały nas z drzemki. To dobrze. Mamy czas przygotować plecaki ewakuacyjne, poznać sygnały alarmowe i ustalić, gdzie jest najbliższe miejsce schronienia. Nie dajmy sobie wmówić, że taka przezorność to panikarstwo. Przeciwnie. Tylko skrupulatne przygotowanie na najgorsze pozwala opanować lęk i w krytycznej sytuacji nie stracić głowy. Jak głosił brytyjski plakat z czasów drugiej wojny: „Keep calm and carry on". Co w wolnym tłumaczeniu oznacza: „Zachowaj spokój i rób co trzeba".

RENATA LIS

eprasa.pl 6f22740c7b



Fenomenalna Ola

Ola z reality show „Hotel Paradise" jest wysoka i piękna. Prawdopodobnie tak wyglądała Ewa. A może Lilit? Ale to nie wszystko. Ola odznacza się żywiołową i cokolwiek męską pewnością siebie, otwartością i ciekawością świata. Świata, który uważa za płaski, aczkolwiek bardzo tajemniczy i podszyty niezbadanym oceanem, w którym mogą mieszkać potwory. Nie trzeba się jednak aż tak bardzo przejmować, bo najpewniej i tak żyjemy w jakimś matriksie. Można by rzec, że dewizą Oli jest szekspirowskie „Więcej jest rzeczy na niebie i na ziemi, niż to się filozofom śniło".

„Hotel Paradise" musi dobrze wynagradzać uczestników, gdyż realizatorzy z wielkim upodobaniem wykpiwają ich niesamowitą i na swój sposób fascynującą ignorancję. Podchwytują to tysiące internautów, którzy bądź to przyłączają się do hejtu, bądź to w rycerskim odruchu biorą nieuki w obronę.

Jestem jak najdalszy od jednego i drugiego. Nie się obronić organicznego i bezkrytycznego nieuctwa u kogoś, komu, jak Oli, niczego nie brakuje, łącznie z siłami umysłowymi. Nie znaczy to jednak, aby zaraz trzeba było się naśmiewać. To niełądnie. Zamiast tego można wziąć ten piękny casus, a raczej exemplum, na tapet (cóż za modne ostatnio słowo!) celem kontemplowania czystej idei człowieczeństwa. Albowiem Ola jest ludzka w najbardziej bezpośredni i – *excusez le mot* – niepokalany sposób. Używa zarówno swego ciała, jak i umysłu z największą pewnością siebie i prostotą, a jej poczucie siebie i obraz własnej osoby zdają się wolne od wszelkich rys i zmarszczek, tak jak wolne od wad jest jej oblicze i cała reszta.

> Z kartezjańską ostrożnością, ale i otwartością rzekła Ola, iż „nie ukrywa, że powątpiewa" w kulistość Ziemi.

Bezrefleksyjności nie należy mylić z bezmyślnością. Ola myśli, i to intensywnie. Nieobca jej filozofia, a jej filozofowanie jest całkowicie wolne i nieskażone „kompleksami" wynikającymi z wiedzy. Nie potrzeba jej Sokratesa. Nie zagustowała nawet w żadnym z proponowanych jej chłopców. Czy Ola przeczuwa feministyczny potencjał tego suspensu, zawieszenia elekcji, do której przecież musi dojść, jeśli nie dziś, to w następnym odcinku?

Nie wątpię w przenikliwość jej intuicji, albowiem jest ona nagrodą za szczerość i autentyczność. Do zakłamania Ola jest niezdolna. Za szybko mówi, nieznane jest jej to podejrzane rozwarcie pomiędzy myślą postającą w głowie a słowem wymykającym się zza zagrody białych zębów. Ola słyszała o Mołdawii, „aczkolwiek nie są to jej tereny znane". Czy można z większą godnością i bardziej dwornie podzielić się swą niewiedzą? Ola dzieli się nią szczodrze jak włościańska córa łamiąca chleb na progu, by posilać zdrożonych ułanów. I tak też podzieliła się z nami niedyskrecją o swoich piersiach, które była sobie powiększyła. Czy to było konieczne? Z pewnością nie, ale chciała, to powiększyła. Teraz płaci za to cenę kariery, bo z takim biustem nie chcą jej za modelkę, chyba że w temacie sukien ślubnych. To jednak Oli nie interesuje. Za zdjęcia w sukni płacą mało. Nie to co za zdjęcia w stringach.

Ola twierdzi, że nie była nigdy dobra z geografii. Pilnie nastręcza się pytanie: w czym była albo i nadal jest dobra? Podejrzewam, że jest dobra w tym wszystkim, w czym ja jestem beznadziejny. A mianowicie: w byciu sobą, w radości życia, w krzepie i zdrowiu, w młodości i urodzie... No i jeszcze w czymś, za czym tęsknię i czego mi brakuje najbardziej, a mianowicie w niewyobcowaniu. Ola przynależy do swojej klasy, do swojego czasu i do swojego kraju jak sól do ziemi, jak tusz do rzęs, jak śledź do wódki. Pasuje i nie odstaje. Jest u siebie. Jest panią ziemi, tej ziemi. Jest tu królową. To z jej zdaniem, z jej opinią liczą się sztaby wyborcze. To dla niej pracują działy marketingu i algorytmy AI. Nie dla mnie.

To do niej należy świat i przyszłość. I jeśli mogę coś wnieść do życia Oli, to niechaj będzie to mała cegiełka erudycji, a raczej kulka. Z kartezjańską ostrożnością, ale i otwartością rzekła Ola, iż „nie ukrywa, że powątpiewa" w kulistość Ziemi. Powątpiewa, więc jest, i może należałoby się tym cieszyć i na tym poprzestać. Lecz filozof nie byłby sobą, gdyby nie pragnął zamienić wątpienia w pewność. Otóż przed pięcioma laty niejaki Michael Hughes skonstruował rakietę napędzaną parą, zamierzając wylecieć nią w przestworza, aby stamtąd sfotografować Ziemię płaską jak stół. Niestety, rakieta spaliła na panewce, gotując straszną śmierć pionierowi planetarnej planimetrii. Dałoby się uniknąć tego nieszczęścia, gdyby Michael słyszał o Eratostenesie, który bawiąc w sezonie 240 r. p.n.e. na objazdówce po Egipcie, zauważył, że słońce pod nieco innym kątem pada tego samego dnia w Asuanie i w Aleksandrii. Znając odległość między tymi miastami, wyliczył obwód Ziemi.

Nie polecam Oli męczącej wyprawy wzdłuż Nilu. Życzę jej za to, aby jakiś przystojny Bartek albo Seba zabrał ją w cudowną, liczącą 80 dni podróż z Warszawy do Suezu i dalej przez Bombaj, Kalkutę, Jokohamę, San Francisco itd. aż do Warszawy. Zdziwi się panna Ola, że podróżując uparcie na wschód, dotrze w rodzinne strony od zachodu. I to w dodatku dzień przed czasem! Mega!

JAN HARTMAN

eprasa.pl 6f22740c7b

FELIETON

Sulej



Bitwa o rząd dusz

Włączyłam z ciekawości, bo dowiedziałam się, że piosenki z tego animowanego musicalu wyprodukowanego przez Netflix od tygodni okupują listy przebojów. W końcu sama jako nastolatka podśpiewywałam ścieżkę dźwiękową z moich ukochanych seriali, jak „Czarodziejka z Księżyca" czy „Jem i Hologramy", których animowane bohaterki były dla mnie wzorcową realizacją ideału *kalos kagathos*. Walczyły ze złem, były piękne, mądre, dobre i wyjątkowe.

Odpaliłam więc „K-popowe łowczynie demonów" – w pierwszym wrażeniu kreska mnie odrzuciła, była jak z emotikonów, jak ze sklepu z zabawkami, poczułam się zbyt dorosła. Ale za chwilę byłam już wciągnięta w historię. Globalne gwiazdy k-popu Rumi, Mira i Zoey prowadzą podwójne życie – gdy nie występują na wyprzedanych stadionach, wykorzystują swoje tajemne moce, aby chronić fanów przed demonami. Jako Huntr/x muszą się zmierzyć z boysbandem Saja Boys, którego członkowie to upiory wysłane, żeby wysysać ludzkie dusze.

Z odcinka na odcinek przekonywałam się, że jest to jedna z najlepszych historii, jakie oglądałam w telewizji – z pozoru lekka, roztańczona, przerysowana, eksplodująca kolorami, infantylnymi motywami, jak to w k-popowej estetyce bywa, ale to lśniące cacuszko w środku kryje iście jungowską opowieść o władzy, manipulacji, samopoznaniu i wolności. Jak w „Gwiezdnych wojnach" toczy się tu walka jasnej strony mocy z ciemną. A człowiek wtedy staje się prawdziwie wolny, kiedy uzna swój cień albo jeśli dojrzy swoje światło, nawet gdy mu się wydaje, że jest na zawsze stracony dla występku. Bo kiedy tkwisz w przekonaniu, że jesteś zupełnie dobry albo zupełnie zły, żyjesz w kłamstwie, wiecznym lęku i wstydzie.

> Jeśli zobaczymy, że wszyscy jesteśmy niedoskonali, jest szansa, że stworzymy trochę sprawiedliwszy świat.

Serial ten pokazuje, jak osoby u władzy manipulują tymi, którzy się wstydzą, boją okazać słabość albo w siebie uwierzyć. Czarny Gwi-Ma – zdobywa nowe sługi zawsze w podobny sposób: kiedy człowiek popełni niemoralny czyn i się wstydzi, on niczym surowe superego odzywa mu się w głowie: „Po tym, co zrobiłeś, nie możesz już być człowiekiem, należy ci się tylko kara". Na ciele człowieka pojawiają się fioletowe pasy. Raz na zawsze naznaczony, staje się demonem. Demoniczni Saja Boys śpiewają, żeby ludzi uśpić, zahipnotyzować i niepostrzeżenie odebrać im duszę. Wojownicze Huntr/x śpiewają, żeby ludzie okazywali sobie miłość i życzliwość, która ochroni ich przed demonicznym praniem mózgu. Trudno jednak wygrać ze złem. Grupowa nieświadomość idzie za tym, kto lepiej śpiewa.

Jest to także bardzo trafna (niezamierzona czy celowa?) satyra na show-biznes. To nie jest „dawno temu w odległej galaktyce", to jest tutaj i teraz. Dawno nie oglądałam serialu, który tak świetnie komentowałby dzisiejszą popkulturę, w której trwa nieustająca bitwa o rząd dusz. Żyjemy przecież w hałasie social mediów, reklam, billboardów, powiadomień na telefonie, nieustannych wydarzeń, premier, festiwali, trendów na TikToku, zagubieni między półkami supermarketu konsumpcyjnej kultury.

Logice późnego kapitalizmu nie zależy na autentyczności, chociaż nam to wciąż sugeruje. Popkultura kocha radykalne wizerunki, brak niuansu, konflikty, komiksowe przerysowanie, nieustanne bombardowanie nowościami. Integracja ciemnego i jasnego zwyczajnie się nie opłaca. Na kimś, kto jest świadomy, nie obawia się odsłaniać słabości, nie chce zamykać się w pudełku konceptu czy kostiumu, trudniej zarabia się pieniądze. W dzisiejszym świecie – nie tylko w obszarze popkultury, ale także polityki, w dyskursie społecznego aktywizmu – kłócą się o nas narracje wymagające czystej moralności, nazywające rzeczy czystym złem. Anioły i demony, czerń i biel.

Główni bohaterowie, Rumi i Jinu, w optyce psychoanalitycznej są jak animus i anima, rozłączeni, ale kompatybilni, pozytyw i negatyw, awers i rewers. Podejrzewam, że twórcy serialu nie czytali Maureen Murdock, ale jest tu grana podróż bohaterki, co nie przeszkadza zupełnie temu, że jest tu także podróż bohatera niczym z Josepha Campbella. Co ciekawe, to dotyczy obu postaci na raz, tylko razem mogą tę podróż dopełnić. Przemiana wewnętrzna jest pełna jedynie wtedy, kiedy prowadzi do otwarcia relacji z drugim człowiekiem. Żeby odzyskać siebie i otworzyć się na miłość, Rumi i Jinu muszą pokonać swojego władcę ciemności Gwi, czyli wstyd. To wstręt do siebie napędza zło tego świata – zdają się sugerować twórcy.

Odsłonięcie się przed drugim człowiekiem jest jednak zawsze ogromnym ryzykiem, dlatego potrzeba wielu odcinków, zanim bohaterowie pojmą, że zamiast ze sobą walczyć, muszą się wyzwolić z czarno-białego paradygmatu, w którym żyją. Nie przypuszczałam, że będę się uczyć z animowanego serialu tego, co powinnam słyszeć w dorosłym dyskursie obywatelskim. Jeśli zobaczymy, uznamy, że wszyscy jesteśmy niedoskonali, jest szansa, że stworzymy trochę sprawiedliwszy i bardziej życzliwy świat. Jak napisała kiedyś Gosia Halber w „Najgorszym człowieku na świecie": każdy się wstydzi, każdy się boi i każdy myśli, że jest w tym sam, a to nieprawda.

KAROLINA SULEJ

Więcej o serialu „K-popowe łowczynie demonów" s. 80.

eprasa.pl 6f22740c7b



Uśmiech górną szczęką

Dziennik „Fakt" ustalił, że prezydent Nawrocki po przeniesieniu się z Belwederu do wyremontowanego Pałacu Prezydenckiego nie będzie miał osobistej siłowni. To informacja niepokojąca; z badań wynika, że zwolennicy prezydenta oczekują od niego umięśnionej sylwetki, dzięki której tak korzystnie wypadał w telewizyjnych debatach na tle skromnie umięśnionych rywali.

Atletyczna sylwetka to na razie największy atut prezydenta; szkoda, żeby ucierpiała, bo przyda się panu prezydentowi w pełnieniu urzędu. Nie oszukujmy się, jeśli podczas kolejnych wizyt w Berlinie Karol Nawrocki ma skutecznie domagać się reparacji i zgłaszać inne twarde oczekiwania wobec strony niemieckiej, musi masywnie wyglądać. Samo uśmiechanie się, ściskanie i wyrażanie podziękowań nie wystarczy.

Wizyty w Paryżu i Rzymie pokazały, że pan prezydent już bardzo dobrze uśmiecha się, ściska i dziękuje. Jego uściski i uśmiechy są wysoko oceniane przez europejskich partnerów. Podczas witania się z Macronem, zdaniem eksperta cytowanego przez Onet, wyraźnie zdominował gospodarza charakterystycznym „uśmiechem tzw. górną szczęką", wyrażającym „bardzo silne zadowolenie".

Ekspert zauważa, że uśmiech ten był „nie do końca dopasowany do roli, jaką pełni prezydent jako reprezentant narodu". Niewykluczone, że był zbyt agresywny i wyrażał zbyt silne zadowolenie. Nie szkodzi, może prezydent się dopasuje i zacznie się uśmiechać obiema szczękami. Ważne, że mimo niedopasowania uśmiechnięta szczęka silnie zadowolonego Nawrockiego zrobiła na Macronie wrażenie. I że na uśmiechach Nawrocki nie skończył, ale użył jeszcze rąk, a mianowicie podczas pozowania do zdjęć „pociągnął mocniej dłoń swojego francuskiego kolegi". Tym pociągnięciem w stylu Trumpa ostatecznie zdominował skromniej zbudowanego Macrona i wygrał, co jest o tyle ważne, że była to wygrana na wyjeździe.

Trochę szkoda, że efektownych zagrań rękami i szczęką Nawrocki nie pokazał w Berlinie. Kto wie, czy to nie rozzuchwaliło gospodarzy, którzy wystąpienie naszego prezydenta w sprawie reparacji odebrali bardzo krytycznie. Może w tej sytuacji powinien popracować nad sylwetką, przyrzeźbić ją? Może jego uśmiech górną szczęką powinien być jeszcze bardziej zabójczy? A gdyby tak od czasu do czasu uśmiechnął się dolną szczęką?

Sprawa jest pilna, bo – jak wynika z wyliczeń posła Mularczyka – w grę wchodzi ponad 6 bln zł. Miejmy zresztą nadzieję, że po zbudowaniu w pałacu siłowni Karol Nawrocki uzyska sylwetkę na tyle mocarną, że uzna, iż reparacje od Niemiec to za mało, i zażąda reparacji również od Rosji.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad/Graf Leipa passion process technology

eprasa.pl 6f22740c7b



SPOŁECZEŃSTWO

Papieroza

Po 20 latach cyfryzowania wymiaru sprawiedliwości są pierwsze jaskółki sukcesu. Każdy dokument powstaje już na komputerze. Co prawda później jest drukowany, ale widać trudno oczekiwać, żeby nowiny przyjmowały się aż tak szybko. Im więcej cyfryzacji, tym więcej papieru na nią potrzeba.

JULIUSZ ĆWIELUCH

ILUSTRACJE: PATRYK SMOCZYŃSKI

Sprawiedliwość po polsku bywa z papierem. I nie papierze się opiera. Choć już lata temu całkowicie się procesy wyposażenia procesowego w sprawy sprowadziłoby się komputery, to taki można odnieść wrażenie, że w polskich realiach są to tylko fizjologiczne maszyny do pisania. Nie ma sprawy, która nie wymagałaby wydruku komputerowego, skoro pozbawiony jest on znaczenia dowodowego.

Wiadomo, że nie wie, że tam również najlepsze tworzą dokumenty w komputerze, zamiegnie dłużej, a drukiem pójdzie gorzkawiej. Mówimy się zastanawiać, jeszcze, skoro na końcu i tak wydrukowany wyrok ma kopię, się przy prokuratorzy i Sąd wszystko trzeba się zawsze w papierze. A wtedy trzeba przebrnąć siedmiu kilometrów akt, żeby dotrzeć do sedna sprawy.

W zeszłym roku Najwyższa Izba Kontroli po raz kolejny kompleksowo pochyliła się nad sądowym bytem i jego problemami. Wniosek: są postępy, ale... Nie nastąpiła poprawa w żadnym z wcześniej badanych obszarów. Zarówno do sądów nowe się po dnia, a terminy sprawy odległy się od rzeczywistości. – Trudno czas trwania sprawy cywilnej w sądzie rejonowym skrócił się z 10 do 8 miesięcy, a w sądzie okręgowym z 11 do 10 miesięcy – wyliczył Tomasz Szatkiel, dyrektor Departamentu Postępowań i Bezpieczeństwa Wewnętrznego w NIK. Nie dodał, że na zasadniczym wyroku można czekać nawet kolejny rok. Standardem jest jeszcze druga instancja. Czyli kolejne lata w sądzie.

Cyfryzacja wreszcie się ostatnią dwoją ratunku i „realnemu życiu" kolejnego kolejnego sądu rozwoju. Minął już prawie rok od momentu, kiedy w Sądzie Rejonowym Poznań Stare Miasto i Rynek Jeżyce Sąd. Prasie tylko, czy rozwiązanie pomyślane sądowe, czy po dobrze?

Wyszło szydło z worka

Sędzia A. (prosi o anonimowość, i tak ma na piórku z przewodniczącym wydziału) pracę zaczynał w 1999 r. od Sądu Wojskowego. Zbliżał się wtedy wiek. Ludzie dzisiaj o cyfryzacji sądów, którzy mieli wykazywać dane na wszystkich komputerach świata. Ale to nie jest tak, że ja nie chcę pracować na komputerze. Ja na komputerze za dużo czasu nie będę. – O nas wyrządzają jak przy Nawrockiego: nic dobrych do ich obsługi. Starzi ich dopiero opracują nie akceptuje. Rządzi ich nadal maszyny, czyli maszyniści – wspomina.

Jakiś będzie jego odchodzenie, kiedy kilka lat później dostał dokładnie to, do czego się przymierzał i nie komputerze je jeszcze nie było.

– Na dane sobie sędziowie, ale jednym słuchowy komputer dostał. Ale nie wiedzieli, że ja nie chcę pracować na komputerze. Ja nie chcę, bo nie chcę korzystać. Sądzę, że nie wiedzieli. Nie mieli na to pomysł, zawsze mnie się wydawało, że wiedzieli – opowiada sędzia A.

A jest sędzią, jak na swoim zawodowym życiu nie miał jeszcze tak kontaktu z cyfrowymi aktami. – Jak ktoś znam prokuratora, to znam wyrok, żaby mi podesłał cyfrowy kopię akta sekretarza. Zdarzają, że to nie zawsze. Poza tekstem, że mi, skorzystam z tego, że mi ktoś wysłał, ale to nie jest tak, że ja nie chcę pracować na komputerze, tylko sprawa jest taka, że ja nie chcę pracować na komputerze, bo nie chcę pracować na komputerze, bo nie chcę pracować na komputerze – tłumaczy sędzia A.

Sędzia A. nie jest jedyny. Jak wynika z naszych rozmów, nie jest nawet rzadki w sądach całej Polski. Ale to nie znaczy, że sędziowie nie chcą pracować na komputerze. Nie wszyscy, ale wielu z nich nie chce pracować na komputerze, bo nie chcę pracować na komputerze, bo nie chcę pracować na komputerze, bo nie chcę pracować na komputerze.

– Nie chcę pracować na komputerze, bo nie chcę pracować na komputerze, bo nie chcę pracować na komputerze, bo



TREND

Mrok i cienie

Ten nowy makijażowy trend nawet milenialsom, o starszych pokoleniach nie wspominając, wydaje się dziwaczny i niezrozumiały, bo „po co się zbrzydzać?!”.

Kilka lat temu dwie znajome rozważały, które płatki niwelujące cienie pod oczami są skuteczniejsze. Miały niewiele czasu między wyjściem z pracy a startem ważnej imprezy, aby zrobić się na bóstwo, tylko niestety zapomniały się wcześniej wysypiać i pić małymi łykami dwa litry wody dziennie. Każda ostatecznie zdecydowała się na inny kosmetyk, ale u obu efekt odbiegał od tego obiecywanego na opakowaniu, więc przed wyjściem w ruch poszły korektory, podkłady, pudry i tylko one wiedzą, co jeszcze.

Zapewne zetki, szczególnie te amerykańskie, słysząc tę historię, nie mogą zrozumieć, jak kiedyś kobiety mogły to sobie robić – niemalże tak jak ja, czytająca na początku lat 2000. o omdlewaniu przy ściskaniu się gorsetem – bo przecież cienie pod oczami są super! A przynajmniej tak mówi TikTok. Ale nie tylko.

„To celebracja prawdziwości” – stwierdziła w rozmowie z CNN Kim Brown, makijażystka i dyrektorka działu beauty magazynu „Glass”. „Look Tired Girl ma pazur i osobowość. Taka kobieta jest twarda i cool”.

Tak cool jak Jenny Ortega, a raczej grana przez nią w serialu Wednesday Addams, która stała się inspiracją dla tego makijażowego trendu. Jak zaznacza Tara McDonald, wizażystka i stylistka odpowiedzialna za wygląd aktorki na planie, efekt zmęczenia uzyskała dzięki nałożeniu podkładu jaśniejszego niż karnacja Ortegi. To sprawiło, że cienie pod oczami wydały się intensywniejsze.

Przeciwieństwem Wednesday jest jej współlokatorka – rumiana wilkołaczka Enid Sinclair, grana przez Emmę Myers. Nie tylko jest ciepłokrwista (skojarzenie z bladolicymi, zimnymi wampirami i gorącymi wilkołakami ze „Zmierzchu” zapewne nieprzypadkowe), ale lubi też dbać o wygląd za pomocą kolorowych strojów, fryzur i makijażu. Zarówno Wednesday, jak i tired girls mają na głowie ważniejsze sprawy i nie tracą czasu na takie głupotki.

Trend tired girl jest odpowiedzią na poprzedni – clean girl, czyli wygląd tak idealny i nieskazitelny, że osiągalny jedynie dzięki filtrom z Instagrama, ale tak powszechny w mediach społecznościowych, że można uwierzyć w jego realność. Przeciw tej sztuczności buntują się zetki, przytłoczone obowiązkami, niepewnością na rynku pracy, zmianami społecznymi, polaryzacją oraz katastrofą klimatyczną. Jakkolwiek patrzeć, mrok i czerń bardziej tu pasują niż świetlista cera i róż.

Tutorial **tired girl make-up**: podkładem nie zakrywaj niedoskonałości, a już na pewno nie piegów. Róż do policzków bądź pomadkę nałóż... pod oczy. I rozetrzyj. Wytuszuj rzęsy, podkreśl oczy kredką, nałóż cienie na powieki – rozetrzyj. Aby policzki wyglądały na zapadnięte, narysuj linię bronzerem pod kośćmi policzkowymi – rozetrzyj. Usta pomaluj pomadką lub błyszczykiem w delikatnym odcieniu czerwieni bądź różu. Wizażystka Ortegi wspomina o efekcie „naturalnie zaróżowionych ust – jakby były delikatnie przygryzione”. Pomadki chyba nie musisz rozcierać, ale zapomnij o precyzji (żadnego konturowania!). Podsumowując: idąc na imprezę, wyglądaj, jakbyś właśnie z niej wracała po całej nocy szaleństw na parkiecie.

Ten przewodnik powstał po obejrzeniu kilku filmików na TikToku. Niektóre są odtwarzane po setki tysięcy razy, a wiadomo, że ich twórczynie nie nagrywają ich tylko dla idei szerzenia „naturalnie” zmęczonego wyglądu i sprzeciwu wobec opresyjnej kultury piękna. Tak samo za darmo nie opisują tego trendu magazyny z kategorii moda i uroda, które przy okazji polecają konkretne produkty do wykonania makijażu à la Wednesday. Zarobić da się na każdej idei.

Tylko „po co się tak zbrzydzać?!”. Niech pierwsza rzuci podkładem ta, która nie wyskubywała sobie brwi w cieniutką kreskę, nie malowała powiek cieniami, które stanowczo nie pasowały do jej karnacji, ale były modne, nie siedziała w lipcu na plaży w glanach czy nie szorowała po betonie nogawkami dżinsów za długich o dobre 20 cm itd. Te ostatnie chyba znów wracają do mody?

Tired girl to wyraz buntu wobec świata, który momentami przerasta wszystkich. A że dla niektórych to tylko moda? Trudno. I tak wydaje się prawdziwsza niż idealne, nieskażone pryszczem twarze clean girl. ■



Agnieszka Gierczak-Cywińska – w redakcji internetowej POLITYKI od 2016 r. Najbardziej interesują ją tematy społeczne. Nałogowa słuchaczka audio-booków. Zasiada w loży miłośników kotów.

© SCOTT A GARFITT/INVISION/EAST NEWS, LESZEK ZYCH, BLACKMAGIC DESIGN, AMA AI

eprasa.pl 6f22740c7b

Jabłko w kinie

TECHNO

Scenariusz prezentacji nowych produktów Apple (więcej na portalu polityka.pl) opierał się na dwóch filarach: podkreślaniu rozwiązań technicznych, które pozwoliły zbudować np. ultracienki i lekki iPhone Air oraz przydatności dla twórców treści. Z myślą o influencerach powstała przednia kamera o kwadratowej matrycy, pozwalająca na wygodne tworzenie zdjęć i filmów w dowolnym formacie.

Modele serii Pro mają – jak sama nazwa wskazuje – skusić kogoś, kto potrzebuje nieco więcej. Film reklamowy w barwny sposób pokazał wytrzymałość nowych kieszonkowych komputerów, którym nie mają być straszne trudne warunki na planie filmowym w plenerze. Pod trwałą obudową kryją się zaś wyspecjalizowane procesory, nowy szybki modem, duża bateria, pamięć sięgająca 2T i specjalny układ, który to wszystko schładza.

Profesjonalne użycie na planie filmowym jest możliwe dzięki specjalnej przystawce **Blackmagic Camera ProDock**, która umożliwia synchronizację fazy sygnałów wideo (Genlock) i kodu czasowego (Timelock) z innymi urządzeniami. Innymi słowy, pozwala włączyć iPhone'a do całego systemu obecnego na planie. Nowy format ProRes RAW daje montażystom większą kontrolę nad korekcją barwną, ekspozycją i zachowaniem detali. Technologia Apple Log 2 poszerza zakres dynamiczny, zapewniając bardziej



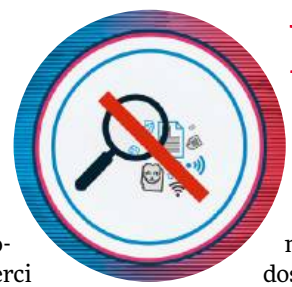
filmowe przejścia w światłach i cieniach, pozwala też na pracę z profesjonalnymi środowiskami do gradacji barw.

IPhone 17 Pro i iPhone 17 Pro Max mają więc konkurować nie z innymi smartfonami, ale z kamerami filmowymi. Mogą służyć jako druga, a nawet główna kamera, czego Apple stara się dowodzić od lat, kręcąc iPhone'ami swoje konferencje, a nawet filmy kinowe, jak „F1: Film" Josepha Krasinskiego, gdzie w bolidach zamontowano specjalne kamery oparte na podzespołach z iPhone'a.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Doku-męki

SŁOWO



Natychmiast po morderstwie Charliego Kirka ruszyła lawina doxingu, czyli grzebania w danych. W tym wypadku danych ludzi, którzy wyrażali radość lub satysfakcję ze śmierci gwiazdy amerykańskiej prawicy. Ktoś zadał sobie trud, żeby założyć stronę charliesmurderers.com i zamieścić na niej setki screenów z informacjami o zatrudnieniu, miejscu zamieszkania, a nierzadko też danymi kontaktowymi osób, które rzucały uwagi w rodzaju ironicznego „zginął od tego, o co walczył" (Kirk, który został zastrzelony, uważał, że ofiary śmiertelne są ceną, jaką trzeba zapłacić za prawo do posiadania broni). Nie trzeba było długo czekać na odzew. „Przypominam, że takie publikowanie danych to *doxing* i naruszanie konstytucji – zauważył użytkownik platformy X. – A zatem w imię karmy macie tu numer telefonu założyciela strony". Bo narzędziem zemsty za *doxing* zwykle bywa także *doxing*, jak przystało na formę nękania i okładania się danymi w internecie (na gruncie polskiego prawa można próbować go ścigać z paragrafu o naruszanie prywatności). Sam *doxing* pochodzi od słowa *dox*, inaczej *docs*, *documents*, po ang. dokumenty.

Mamy więc słowo, które opisuje „proceder zbierania i publikowania czyichś danych osobowych i prywatnych informacji, takich jak: imię, nazwisko, adres, numer telefonu itp. W dobie internetu *doxing* często polega na wykorzystywaniu informacji publikowanych przez daną osobę pod pseudonimem i upublicznianiu ich w celu dręczenia" – tak to definiuje miejski.pl. Bieżące przykłady dostajemy regularnie w mediach społecznościowych. „Gdy twoje ego jest tak kruche, że doxujesz przypadkowego emeryta, bo skrytykował twoje wysokie zarobki" – grzmiał ktoś, gdy minister rządu PiS wydobywał publicznie fakty na temat swego opresora. „Jesteś doksiarą" – usłyszała dziennikarka po publikacji informacji na temat zaangażowanego politycznie anonimowego komentatora z sieci. Zarzut doksowania usłyszał też założyciel polskiej platformy medialnej po tym, jak zaczął atakować dziecko znanej dziennikarki z TVP. Dane zostawmy, bo to już byłby doxing. A zadaniem tej rubryki jest definiować, a nie uprawiać.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Banknoty są zielone, tak jak ty w tym temacie
– j...ć cię Cerata od ciebie ma już większy swag
Okekel, Mini Man, 2025 r.

swag – lans, szpan, wyjątkowość

eprasa.pl 6f22740c7b

PODRÓŻE

Ostatnia przystań historii

To kraj, w którym archeolodzy czują się jak w raju, pielgrzymi odnajdują ślady świętości, a miłośnicy przyrody mogą spać pod Drogą Mleczną.



W początkach XX w. zjedzenie na jordańskiej pustyni oka barana w mansafie, tradycyjnym beduińskim daniu, było dowodem odwagi i globtroterstwa. Dziś można się sprawdzić w ramach pakietu turystycznego, ale Jordania oferuje znacznie więcej. Fani archeologii – albo filmu „Indiana Jones i ostatnia krucjata" – zwiedzanie zaczną pewnie od Petry, skalnego miasta Nabatejczyków. Gdy ten arabski lud wzbogacił się na handlu i osiadł na stałe, zaczął drążyć w czerwonej skale grobowce, kanały, cysterny, teatr. Potem Rzymianie dodali swoje trzy grosze: wolno stojące świątynie, aleje kolumnowe, bramy, łuki, forum i łaźnie. Można je zwiedzać godzinami, a i tak trafia się ciągle na coś nowego. Największe wrażenie robi jednak moment, gdy po wyjściu z wąskiego wąwozu staje się przed fasadą Skarbca. Magię chwili zakłócają jedynie tłumy pozujących do zdjęć turystów.

Tłoczno może być też w **Dżarasz**, choć tego się nie czuje (może w słynącym z akustyki teatrze), bo ruiny zajmują 90 ha. Jeśli ktoś chce zobaczyć rzymskie miasto z oryginalnym układem ulic, owalnym forum, świątyniami, łaźnią i hipodromem, to Dżarasz jest jednym z najlepszych miejsc. Szukający ciszy powinni wybrać się do starożytnego Umm al-Dżimal na granicy z Syrią, w którym od IX w. nikt nie mieszka, a mimo to budynki z czarnego kamienia zachowały się do wysokości kilku pięter.

Jordania słynie też z dwóch mozaikowych map – jedna, z kościoła św. Szczepana w Um ar-Rasas, przedstawia miasta Bliskiego Wschodu w VI w., ale dla chrześcijan jeszcze ważniejsza jest ta z kościoła św. Jerzego w Madabie, przedstawiająca mapę Ziemi Świętej w VIII w. Wynika z niej, że jej integralną część stanowiła kraina po wschodniej stronie Jordanu i że to tam żył, nauczał i chrzcił Jan Chrzciciel. Dlatego pielgrzymi z całego świata odwiedzają w Jordanii Betanię – miejsce, gdzie został ochrzczony Jezus. Biblijna rzeka dziś nie łączy, tylko dzieli. Jest jednak tak wąska, że stojąc po stronie jordańskiej, ma się wrażenie, że ludzie będący po stronie izraelskiej są na wyciągnięcie ręki. Dla turystów to ciekawostka, ale wielu Jordańczyków rzeka oddziela od bliskich, którzy nie zdecydowali się na ucieczkę do Jordanii w 1940 i 1967 r., a dziś cierpią na objętym wojną Zachodnim Brzegu.

Miłośnicy przyrody i fantastyki nie mogą ominąć największego jordańskiego hitu – Wadi Rum. Na tej wyglądającej niczym inna planeta czerwonej pustyni kręcono m.in. hity: „Diunę", „Marsjanina" i „Gwiezdne wojny", ale nie trzeba być maniakiem kina SF, by zachwycić się tym miejscem, zwłaszcza gdy pochodzi się boso po miękkim jak mąka piasku, chłonąc ciszę, i spędzi noc z widokiem na rozgwieżdżone niebo.

Dla kogoś, kto marzył o podróży do Ziemi Świętej w Izraelu, Jordania jawi się co najwyżej jako plan B, ale może się okazać objawieniem, tak wiele oferuje. Pielgrzym po wizycie w Betanii może się wykąpać (pounosić) w Morzu Martwym i poobkładać odmładzającym (ponoć) błockiem, a turysta po zwiedzeniu Petry wyskoczyć do Akaby, by ponurkować w Morzu Czerwonym albo zobaczyć najstarszy wolno stojący kościół chrześcijański świata z III w. Jeśli do tego dodamy świetną jordańską kuchnię, to mamy przepis na urlop doskonały.

No, prawie. Jordania jest otoczona przez sąsiadów ogarniętych konfliktami, więc można do niej dotrzeć wyłącznie samolotem (albo statkiem z Egiptu), a przestrzeń powietrzna może zostać zamknięta w każdej chwili. Warto jednak ją zobaczyć, tym bardziej że świat szybko się zmienia i coraz częściej na gorsze: w zniszczonej wojną Syrii grabieże archeologiczne sięgają dziś poziomu katastrofalnego, stanowiska w Iraku i Iranie zostały przetrzebione, a te na Zachodnim Brzegu są rozjeżdżane buldożerami. Jordania staje się jedną z ostatnich przystani dla tych, którzy chcą oglądać bliskowschodnie zabytki *in situ*. Krajem, w którym historia nadal znajduje się w ziemi, a nie w katalogu aukcyjnym. ■



Agnieszka Krzemińska
– archeolożka i dziennikarka działu naukowego POLITYKI, autorka trzech książek popularnonaukowych, w tym o higienie i dbaniu o urodę w przeszłości „Dawniej ludzie żyli w brudzie".

© SHUTTERSTOCK, MICHAL MUTOR/AGENCJA GAZETA, ALICJA ROKICKA, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 6f22740c7b

Z połączenia dyni i kremu kokosowego powstaje deser, który nosi w sobie ciepło jesiennych tradycji z nutą tropikalnej świeżości.

Jeszcze lato na talerzu



KUCHNIA

Jesienią na stołach króluje dynia – złocista, aromatyczna i niezwykle wszechstronna. Dynia wnosi do kuchni i życia nie tylko kolor i aromat, ale też odrobinę słońca zaklętą w złocistym miąższu. Jej naturalna słodycz doskonale komponuje się z korzennymi przyprawami, a kremowa konsystencja sprawia, że jest idealnym składnikiem do ciast. Także tych wegańskich. W połączeniu z kremem kokosowym daje deser, który łączy w sobie ciepło jesiennych tradycji z nutą tropikalnej świeżości.

Pierwsze skrzypce grają w mojej propozycji przyprawy – suszony imbir i cynamon. To one nadają ciastu charakter – imbir dodaje lekkiej, rozgrzewającej ostrości, która przełamuje kremową łagodność dyni. Cynamon jest obowiązkowy. Jego korzenny aromat automatycznie kojarzy się z jesiennym ciepłem.

Warto jednak wiedzieć, że nie każda odmiana dyni sprawdzi się równie dobrze w wypiekach. Do ciast i słodkości najlepiej wybierać dynię hokkaido – warzywo niewielkich rozmiarów (1–2 kg), bardzo sycące, bo bogate w błonnik. Intensywny kolor hokkaido, kremowa konsystencja i możliwość pieczenia razem ze skórką czynią ją ulubienicą domowych cukierników. Świetnie sprawdza się także dynia piżmowa o delikatnym, lekko orzechowym smaku, maślanej strukturze, ale mniej intensywnym kolorze. W słodkich wypiekach często wykorzystuje się również dynię muscat, której aromatyczny, pachnący melonem soczysty miąższ wprowadza do ciasta nutę elegancji i głębi.

Do tego najbardziej odpowiedni będzie kokosowy krem do ubijania (*coconut whipping cream*). Gęsty i intensywnie kokosowy. Zwykle jest dostępny w puszkach i znajdziemy go w każdym dobrze zaopatrzonym sklepie z produktami azjatyckimi. Przed użyciem należy włożyć go do lodówki. Do kokosowego kremu można dodać odrobinę słodyczy w postaci cukru pudru. Można go jednak pominąć – na korzyść świeżego smaku kokosa, który przełamuje cynamonowo-imbirowy aromat ciasta. Dodatek migdałów lub orzechów to nie tylko ozdoba, ale i chrupiący element w miękkim cieście. Dyniowo-korzenne ciasto to propozycja dla tych, którzy chcą osłodzić sobie jesień i jednocześnie zachować odrobinę lata na talerzu. Deser nie tylko syci, ale i pozwala na chwilę zapomnieć o szarości za oknem, która nastała w tym roku niespodziewanie szybko. ■



Alicja Rokicka
– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Składniki/akcesoria:
- 2 identyczne szklanki/miarki po 250 ml
- 250 g upieczonej dyni
- 1/2 szklanki brązowego cukru
- 1,5 łyżeczki cynamonu
- 1 łyżeczka suszonego imbiru
- 1/3 szklanki roślinnego mleka, np. owsianego lub migdałowego
- 1/3 szklanki oleju, np. z pestek winogron lub rzepakowego
- 2 szklanki mąki pszennej lub orkiszowej
- Szczypta soli
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- 1/2 łyżeczki sody
- 1 puszka kremu kokosowego do ubijania
- 2 łyżki cukru pudru (opcjonalnie)
- Posiekane migdały, pistacje lub prażone wiórki kokosowe

Wykonanie:
- Nagrzej piekarnik do 180 stopni. Przygotuj foremkę do pieczenia w kształcie kwadratu 20 x 20 cm albo keksówkę jak do pieczenia chleba. Wyłóż formę papierem do pieczenia.
- Upieczoną dynię przenieś do miski i zblenduj, by była gładka. Dodaj cukier, mleko roślinne i olej. Wsyp cynamon, imbir i sól, następnie dobrze wymieszaj. Do masy wsyp mąkę, proszek do pieczenia i sodę. Teraz wszystko wymieszaj łopatką lub trzepaczką. Przelej masę na ciasto do foremki. Lekko uderz foremką o blat, by pozbyć się bąbelków powietrza.
- Piecz 25–30 min (do suchego patyczka).
- Do miski przełóż zawartość puszki z kremem kokosowym. Dodaj (jeśli chcesz) cukier puder. Chwilę ubijaj mikserem lub trzepaczką.
- Ciasto powinno osiągnąć temperaturę pokojową. Posmaruj obficie wierzch kremem kokosowym. Na koniec posyp posiekanymi migdałami lub orzechami.

eprasa.pl 6f22740c7b

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Platforma na kacu

Głosowanie w sprawie tzw. nocnej prohibicji w Warszawie może się odbić czkawką radnym KO. Jak pisze na polityka.pl Michał Danielewski, to nie jest cios w „lewaków", lecz lojalny elektorat Platformy, czyli wielkomiejską klasę średnią, która popiera ograniczenia w dostępie do alkoholu. „Ludzie ze środowiska Platformy, którzy nie potrafili wyrwać się mentalnie z lat 90., odchodzili w niesławie", ostrzega autor POLITYKI.



Szaleństwo „1670"

Premier Tusk widzi w „1670" analogie do współczesności, premier Morawiecki nagrał o nim nawet podkast. W naszym podkaście przy okazji premiery drugiego sezonu gościmy sprawców tej sensacji. Odpowiedzialni za reżyserię Maciej Buchwald i Kordian Kądziela oraz scenarzysta Jakub Ryżyłło opowiadają m.in., co stoi za sukcesem ich serialu i dlaczego w komedii musi być trochę mroku. Pyta Janusz Wróblewski. Rozmowa do słuchania i oglądania na YouTube.



Jak się żyje w „mieście przyfrontowym"?

Amerykanie spakowali manatki i Patrioty, w Rzeszowie są żołnierze brytyjscy i niemiecki sprzęt. Zrobiło się nerwowo. Ale nie idą za tym żadne działania. I nie ma się gdzie schronić. **Po ponad trzech latach wojny w Ukrainie Rzeszów sprawdza dopiero, co ma pod ziemią. Tunele rodem ze średniowiecza to dziś atrakcja turystyczna. Twórcy „1670" mogliby skorzystać, ale cywile niespecjalnie. Reportaż Jagienki Wilczak.**



Eurowizja bez Izraela?

Kolejne kraje grożą, że wycofają się z Konkursu Eurowizji, jeśli Izrael będzie w nim uczestniczył. To bunt przeciwko wojnie w Gazie, zrównywanej z ziemią i głodzonej. Wymowny jest przykład Hiszpanii, członkini tzw. wielkiej piątki założycielskiej, kwalifikującej się do konkursu automatycznie. Palestyna nie bierze w Eurowizji udziału, choć o to zabiegała. **Słychać apele, by oddzielać politykę od rozrywki. Na polityka.pl piszemy, dlaczego to się nigdy jeszcze nie udało.**



Rowerem po puszczy

Adam Wajrak pisze o Puszczy Białowieskiej i ją fotografuje, a okazuje się, że przemierza ją również rowerem. O tej pasji mówi w podkaście „Rowery, nie bajki" Juliuszowi Ćwieluchowi. Mało kto wie, że zapalonym kolarzem, a potem nawet sędzią na wyścigach, był też jego tata. Rowerem Białowieżę pokonuje się szybciej, ale i więcej można zobaczyć. Adam Wajrak już dwa razy widział rysie. Widział też, niestety, białoruskie helikoptery – i o tym też jest ta rozmowa.

© SHUTTERSTOCK (3), JAROSŁAW SOSIŃSKI, LESZEK ZYCH

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 6f22740c7b

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Kupuj nasze aktualne wydawnictwa









Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze



Już od 10,75 zł / wydanie

Cyfrowe wydania specjalne (EPUB)









Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

Prenumerata „Polityki", „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki" także z bezpłatną dostawą do wybranego InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 6f22740c7b

RAINBOW

R.pl



Wszystkie

Oblicza Egzotyki

Kenia Gambia Senegal Tanzania

eprasa.pl 6f22740c7b